

**KAROL MAY**

**JUAREZ**

## Zdobycie Chihuahua

Sternau zamknąwszy drzwi pokoju oficerów na klucz, jednym skokiem znalazł się przy wejściu, gdzie czekał na niego odźwierny. Wsunął mu pospiesznie do ręki latarkę i powiedział:

— Tylko prędko, senior! Mój brat odbierze od pana klucze. Sternau przebiegł sale, starannie zamykając za sobą każde drzwi.

Na dole spotkał stróża.

— Bogu dzięki! — odezwał się stary sługa na jego widok. — Już poważnie zacząłem się o was niepokoić.

— To było zbyt ciche — odrzekł Sternau. — Teraz muszę się spieszyć, tutaj macie klucze.

Wsunął mu do ręki latarkę oraz klucze, które ten miał odnieść bratu, sam zaś zniknął w ciemnościach. Pod osłoną nocy udało mu się szczęśliwie przedostać aż do domu Emilii.

Oczekiwała go z niecierpliwością, na jego widok odetchnęła głęboko i zawołała:

— Bogu dzięki! Byłam już o was niespokojna, senior. Czy Francuzi domyślają się, że jesteście u mnie?

— O nie, seniorita. Proszę się nie martwić.

— Jak wam poszło? Rozmawialiście z oficerami?

— Naturalnie. Wszyscy znajdowali się u komendanta. Powiedziałem im, że jestem posłem Juareza, ale mimo to postanowili mnie uwięzić i rozstrzelać jeszcze dzisiejszej nocy.

— *Mon dieu!* Groziło panu wielkie niebezpieczeństwo!

— Nie było aż takie. Wprawdzie obskoczyli mnie z wyciągniętymi szpadami, ale moje dwa rewolwery powstrzymały ich na jakiś czas.

— Pułkownik Laramel także brał w tym udział? — spytała.

— Tego wcześniej powaliłem pięścią na ziemię, obraził mnie.

— Ach! Zabił go pan?

— Nie, zemdlął tylko, lecz dużo czasu upłynie zanim wróci do przytomności, ale gdzie jest mój mały przyjaciel, Andre, seniorita?

— Nie dał się zatrzymać i uciekł.

— Dokąd?

— Pojechał naprzeciw Juareza i Apaczów. Nie mógł spokojnie wysiedzieć, zbyt się o was martwił. Zapewne chce sprowadzić pomoc.

— W takim razie muszę pędzić za nim — odparł Sternau. — Boję się, żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa.

— Prosił, by powiedzieć wam, jak wrócić, że czekać będzie na was w lesie, przy koniach.

— Muszę tam jechać, chociaż właściwie zamierzałem robić coś zupełnie innego.

— Kiedy was znowu zobaczę, senior.

— Pewnie prędzej niż się spodziewacie. Tymczasem, bądźcie zdrowa, seniorito!

Wyszedł opuszczając miasto chyłkiem. W krótkim czasie dotarł do lasu, na to samo miejsce, gdzie przywiązali rumaki. Oba konie stały jeszcze, widocznie mały traper nie pojechał naprzeciw Apaczów. Sternau właśnie myślał, czy ma na niego czekać, gdy usłyszał jakieś kroki.

— Andre!

— Ach, pan już tutaj? — spytał. — Proszę wybaczyć, że się oddaliłem, ale troska o pana nie dała mi spokoju i wyгнаła z miasta.

— To nie było konieczne, przyjacielu.

— Do diabła. Poszedł pan przecież wprost do jaskini lwa, jaką więc mogłem mieć gwarancję, że pana nie rozerwą.

— Nie jestem z tak delikatnego materiału, aby łatwo było mnie rozerwać.

— W to nie wątpię. Ale dla jednego zająca, sfora psów bywa groźna. Mogli pana złapać i wraz z innymi rozstrzelać.

— Rzeczywiście chcieli to uczynić.

— Widzi pan! Dlatego udałem się naprzód, chcąc się dowiedzieć, czy przypadkiem nasze siły już nie nadchodzą.

— Jeszcze za wcześnie.

— O, Apacze pędzą znakomicie, a i Juarez nie jeździ gorzej.

— Co? Czyżby już tu byli?

— Nie inaczej, ale ich konie padają ze zmęczenia.

— Kto przybył?

— Juarez, obaj wodzowie Apaczów, pańscy towarzysze i stu wojowników. Reszta na słabszych koniach pozostała w tyle.

— Stu wojowników? To wystarczy! Chodźmy szybko! Odwiązali swe konie i opuścili las. Niedługo dotarli do Apaczów.

Na skutek głębokiej ciemności mogli rozpoznawać się tylko po głosie. Juarez przystąpił do Sternaua mówiąc:

— Senior to była zawrotna jazda, jeszcze w życiu w takim tempie nie przebyłem takiej odległości. Muszę przyznać, że bolą mnie wszystkie kości i mięśnie.

— Niech pan trochę odpocznie. Może pan nam przekazać swe rozporządzenia.

— O nie, nie senior. Chcę być obecnym przy wszystkim.

— Nawet wtedy jeżeli wolność albo nawet i życie pańskie byłoby zagrożone?

— Nawet wtedy. Moim obowiązkiem jest pokazać intruzom, że prawdziwy Meksykanin wszystko gotów jest poświęcić dla wolności kraju, a czy ja, jako prezydent nie powinienem dawać przykładu? Senior Andre opowiedział mi, że pan udał się do komendanta.

— Tak. Rozmówiłem się z nim w obecności wszystkich oficerów.

— I jaki skutek?

— Taki, jakiego się można było spodziewać. Dekret co do republikanów rzeczywiście został wydany. Według niego tak pan, jak i wszyscy pańscy sprzymierzeńcy wyjęci są spod prawa, każdy uwięziony ma być uważany za bandytę i jako taki stracony. Mnie także chcieli uwięzić i jeszcze dzisiejszej nocy rozstrzelać.

— Czy powiedział im pan co postanowiłem w odwecie?

— Powiedziałem. Wyśmiali mnie tylko.

— Nie wiedzieli co się stało w forcie Guadaloupa?

— Nie mieli o tym zielonego pojęcia. Naturalnie powiedziałem im o wszystkim, ale nie miałem czasu czekać na odpowiedź, musiałem uciekać.

— A co słysząc z uwięzionymi?

— Ci nie mogą liczyć na żadne względy. Dziś w nocy ma się odbyć egzekucja. Jeżeli się nie mylę chcieli mnie rozstrzelać razem z nimi.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak tutaj czekać na egzekucję, otoczyć ich i potem powystrzelać. Wprawdzie moje serce buntuje się przeciw tak nadmiernemu rozlewowi krwi i mordowaniu niewinnych żołnierzy, lecz cóż innego można wymyślić.

— Jeżeli chce pan oszczędzić życie niewinnych, to mam lepszy pomysł, który pozwoli nam uniknąć egzekucji.

— To by było bardzo dobrze, senior. Wolno zapytać co to za plan?

— Ależ oczywiście, mam na myśli uwięzienie wszystkich oficerów tutejszej załogi. W ten sposób możemy ich zmusić do oddania miasta bez rozlewu krwi, bez jednego wystrzału.

— *Caramba!* Gdyby to było możliwie!

— To nie będzie trudne, senior.

— Jak pan to wszystko obmyślił?

— Obecnie wszyscy oficerowie zgromadzeni są u komendanta. Niepostrzeżenie przedostaniemy się tam i złapiemy ich w pułapkę. Słyszałem, że z panem przybyło stu wojowników. Połowa wystarczy by obsadzić cały ratusz.

— Myśli pan, że uda się ich podejść?

— Jak najbardziej. Odźwierny ratusza jest po naszej stronie. Tylko jemu zawdzięczać powodzenie mojej misji.

— W jaki sposób poznał go pan?

— Jego bratem jest stróż domu, w którym mieszka panna Emilia.

— Aha, tędy droga. Czy będziemy mieli okazję porozmawiania z tą niezwykłą kobietą, nie narażając przy tym ani siebie, ani jej?

— Podejmuję się zaprowadzić pana do niej i odprowadzić z powrotem, jeżeli zechce mi pan całkowicie zaufać.

— Tak, chodźmy. Bardzo zależy mi na tym, aby porozmawiać z senioritą Emilią, zanim podejmę dalsze kroki.

Obaj udali się do miasta. Nie zauważeni przez nikogo dotarli do domu Emilii.

— Miasto wcale nie wygląda na warowny obóz — odezwał się Juarez. — Zaczynam wierzyć, że bez trudu uda nam się wykurzyć z niego Francuzów.

W ciemnej sieni domu zawołał na nich znajomy Sternauowi głos:

— Kto tam?

— Ja, Sternau przybywam ponownie. Co słychać w kwaterze komendanta?

— Wspaniale, senior. Mój brat skłamał komendantowi, że czekał na was jakiś jeździec i że zaraz odjechaliście na południe. W tym kierunku wysłano pogoń.

— To wspaniały pomysł, w ten sposób jesteśmy bezpieczni. Czy można pomówić z senioritą Emilią?

— Was senior przyjmie niezawodnie i to o każdej porze. Mam zaświecić latarkę?

— Dziękuję, nie potrzeba, znam drogę.

Poszli po schodach i udali się wprost do salonu Emilii. Gospodyni siedziała w fotelu, jakby czekając na kogoś. Na widok prezydenta szybko wstała, podała mu rękę i z radością zawołała:

— Witaj prezydencie! Dumna jestem, że mogę pierwsza powitać pana w naszym mieście. Oby Bóg dał, żeby wejście wasze było szczęśliwe i aby było połączone z taką korzyścią, na jaką cały naród czeka z utęsknieniem.

— Dziękuję pani — odrzekł z wrodzoną łagodnością. — Do tego, że mogłem tutaj przybyć, w znacznej mierze sama się pani przyczyniła. Właściwie powinienem pozwolić pani

wypocząć, ale niestety, zmuszony jestem okazać się niewdzięcznikiem i posłać panią do dalszej służby dla narodu.

— Ach, zapewne ma pan dla mnie nowe zadanie? — spytała uradowana.

— Tak, chciałbym panią wysłać do stolicy, do cesarza. Oblicze jej zaróżowiło się z radości.

— Czy mam się udać tam otwarcie? — spytała.

— Może się pani udać otwarcie i otwarcie wystąpić, ale właściwe zadanie pani i działalność będzie tajemnicą. Jednak zanim o tym pomówimy chciałbym powrócić do terażniejszości i do obecnych stosunków. Co to za człowiek, ten tutejszy komendant?

— Tuzinkowy, senior — odrzekła. — Trochę dzielny, trochę tchórz, trochę zarozumiały i trochę lekkomyślny. Nic szczególnego. Brakuje mu samodzielności i charakteru, nawet jako podwładny nie odznacza się zbytnim posłuszeństwem.

— Czyli, że nie musimy się go zbytnio obawiać?

— O nie.

— A czy jest wśród oficerów jakiś, który potrafiłby w nadzwyczajnych przypadkach zachować zimną krew i silną wolę?

— Myślę, że nie. Nawet pułkownik Laramel, który dopiero co przybył, odznacza się raczej grubiaństwem, niż talentem i sprytem.

Czoło Juareza zachmurzyło się.

— Słyszałem o nim. Muszę mu się dobrze przyjrzeć — odrzekł. — Musi pani wiedzieć, że senior Sternau poradził mi nie czekać na egzekucję, tylko najpierw napaść i uwięzić oficerów w ich własnej kwaterze.

Oczy jej rozbłysły żywym ogniem.

— Wyborna myśl — odpowiedziała. — Z oficerami cała załoga i całe miasto wpadnie w pana ręce. Jednym uderzeniem zajmie pan całą prowincję.

— To prawda, jeżeli się tylko uda.

— Musi się udać — odezwał się Sternau. — Potrzebujemy posłać stróża do jego brata, by nam otworzył tylne wyjście.

Opowiedział prezydentowi w jaki sposób udało mu się umknąć z ratusza. Juarez pokiwał głową i odezwał się po pewnej chwili:

— Ilu Francuzów jest w mieście wiem, od seniora Andre. Moich stu Apaczów wystarczy, by wszystkich oficerów pojmać i ubezwłasnowolnić załogę, przynajmniej do czasu, gdy przybędą pozostali wojownicy.

— Czy wolno mi przedstawić projekt, senior? — spytał Sternau.

— Proszę!

— Sześćdziesięciu wojowników postawimy jako strażę przy wszystkich głównych wyjściach z miasta. Dowódców dla tych porozdzielanych oddziałów mamy pod dostatkiem, powinni nimi być: Andre, Mariano, Bawole Czoło i obaj wodzowie Apaczów. Jak tylko obsadzę miasto ze wszystkich stron, udam się z pozostałymi czterdziestu do ratusza i pojmiemy oficerów. Napadniemy na nich tak zniecka, że nawet nie pomyślą o obronie. Możemy ich zastraszyć, że każdego rozstrzelamy na miejscu, jeżeli nie przyjmą naszych warunków. W ten sposób całe ich wojsko będziemy trzymać w szachu.

— To bardzo dobry pomysł — odrzekł Juarez. — Najlepsza droga do tego, by bez rozlewu krwi osiągnąć cel.

Sternau ciągnął dalej:

— Po zajęciu ratusza musimy uwięzić wszystkich oficerów i przetrzymać do rana. Po wschodzie słońca będziemy mogli lepiej zorientować się w sytuacji i zdecydować co dalej robić. Tymczasem nadciągnie reszta naszych i całe miasto opasa silnym kordonem.

— Panowie nie musicie liczyć tylko na własne siły — przerwała Emilia. — Przecież wśród czternastu tysięcy mieszkańców, znajdzie się z parę tysięcy dzielnych mężów, którzy na wiadomość o powrocie prezydenta pochwycą za broń. Ja ich dokładnie znam. Zaraz w nocy roześle wiadomość, przynajmniej do tych najważniejszych, oznajmiając im co zaszło.

— Ten plan też jest dobry — zawołał Juarez. — Tylko bardzo proszę, aby pani się tym nie zajmowała. Proszę pozostać jak do tej pory osobą neutralną i nie zdradzać się. Mam co do tego ważne powody. Proszę raczej powiedzieć nam o kimś, komu będziemy mogli powierzyć tę misję, naturalnie musi to być ktoś godny zaufania.

— W takim razie zaproponuję jednego, wyjątkowo godnego zaufania, który na sam dodatek gotów jest pójść za panem w ogień. On zna wszystkich patriotów w naszym mieście.

— Kto to taki?

— Właściciel małej gospody, która znajduje się naprzeciwko mego domu.

— Ach to ten, o którym opowiadał nam Andre, to u niego zatrzymał się podczas wizyty w mieście.

— Tak, to ten sam.

— Myśli pani, że jeszcze nie śpi?

— Prawdopodobnie, a nawet gdyby było inaczej to łatwo go obudzić.

— To dobrze. Teraz muszę wydać rozporządzenia. Senior Sternau! Wprawdzie pana losy Meksyku i moja osoba nie obchodzą wiele, to jednak do tej pory okazywałeś mi tyle zrozumienia, iż myślę, że nadal nie odmówi mi pan swojej pomocy.

— Z całą pewnością — odrzekł Sternau. — Proszę tylko powiedzieć, w jaki sposób mogę być panu pomocny.

— Chciałbym pana prosić, byś był tak dobry i udał się teraz do naszego wojska. Tam wyda pan odpowiednie polecenia. Proszę tych czterdziestu, lepiej pięćdziesięciu wojowników przyprowadzić w tajemnicy aż tutaj. Zaraz potem udamy się do ratusza. Jak pan będzie wychodził, proszę nie zapomnieć zawołać do mnie stróża.

Sternau oddalił się natychmiast, a po chwili zjawił się stróż. W sieni z powodu ciemności nie widział Juareza, kiedy go jednak teraz zobaczył, podskoczył jak młodzieniec. Ze zdziwienia i radości zawołał:

— O Boże! Toż to pan prezydent! O, senior, czyja aby nie snię? Na twarzy jego malowała się taka szczerza radość, że Juarez nie mógł tego nie dojrzeć. Podał mu rękę mówiąc:

— Tak, senior, to ja. Zna mnie pan?

— Widziałem pana, jak stąd jechałeś prosto do el Paso del Norte. Ale, że też pan odważył się, sam jeden przybyć tutaj, do Chihuahua, to przecież strasznie niebezpieczne.

— Nie tak bardzo. Jeszcze dzisiaj spodziewam się zająć miasto, naturalnie liczę przy tym na pańską pomoc.

— Uczynię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

— Dobrze. Ponoć pański brat jest odźwiernym w ratuszu, czy to zaufany człowiek?

— Najzupełniej, senior. Równie gorliwy republikanin, jak ja.

— Proszę się udać do niego i powiedzieć mu, aby mi tak, jak senior Sternauowi otworzył tylną bramę budynku.

— Pan prezydent chce udać się do oficerów?

— Naturalnie.

— Ależ to ogromne ryzyko. Jeszcze pana zaaresztują.

— Przecież Sternaua nie uwięzili, choć był sam jeden, ja zaś udam się tam z pięćdziesięcioma Apaczami, więc nie tylko, że mnie nie aresztują, ale... przeciwnie, to ja ich pojmem.

— Pięćdziesięciu Indian? To wystarczy, to zupełnie co innego. Ten podstęp musi się udać. Całe miasto będzie nasze. Pobiegnę natychmiast do brata. On panu otworzy nawet wszystkie bramy.

— Proszę się spieszyć. Przedtem jednak proszę wstąpić do *venty* i powiedzieć gospodarzowi, tylko tak, aby nikt nie słyszał, żeby się tu zaraz zjawił.

Stary sługa pobiegł jakby mu dziesięć lat ubyło. Niedługo potem ukazał się karczmarz z oznakami ogromnej radości na twarzy. Był tak uszczęśliwiony, że mógł zobaczyć prezydenta



i że dostał od niego zadanie. Miał zrobić spis wszystkich republikanów w mieście. Listę tę miał zatrzymać do dalszego rozporządzenia.

Niedługo po jego wyjściu zjawił się Sternau i oznajmił o gotowości Apaczów.

— Czy ktoś was widział? — spytał prezydent.

— Nie. Indianie nawet dniem umieją prześlizgnąć się niepostrzeżenie, cóż dopiero podczas tak ciemnej nocy. W takiej ciemności mogliby nawet swój wojenny taniec odtańczyć na rynku przez nikogo niezauważeni.

— W takim razie chodźmy. Pan będzie przewodnikiem. Emilia prosiła jeszcze odchodzących, by zachowali maksymalną ostrożność. Juarez zbliżał się już do drzwi, gdy odwrócił się nagle i powiedział:

— Właśnie wpadło mi coś do głowy, seniorita. Czy odważyłaby się pani towarzyszyć nam?

— Naturalnie — odpowiedział. — W każdym razie nie potrzebowałabym się tak martwić będąc—razem z panami, niż gdyby została sama.

— Pani obecność będzie nam potrzebna z innego powodu. Pojedzie pani do cesarza, więc musi pani udowodnić, że rzeczywiście im sprzyja. Bliższych instrukcji udzielię pani jutro. Teraz proszę iść z nami. Chwilę przed naszym wejściem zjawi się pani u komendanta. Proszę mu oznajmić, że właśnie przez swych szpiegów, dowiedziała się pani, że maszeruję w stronę Chihuahua i mam zamiar zająć miasto, a także, że postanowiłem udać się wprost do ratusza i zająć go, otoczywszy najpierw Indianami. Resztę pozostawiam pani i powierzam jej bystrości. Naturalnie musi im pani poradzić, aby natychmiast poczynili kroki zabezpieczające i udaremniłi mój zamiar. W odpowiedniej chwili zjawię się. Co do toalety proszę zaniechać wszelkich strojów. Muszą nabrać pewności, że dowiedziała się pani o wszystkim właśnie w tej chwili i nie tracąc czasu pospieszyła do nich.

— Zrzucę tylko poncho i już jestem gotowa.

Chwilę później wszyscy troje opuścili dom Emilii. Indian nie było nigdzie widać.

— Gdzie oni są? — spytał Juarez.

— Leżą w ukryciu, przy domach wzdłuż ulicy — odparł Sternau. — Chodźmy tylko, oni podążą za nami bez specjalnego rozkazu.

Skradali się przez kilka ulic, dopóki nie dotarli do tylnej bramy ratusza. Tutaj oczekiwał na nich stróż Emilii.

— Wszystko w porządku? — spytał Juarez.

— Wszystko, senior — odpowiedział stary.

— Gdzie wasz brat?

— Stoi na schodach z latarnią i poprowadzi pana do środka, ja wejdę ostatni zamykając drzwi.

— Oficerowie siedzą razem?

— Tak jest. Ale pan przychodzi sam, gdzie Indianie?

— To prawda, gdzie oni są? — spytał prezydent Sternaua. Dotychczas nie widział ani jednego, lecz zaledwie wypowiedział te słowa i to przytłumionym głosem, a tuż obok powstała jakaś ciemna postać, odpowiadając szeptem:

— Tu jesteśmy!

W sekundzie obok stanęło pięćdziesięciu Indian.

— Teraz naprzód! Tylko cicho.

Przestroga ta wobec Indian była zupełnie zbyteczna.

Jeżeli ktoś uważnie patrzyłby na górne okna ratusza, to ujrzałby tu i ówdzie migające w oknach światelko. Był to blask latami odźwiernego, który przez poszczególne pokoje, prowadził za sobą całą kolumnę.

\* \* \*

W tym samym czasie pułkownikowi Laramel wróciła przytomność. Skutki uderzenia nie minęły jednak tak prędko. Głowę miał ciężką jak ołów i nie mógł zebrać myśli, z trudem tylko mówił.

— O gdybym tylko mógł dorwać tego łotra — wołał od czasu do czasu ze złością. — Kazałbym go zatłuc różgami na śmierć.

— Złapiemy go i to całkiem szybko, — pocieszał go komendant — a wówczas poniesie zasłużoną karę i to tak straszną, że pańska chęć zemsty będzie zaspokojona.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie wszedł. Wszyscy oficerowie poderwali się z miejsc ze zdziwienia. W drzwiach stała Emilia.

— Seniorita, pani tutaj? — spytał komendant. — O tej porze?

— Tak, wprawdzie to nie jest odpowiednia godzina na składanie wizyt, ale nie mogłam zważyć na konwenanse, obowiązek nakazywał mi natychmiast udać się do panów.

— Obowiązek? To brzmi jakoś dziwnie i poważnie.

— Bo to są poważne wiadomości, komendancie. Dowiedziałam się bardzo ważnych rzeczy.

— Proszę usiąść i mówić.

Chciał jej podsunąć krzesło, lecz skinęła ręką mówiąc:

— Proszę wybaczyć senior, że nawet nie siadam. Jak panowie widzicie, przybywa tu bez przygotowań, tak nagle, tylko dlatego, by panów ostrzec przed groźącym niebezpieczeństwem.

Uśmiech komendanta ustąpił miejsca trwodze.

— Przed niebezpieczeństwem? A cóż takiego może nam grozić?

— Określę to jednym słowem, Juarez nadciąga.

— Ach, to mnie uspokaja! — odpowiedział.

— Co... to pana uspokaja? — spytała zdziwiona.

— Naturalnie, wyczekiwałem już Bóg wie, jakiego nieszczęścia.

— W takim razie nie rozumiem pana, czyż to nie jest najgorsza nowina, jaką panu przyniosłam?

— O nie. Zresztą byłem na nią przygotowany. Już dzisiaj słyszałem, że Juarez wyruszył z el Paso del Norte i chce zająć prowincję Chihuahua.

— A więc potwierdza się moja informacja?

— Tak bardzo nie, jak to sobie pani przedstawia. Ten Indianin, który sobie ubzdurał, że jest prezydentem Meksyku, nie jest groźny.

— Pan pułkownik się myli. Dowiedziałam się, że on pobił pańskich żołnierzy.

— O tym także już słyszałem — odrzekł.

— I pan to mówi tak spokojnie?

— Naturalnie. Uważam to za kłamstwo.

W głębi serca nie wątpił w prawdziwość tych doniesień, ale wstydził się przed kobietą zdradzić ze swych obaw. Emilia poczęła jednak nalegać.

— Ja jestem przekonana, że to nie kłamstwo, ten człowiek, który mi o wszystkim doniósł, nie mógł się mylić.

— Któż to taki?

— Pan pułkownik wie, że mam wystarczająco dużo informatorów. Między nimi mam także pewnego Meksykanina, poszukiwacza złota. Był niedawno w forcie Guadalupe i widział walkę.

— A gdzie jest teraz?

— W moim domu. Właśnie przybył do mnie.

— Chciałbym go widzieć i porozmawiać z nim.

— Dobrze, zaraz z rana przyśle go tutaj, jeżeli oczywiście nie będzie za późno.

— To brzmi jakoś wyjątkowo niepokojąco.

— Bo jestem przekonana, że niebezpieczeństwo jest bardzo bliskie. Ten człowiek jechał do mnie co koń wyskoczy i powiada, że Juarez jest tuż za nim.

— To może powiedzieć tylko zwykły poszukiwacz złota. Juarez przecież nie jest taki głupi, by samemu pchać się w nasze ręce. Wie, że może zostać schwytany i rozstrzelany.

— Pan myśli, że on przyjdzie z małą garstką ludzi?

— Naturalnie, co najwyżej zbierze koło siebie paru drabów, którym na niczym nie zależy.

— Muszę się znowu sprzeciwić panu pułkownikowi. Myli się pan i to bardzo. Juarez ma przy sobie kilkuset Indian.

— Może mieć i parę tysięcy, i tak nie potrafi zdobyć Chihuahua. Indianin nie potrafi zdobywać miasta, zwłaszcza takiego jak nasze, o kilkunastu tysiącach mieszkańców.

— Ale może się wkraść.

— Co by mu to za korzyść mogło przynieść — odezwał się komendant wzruszając lekceważąco ramionami.

— Ależ on w mieście ma licznych sprzymierzeńców, kto wie, czy już nie jest tutaj!

Pułkownik Laramel wmieszał się do rozmowy, mówiąc:

— To bardzo pięknie, że seniorita tak się o nas troszczy, ale choćby nawet był już w mieście, to wystarczy jedno moje słowo, krótki rozkaz, a moi żołnierze łatwo wypędzą go wraz z jego sprzymierzeńcami.

— Proszę spróbować, wątpię czy się uda.

Te głośne słowa zabrzmiały od drzwi, które właśnie otwarto. Przed nimi stanął jakiś mężczyzna w meksykańskim stroju. Jego bystre oczy w sekundzie objął całe zgromadzenie. Na twarzy pojawił się dumny uśmiech.

— Co to? Kto śmie tu wchodzić? — spytał komendant. — Kim pan jest?

— Nazywam się Juarez i jestem prezydentem Meksyku — odpowiedział spokojnie.

— Do stu tysięcy diabłów! — krzyknął pułkownik Laramel wyjmując szpadę. — To on! Widziałem jego fotografię. Łapać go!

— O tym, kto ma być złapany będę decydował ja! — odpowiedział Juarez. — Proszę się poddać, panowie. Opór nic tu nie pomoże.

— Głupstwo! Brać go!

Z tymi słowami Laramel przystąpił do Juareza. Prezydent odsunął się w bok, chcąc by mogli zobaczyć eskortę czekającą za drzwiami.

— Naprzód! — zawołał.

Ledwie wymówił to słowo, gdy nagle cały pokój zaroił się od Apaczów. Z podziwu godną szybkością wskoczyli do środka. Zanim oficerowie mieli czas przyjść do siebie, byli zbici w

kupę i otoczeni ze wszystkich stron. O jakiegokolwiek obronie nie mogło być mowy. Poczęto ich rozdzielać. W sekundzie zabrano im broń, skrępowano i zakneblowano. Leżeli na podłodze powiązani jak barany.

— Senior Sternau! — zawołał Juarez.

Zawołany wszedł do pokoju. Na jego widok pułkownik Laramel rzucił się jak szczupak szarpiąc postronki i gdyby mu nie zakneblowano ust zapewne rzucałby na wszystkie strony przekleństwa.

— Proszę mi zostawić dziesięciu, to mi wystarczy. Z resztą pan uda się do strażników, pojmie pan wszystkich żołnierzy i powiąże. Najpierw jednak musimy się naradzić, co zrobić z tą dziewczyną.

Z ostrą miną zwrócił się w stronę Emilii, która znakomicie udając strach, schowała się w samym kącie pokoju.

— Słyszałem co pani powiedziała, choć prawdopodobnie nie wszystko! — zawołał. — Kim pani jest?

Milczała z przerażenia.

— Proszę odpowiadać! — zawołał rozkazującym tonem.

— Nazywam się Emilia — odrzekła przerażonym głosem.

— Seniorita Emilia? Ha, znam to imię—odrzekł. — Pani mi więcej zaszkodziła, niż cała Brygada Francuzów. Postaram się unieszkodliwić panią. Gdzie pani mieszka.

— Przy ulicy del Emyrado.

— Dobrze, zaraz każę przeszukać pani dom. Jeżeli znajdę choć jeden dowód zdrady, powieszę panią, jak pierwszego lepszego szpiega. Senior Sternau, proszę zabrać ze sobą tę kobietę. Ma zostać związana i wrzucona do więzienia. Potem zajmę się jej losem.

Sternau wyjął łąso i skrępował Emilię.

— Marsz za drzwi! — zawołał z udanym oburzeniem. Popchnął ją dając znak Apaczom, by mu towarzyszyli. Jednak, gdy tylko wyszli na korytarz, odwiązał łąso mówiąc:

— Proszę wybaczyć, seniorita. Byłem zmuszony trochę po grubiańsku się z panią obejść.

— Naturalnie, musiał pan grać swoją rolę do końca — odpowiedziała. — Ale co teraz ze mną zrobicie?

— Teraz jest pani wolna.

— Mogę zostać z panem?

— Proszę tego nie czynić. Nie wiem, czy żołnierze, których mamy pojmać nie zechcą się bronić. Tam stoi odźwierny. Zaprowadzi panią do domu. Niedługo poinformujemy panią, czy nasz podstęp się powiódł.

Poszła za jego radą. Sternau tymczasem podążył z Apaczami do wartowni.

Tam, nikt nie przypuszczał nawet co się stało na górze. Pojmanie oficerów zostało przyprowadzone tak szybko i skutecznie, że żaden z nich nie miał nawet czasu krzyknąć.

Żołnierze siedzieli na ławkach zabawiając się opowiadaniem dowcipów, nie przeczuwając co nad nimi zawisło. W jednej chwili otwarły się szeroko drzwi, w kilku sekundach wpadło czterdziestu Apaczów chwytając przede wszystkim za karabiny wiszące na ścianie. Kilka uderzeń w głowę i kilka silnych uchwytów za gardło rozbroiło zupełnie żołdaków. W dwie minuty wszyscy leżeli powiązani.

Sternau rozkazał zamknąć bramę. Nikt nie przeczuwał co się wydarzyło w ratuszu.

Tymczasem Juarez przesłuchiwał komendanta. Apacze wyjęli mu knebel i posadzili na krześle.

— Słyszałem koniec pańskiej rozmowy z tą kobietą — odezwał się Juarez. — Sądzę, że to pan jest komendantem Chihuahua. Może się mylę?

— Jestem nim — odrzekł krótko zapytany.

— Dobrze, w takim razie mam z panem nieco do pomówienia. Komendant przerwał mu mówiąc pospiesznie:

— Niech się pan nie spodziewa, że będę odpowiadał na jego pytania. Najpierw muszą mi zdjąć więzy. To chyba jakiś barbarzyński zwyczaj, krępować oficerów.

— Ma pan całkowitą rację, *monsieur* — odrzekł spokojnie Juarez. — Francuzi wyłapali już wielu moich oficerów, między nimi nawet dwóch generałów. Może pan o tym nie wie, że powiązali ich bez sądu i rozstrzelali bez wyroku? Czy nie mam prawa uważać ich oficerów, za oficerów barbarzyńskiego narodu i stosownie do tego postępować z nimi? Każdy rozsądny człowiek to zrozumie i nie zdziwi się nawet, bo płacę równą monetą.

— To jest fałszywe porównanie — zawołał komendant. — Rozstrzelani byli burzycielami.

— Czy może podburzam, jeżeli wyrzucam z domu z obcego człowieka, który wkradł się do niego podstępem lub przemocą, aby mnie obrabować? Proszę się nie ośmieszać. Jest mi to całkowicie obojętne, czy zechce pan ze mną rozmawiać, czy nie. Chciałem tylko o ile możliwości oszczędzić was, bo nie chcę być uważany za takiego samego barbarzyńcę jak Francuzi. Chce pan udaremnić mój zamiar, ha... w takim razie skutki postępowania spadną na pańską głowę.

— Ja się tych skutków nie boję — zamruczał komendant.

— Dość złudny pogląd, *monsieur*. Pan zdaje się nie chce zrozumieć, że sytuacja pańska jest krytyczna. Musi pan mieć błędne informacje o moich siłach. Proszę wierzyć, że nie jestem bezsilny.

— Na to moi żołnierze dadzą panu odpowiedź.

— Pana żołnierze? Ha! W tej chwili całe miasto obsadzone jest tak szczelnie, że żadna mysz nie zdoła się wymknąć albo wtargnąć do miasta bez mego pozwolenia. Cała pańska straż i wszyscy oficerowie są w moich rękach. Oddziały, które pan wysłał zostały całkowicie rozbite. Na wiadomość, że przybyłem, wszyscy mieszkańcy miasta chwycą za broń i staną po mojej stronie. Ma pan może tysiące żołnierzy? Załoga licząca kilkaset żołnierzy zostanie zlikwidowana w pięć minut. Pyszałkowatość pana jest nie na miejscu. Pytam po raz ostatni, będzie pan ze mną rozmawiał, czy też nie?

— Wszelkie rokowania są daremne, pan nie jest osobą, z którą można wchodzić w układy.

Brwi Juareza ściągnęły się groźnie, hamując gniew odrzekł:

— Tą samą uwagę zrobił pan wobec mego posła. Ośmielił się pan nawet grozić mi śmiercią. Tak jego, jak i mnie ogłosił pan bandytą i chciał stosownie do tego postępować. Otóż powiadam panu, że cała rzecz ma się odwrotnie. Pan i pańscy podkomendni przemocą wtargnęliście do tego kraju, a więc to raczej was mógłbym nazwać bandytami. Co zaś się tyczy tego, że nie chce mnie pan uznać za osobę, z którą można rokować, to muszę oznajmić, że to ja poniżam się rozmawiając z panem i wdając się z nim w układy.

— Jakie dowody ma pan na to? — zawołał komendant.

— Jeden, ale wyjątkowo skuteczny. Pan został znieważony i to porządnie, a nawet odarty z czci.

— Do pioruna! Gdybym nie był związany pokazałbym panu, jak francuski oficer odpowiada na taką obrazę!

— O obrazie nie może być mowy. Czarny Gerard uderzył pana w twarz. Sądzę, że to wystarczające znieważenie dla oficera. Co więcej, zdarł z pana przy tym epolety, a to już najwyższa zniewaga, na jaką oficer może być narażony. Stracił pan przy tym zarówno cześć jak i szacunek, więc ja rzeczywiście muszę się poniżyć rozmawiając z panem. Pułkownik Laramel również został znieważony, bo senior Sternau palnął go pięścią w głowę. Mam więc powody wątpić, czy znajduję się w odpowiednim towarzystwie. Pytam powtórnie, chce pan ze mną rozmawiać?

Komendant milczał. Nie znalazł ani słowa by zaprzeczyć, przytoczonym argumentami. Dobrze wiedział, że Juarez mówił prawdę.

— Pana milczenie potwierdza me słowa — mówił dalej Juarez. — Zresztą w tym wypadku nie rozchodzi się o to, kto z nas ma prawo do rokowań. Czyny mówią same za siebie. Obecnie znajduje się pan w moich rękach, więc o wiele korzystniej dla pana będzie porzucić tę głupią

pychę i zachować ją na stosowniejszą porę. Teraz proszę mi powiedzieć, czy dekret z trzeciego października dotarł już do pana?

Komendant musiał przyznać w głębi ducha, że znajduje się w fatalnym położeniu i że lepiej uczyni, jeżeli przynajmniej tymczasowo zastosuje się do życzenia Juareza.

— Tak — odparł.

— Kto go panu wręczył?

— Pułkownik Laramel.

— Czy ten dekret wyłącza wszystkich republikanów spod prawa?

— Tak.

— Dostałeś pan więc rozkaz uważać nas za bandytów i jako takich odpowiednio nas traktować?

— Tak.

— Rozstrzelać lub zabić.

— Nie inaczej.

— Czy chciał się pan dostosować do tego dekretu?

— Posłuszeństwo jest obowiązkiem żołnierza.

— Wydał pan nawet rozkaz, że dziś w nocy, wszyscy moi sprzymierzeńcy, których niedawno ujęto, mają zostać rozstrzelani?

— Skąd pan o tym wie?

— To już moja tajemnica. Ale sam fakt, że wiem, musi pana przekonać, że nie możesz polegać nawet na swoich ludziach. Miałem zamiar przybyć tu dopiero za kilka dni, ale dowiedziawszy się o tym, musiałem pospieszyć, by uratować tych biedaków przed niezasłużoną śmiercią. Najpierw posłałem więc do pana mego pełnomocnika. Czy nie powiedział panu, że będę się mścił i odpłacę pięknym za nadobne?

— To akurat powiedział.

— Pomimo tego chciał pan swój okrutny rozkaz wprowadzić w czyn? W takim razie, teraz ja ogłoszę, by każdego obcego, który z bronią w ręku wtargnął do Meksyku uznawano za bandytę.

Meksyk, jak panu wiadomo, zaciągnął w Anglii, Hiszpanii i Francji, pożyczki. Większa część tych długów urosła wskutek potwornego oszustwa. Pomimo tego, zażądano od nas spłaty. Cały kraj znajdował się w agonii. Głosem ludu zostałem wybrany na prezydenta.

Podjąłem się tego trudu i przyjąłem tę godność. Bardzo mi z początku ciążyła, ale czułem w sobie siłę i byłem przekonany, że podołam zadaniu i poprawię sytuację, w jakiej znalazł się mój kraj. Udało mi się. Zaprowadziłem pokój, przyniosłem zgodę i regularnie płaciłem długi.



Kiedy oznajmiłem, że owych milionów, pochodzących z oszustwa nie mam zamiaru spłacać, rzucono się na mnie. Anglia, Francja i Hiszpania zjednoczyły się, chcą mnie przemocą zmusić do zapłaty. Anglia i Hiszpania wkrótce ustąpiły, bo uznały, że prawo jest po mojej stronie. Francja jednak nie chciała przyznać się do błędu. Przysłała do Meksyku całe legiony, byłem za słaby, by oprzeć się tej przytłaczającej przewadze. Setki milionów dolarów pożyczył Napoleon, by uzbroić swe wojska, by je przetransportować i by je opłacić za okrucieństwa, jakich się u nas dopuszczali. Naturalnie, te setki milionów długów zaciągnął na nasze konto. Myje mieliśmy spłacać i niestety spłacamy. A teraz ta logika:

Dlatego, że Meksykanin wzbrania się i nie chce do ostatka być wyssanym, ogłaszają go bandytą, wieszają i rozstrzelają. Czy zgasło w was całkowicie poczucie sprawiedliwości? Może obce państwo prezydenta innego kraju złożyć z godności? Wolno francuskiemu regentowi, który sam bezprawnie wdrapał się na tron wyrzucać amerykańskiego regenta? O nie, przenigdy! Można cofnąć się przed przemocą bagnatów i poczekać w odosobnieniu na stosowny czas do działania. Ale kto mnie nie chce uznać za prezydenta, kto zaprzecza memu prawu do władzy, ten jest albo wariatem, albo rozbójnikiem zaliczającym się do hord grasujących w naszym kraju.

W Starym Testamencie jest napisane: „oko za oko, ząb za ząb!” Czy mam się kierować tym prawem i według niego postępować z panami? Mam pomścić wszystkich poległych rodaków, od czasu, gdy tylko wpadliście do naszego kraju? Mam pomścić tych, których na podstawie tego dekretu już wymordowano. Mam obrócić ostrze i zastosować ten edykt do jego wydawców?

Czy mam panów, Bazaine i tego, którego nazywają cesarzem Meksyku, gdy wpadną w moje ręce uważać za bandytów i kazać powiesić albo rozstrzelać? Nazywacie się dziećmi narodu, który kroczy na czele cywilizacji, mnie zaś przezywacie bandytą, Indianinem, czerwonoskórym. Wy, jako synowie cywilizacji siejecie mord, czego się macie spodziewać od Indianina. Żal mi was, a żałuję dlatego, że czcza duma i pragnienie sławy pomieszały panu jasne pojęcie, tańczycie na sznurku człowieka, który jest jednym z największych egoistów i aktorów świata. Ale historia świata, jest również jego sądem. Nie tysiące, nie setki, dziesiątki lat, tylko jeden rok osądzi i ukarze waszą samowolę. Ten rok przywróci jeszcze Juareza do jego praw, odda go z powrotem jego ludowi, pokaże, że jest Bóg sprawiedliwy, który za dobre wynagradza, a złe karze. Ja nie chcę nim być. Juarez stoi przed mordercami swego narodu, przed niszczycielami kraju. Zechcecie posłuchać mego głosu to dobrze, jeżeli nie, zaciąży moja ręka nad wami. Obecnie jestem panem Chihuahua. Jeżeli zechcecie mnie za takowego uznać i powrócicie do głównej kwatery, naturalnie złożęwszy najpierw

przyrzeczenie, że ani panowie, ani wasi żołnierze nie będą dalej walczyć przeciw nam, w taki wypadku pozwolę panom i pańskim podwładnym odejść, oczywiście po wcześniejszym rozbrojeniu. Jeżeli nie zechcecie się panowie na to zgodzić, będę zmuszony zniszczyć całą tutejszą załogę, panów zaś, o tej samej godzinie, o której chcieliście mordować niewinnych, rozkazę nie rozstrzelać, ale potopić w rzece, w tym samym miejscu, w którym się miała odbyć egzekucja. Daję panom dziesięć minut czasu na zastanowienie się. Zostawię teraz panów samych, naturalnie pod opieką Indian. Kto tylko się odważy głośniej mówić lub będzie próbował ucieczki zostanie zabity.

Podaję panu pomocną rękę i na wszystko co święte proszę, nie odrzucaj jej pan! O jakimkolwiek ustępstwie z mojej strony nie ma mowy. Jak wrócę będę oczekiwał krótkiej odpowiedzi, jednego słowa: „tak” albo „nie”. Nie dopuszczę do żadnych wywodów lub przetargów.

Dał rozkaz Indianom, którzy natychmiast przystąpili do każdego oficera. Podczas, gdy lewą ręką wyjmowali im kneble z ust, prawą wyciągnęli noże, gotowe w każdej chwili do wbicia. Juarez wyszedł z pokoju i udał się do pomieszczenia straży. Tam, na podłodze leżało już około trzydziestu powiązanych żołnierzy. Sternau siedział koło nich, czekając na prezydenta. Apacze w milczeniu czekali na dalsze rozkazy.

Na widok Juareza Sternau wstał i rzekł:

— Tak prędko się pan z nimi uporał, panie prezydencie?

— Jeszcze niezupełnie — odparł. — Oddaliłem się tylko na jakiś czas, nie chcąc im przeszkadzać w naradzie.

— Rozumiem, dał im pan czas do namysłu.

— Tak. Chciałbym uniknąć rozlewu krwi. Nie chcę swego nazwiska okryć piętnem krwiopijcy.

— Wolno zapytać jaki dał im pan wybór?

— Albo każę wszystkich oficerów utopić i zniszczę całą załogę, albo pozwolę im razem z rozbrojonym wojskiem opuścić Chihuahue, odebrawszy wprzód przyrzeczenie, że nie podniosą więcej ręki przeciwko mojej osobie i moim sprzymierzeńcom. W tym drugim przypadku mogą wrócić do swojej kwatery głównej.

— Dla nich to trudny wybór. Po jednej stronie śmierć bez sławy, hańbiąca i upokarzająca, po drugiej powrót bez walki, bez broni. Zapewne będą chcieli rokować.

— Oznajmiłem wyraźnie, że nie dopuszczę do żadnych dalszych układów... albo, albo. W ciągu dziesięciu minut mają rozstrzygnąć o swoim losie i nie dam ani sekundy więcej. Czy pan postąpiłby inaczej?

— Nie, z całą pewnością tak samo.

— Tak więc zostanie. Gdzie jest seniorka Emilia?

— W pokoju odźwiernego.

— Ale mam nadzieję, że wolna?

— Tak, uwolniłem ją zaraz, jak tylko drzwi się za nami zamknęły. Juarez skłonił potakująco głową i rzekł:

— Powiedziałem francuskim oficerom, że w razie nie przyjęcia moich warunków, każe ich potopić w tym samym miejscu, w którym miała się odbyć egzekucja. Myślę, że to akurat da się zrealizować.

— Bardzo łatwo. Przetransportowania ich na miejsce podejmę się z dwudziestoma Apaczami i zaręczam, że nawet kot nas nie zauważy.

— Senior, muszę panu wyznać, że tak zdolnego pomocnika chyba nie będę już miał. Jestem przekonany, że gdyby pan został w naszym kraju, mógłby zostać jednym z najlepszych oficerów. Nie chciałby pan przypadkiem przyjąć mojej propozycji?

— Dziękuję bardzo za zaufanie. Zapomina pan tylko, że jestem lekarzem, więc moim zadaniem jest leczyć rany a nie zadawać je. Oprócz tego tęsknię za moim krajem i bliskimi, których tam pozostawiłem.

Juarez uściśnął serdecznie dłoń doktora.

— Ma pan całkowitą rację — odrzekł. — Ja życzę panu tylko szczęścia. Jeżeli mógłbym panu kiedyś w czymś pomóc, proszę nie zapominać, że jestem gotowy uczynić dla pana wszystko i to o każdej porze. Proszę o tym nie zapominać.

— Będę pamiętał, senior i nawet teraz, zaraz o coś poproszę.

— Aha, masz pan już do mnie jakąś prośbę?

— Tak jest i to nawet naglącą.

— Słucham.

— Mieszkańcy tego miasta, skazani na śmierć, żyją w strasznej trwodze o swoje życie. Każda minuta dla nich jest piekielną męką. Czy naszym obowiązkiem nie powinno być przede wszystkim uwolnienie ich czym prędzej z tej strasznej sytuacji?

— Ma pan zupełną rację. Gdzie są uwięzieni?

— Tego nie wiem, zapytam odźwiernego.

— Proszę się tym zająć, ja mam inne sprawy. Upłynął już czas, jaki dostali oficerowie, muszę wracać.

Odszedł pospiesznie, Sternau zaś udał się do pokoju odźwiernego, który wraz z żoną i Emilią siedzieli ciężko przestraszeni.

Na widok wchodzącego Sternaua klucznik poderwał się z miejsca, Emilia również postąpiła w jego stronę pytając:

— Co słyhać, senior Sternau? Czy niebezpieczeństwo minęło.

— Dotychczas wszystko idzie dobrze — odpowiedział, po czym zwrócił się do klucznika z pytaniem: — Gdzie są więźniowie, którzy mieli być dziś rozstrzelani, w więzieniu?

— Tak.

— To znakomicie. Gdzie konkretnie?

— W jednej z piwnic.

— Mają strażników.

— Pięciu żołnierzy ich pilnuje, a oprócz tego zamknęli razem z nimi pięciu francuskich kapelanów.

— Francuskich kapelanów? To albo straszna głupota, albo umyślne okrucieństwo. Skazany na śmierć chce się wyświadczyć, by sobie ulżyć, a jakże mogą to uczynić skoro najczęściej w ogóle nie władają francuskim. I od obcych księży mają się spodziewać pociechy, błogosławieństwa? To czyste draństwo. Zaraz przyprowadzę paru Apaczów, potem musi mnie pan zaprowadzić do nich.

— Uwolni ich pan? — spytał klucznik.

— Naturalnie.

— Niech panu Bóg wynagrodzi, senior! — zawołał odźwierny.

— Spełnimy dobry uczynek, gdyż uspokoimy ich obawy, powiemy co ich czeka. Oprócz tego będzie to z korzyścią dla nas. Porozdzielamy pomiędzy nich zabraną Francuzom broń, nie wątpię, że z ochotą staną po naszej stronie. W ten sposób wzmocnimy nasze siły.

— Oni są gotowi życie dla was poświęcić! — krzyknął klucznik.

Niedługo zjawił się Sternau z dziesięcioma Indianami zaopatrzonymi w lassa i sznury. Zeszli po szerokich, kamiennych schodach, na dół piwnicy, aż do wielkich zaryglowanych drzwi.

Sternau nachylił się do klucznika szepcząc:

— Czy tam na dole jest światło?

— Tak, senior.

— W takim razie proszę je zgasić lub zgasić swoją latarkę, by nie oświetlała Indian. Lepiej będzie, jeżeli żołnierze nie zobaczą ich od razu.

Klucznik zgasił latarkę i schował do kieszeni, po czym odryglował drzwi. Kiedy je otworzył można było zobaczyć rozległe miejsce, oświetlone słabo lampą wiszącą u stropu.

Indianie posuwali się w tę półciemną norę ze zręcznością kotów. Jeden, dwa, trzy, cztery pięć głośnych krzyków zabrzmiało w podziemiu, po czym znowu zapanowała cisza.

— *Uff!* — zawołał jeden Indianin.

Chciał dać znak, że są gotowi. Sternau wszedł do środka rozkazawszy klucznikowi wyjąć latarkę. Przy jej blasku mogli rozpoznać znajdujących się w więzieniu.

Wzdłuż ścian, w pewnych odstępach były powbijane haki. Koło każdego z nich stał jeden z uwięzionych, skrępowany i mocno przywiązany do żelaza.

— Uwolnić więźniów — zabrzmiał rozkaz Sternau. — Ale szanować sznury, bo będziemy ich jeszcze potrzebowali.

— *Santa Madonna!* Poprowadzicie nas już na rzeź? — spytał jeden z Meksykanów.

— O nie! — odrzekł Sternau — Jesteście wolni!

— Wolni? — odezwało się kilku z niedowierzaniem w głosie.

— Tak jest; powtarzam, jesteście wolni! Mam panom oznajmić, że przybył prezydent Juarez, by obronić was przed śmiercią. Zjawił się w samą porę.

— Juarez? — krzyknęli z radością.

Sto pytań i wykrzykników posypało się naraz.

— Proszę teraz zachować milczenie, panowie! — odezwał się Sternau. — Musimy być ostrożni, gdyż nie zajęliśmy jeszcze całego miasta. Czy zechcą panowie teraz, po uwolnieniu, chwycić za broń i stanąć po stronie prezydenta?

Wszyscy bez wyjątku wyrazili zgodę.

— To dobrze! Spodziewałem się tego. A teraz prędko, kto już jest wolny pomaga rozwiązywać następnych. Musimy całą straż z góry, przetransportować tutaj na dół. Uwięzimy ich razem z dawnymi kolegami, przy tych samych hakach, przy których byli przywiązani panowie. Broń żołnierzy należy do panów. Teraz prędko, do dzieła!

Więźniowie drżącymi od wzruszenia rękami pomagali sobie. W krótkim czasie wszystko było gotowe. Pomaszerowali na górę. Już na korytarzu zetknęli się z Juarezem, który szukał Sternaua.

Prezydent, jak tylko powrócił na górę do oficerów, dał znak Indianom. Natychmiast pozatykali im usta z wyjątkiem komendanta. Mieli taką wprawę w tym, że nawet najsilniejsze zaciskanie szczęk nic nie pomogło.

— Minał czas, panowie, jaki mieliście — odezwał się Juarez do komendanta. — Czy chce się pan poddać?

— Pańskie warunki są zbyt surowe — odrzekł komendant. — Spodziewam się, że...

— Ani słowa więcej! — przerwał mu Juarez. — Powiedziałem wyraźnie, że nie pozwolę na czczą gadaninę. Każde niepotrzebne słowo będę zmuszony uznać za odmowę. Proszę odpowiadać krótko: poddajecie się panowie, czy nie?

— Nasza śmierć będzie natychmiast pomszczona!

— Pogardzam takimi pogroźkami. Pan widocznie chce wypróbować moją cierpliwość. Dobrze, więc niedługo przekona się pan, że nie braknie mi odwagi, by dać się francuskim oficerom napić wody do syta. Żeby pan zaś poznał, że mówię poważnie, nie będę już czekał. Dam wam przedsmak tego, co was czeka.

— Senior! Co pan chce uczynić? — spytał komendant, czy jego rzeczywiście zdradzały trwogę.

— Pułkownik Laramel — odrzekł Juarez — wsławił się jako nasz najzacieklejszy wróg, wymordował setki niewinnych, w walce ani razu nie dał pardonu i teraz z jego winy i namowy tylu patriotów miało zginąć dzisiejszej nocy. Słowem, grasował po całym kraju jak bandyta, toteż poniesie stosowną karę. Bez sądu i wyroku, każę go na oczach panów powiesić... o tu, na tym haku.

— Na to się pan nie odważy! — zawołał komendant.

— Tak? A to dlaczego?

— To francuski pułkownik.

— Wiem o tym, ale wiem także, że ten pułkownik jest większym łotrem niż wszyscy inni. Ma na sumienie wszystkie okrucieństwa swoich podwładnych.

— Ja żądam prawomocnego sądu!

— Sądu? Dla rozbójnika, bandyty? Gdybym nawet zwołał sąd, wyrok brzmiałby: „powiesić!”. Proszę mi wierzyć, że nie stanie mu się krzywda.

Zwrócił się do Indianina stojącego koło pułkownika i zawołał parę słów w jego narzeczu:

— *Ni ti saikhi lariat akayal* — Powieś tego oficera, tutaj, na górze.

Wskazał przy tym za zagięty hak, który był wbity na środku stropu. Zapewne przy okazji większych uroczystości zawieszano na nim dodatkowy świecznik.

— *Uff!* — odrzekł Indianin.

W sekundzie odwiązał swoje lasso pętając na jednym końcu węzeł. Porwał pułkownika pod ramiona i powlókł na środek pokoju. Z równą szybkością pętlę założył mu na szyję.

Widząc to komendant zawołał z przerażeniem:

— Stój! To morderstwo! Protestuję całym swoim autorytetem!

— Ten protest wywołuje u mnie pusty śmiech — odpowiedział Juarez. — Uratować go pan może tylko wtedy, gdy się podda.

Komendant spojrział pytająco na Laramela. Ten jednak zacisnął skrępowane ręce i począł przecząco potrząsać głową. Nie wierzył widocznie, że naprawdę odważą się go powiesić.

— Poddać się nie poddamy, ale dłużej nie zniesiemy takiego traktowania — odrzekł z miną pełną pychy komendant.

— To już zakrawa na głupotę. Oto moja odpowiedź! — odparł Juarez i przy tych słowach skinął na Indianina.

Apacz wyrzucił w górę lasso i z wielką zręcznością począł ciągnąć. Po trzech silnych szarpnięciach pułkownik zawisł pod stropem. Jego konwulsyjne drgania i straszna niebieskawo pokurczona twarz przedstawiały okropny widok.

— Zabójstwo! Mord! Rzeź! — krzyczał przerażony dowódca. Inni oficerowie rzucili się na ziemię targając swoje więzy.

— Pan chyba zapomniał, że wyraźnie zakazałem wszelkich wrzasków — rzekł Juarez. — Zaraz położymy temu kres.

Na jedno skinienie Indianin stojący przy nim wpakował powtórnie komendantowi knebel w usta.

Juarez wyszedł chcąc poszukać Sternaua. Nie spotkał go w pokoju straży. Dopiero od odźwiernego dowiedział się, że Sternau, w celu oswobodzenia uwięzionych republikanów udał się do piwnic. Idąc w tamtą stronę, na schodach napotkał całą gromadę.

Słaby blask latarki nie wystarczył do oświetlenia całej postaci prezydenta, dlatego nie od razu go poznano.

— Ci poczciwi ludzie, byli tutaj zamknięci? — spytał prezydent.

— Wczoraj ich tutaj przyprowadzono — odparł Sternau. — Udało nam się bez wielu korowodów uwolnić wszystkich.

— Była przy nich straż?

— Pięciu żołnierzy i trzech kapelanów. Wszyscy leżą powiązani na dole.

— To dobrze, aleja widzę, że niektórzy mają już karabiny.

— Tak. Mam zamiar wszystkich uzbroić w broń zabraną Francuzom. Przyrzekli walczyć i umierać w obronie republiki.

— Dziękuję panowie! — zawołał prezydent. — To dla mnie wielka pomoc. Będzie mi to z całą pewnością potrzebne.

Równocześnie wyciągnął ręce, podając każdemu z osobna swą dłoń. Dopiero teraz go poznali. Okrzyki radości i szacunku dały się słyszeć z ust uwięzionych. Wszyscy tłoczyli się, pragnąc uścisnąć jego rękę. Nie było jednak czasu na serdeczne powitanie. Juarez przerwał dalsze wybuchy radości słowami:

— Panowie, proszę się przede wszystkim uzbroić. Potem pokażę wam, jak ukarzymy tych, którzy wam wyrządzili krzywdy.

Poprowadził ich do lokalu strażników. Tam porozdzielał pomiędzy nich karabiny i inną broń. Apaczom rozkazał pościągać powiazaną straż do piwnic, sam w towarzystwie Sternaua i uzbrojonych Meksykan udał się na górę, do pokoju oficerów.

Przy wejściu nowoprzybyli nie mogli powstrzymać się od okrzyku przerażenia na widok wiszącego przy stropie pułkownika Laramela.

Strasznie wykrzywiona, nabrzmiała twarz z szeroko otwartymi oczami patrzyła na wchodzących. Ale w oczach tych nie było już życia. Walka ze śmiercią była zakończona. Wisiał sztywny, bez ruchu.

— Panowie, widzicie początek mego sądu — rzekł Juarez. — Ten wiszący oficer to jeden z naszych najzagorzalszych wrogów. Z jego inicjatywy mieliście być dzisiaj rozstrzelani. Pomimo tego, byłem gotów nawet jemu darować życie i pozwolić opuścić miasto. W zaślepieniu swoim, sądząc zapewne, iż nie będę miał odwagi udowodnić, że nie żartuję, odrzucili moją propozycję. Dlatego dla przykładu wykonałem ten wyrok. Może teraz zrozumieją, że to nie żarty.

Pomimo straszego widoku Meksykanie wyglądali na zadowolonych.

— Pozostali — ciągnął dalej Juarez, — będę potopieni, w tym samym miejscu, w którym postanowili panów rozstrzelać. Jestem to winien ceniom wszystkich wymordowanych w obronie swojej ziemi, swojej własności. Ilu niewinnych jeszcze straci życie na mocy niesprawiedliwego dekretu, który nas ogłasza bandytami, dlatego, że chcemy bronić naszego kraju przed obcymi, którzy zabierają nam naszą własność, nasze przywileje, nasze prawa.

Słowa te wywarły powszechne wrażenie. Pierwszy odezwał się Sternau:

— Pan nazywa to zaślepieniem? To nie zaślepienie, to raczej czyste wariactwo, jeszcze teraz sprzeciwiać się nam. Przecież całe miasto jest w naszych rękach. Co ta garstka załogi może zrobić? Czy po naszej stronie nie mamy pięciuset Apaczów, którzy udowodnili, że w odwadze i zręczności przewyższają francuskich żołdaków. A co robią nasi myśliwi, z których każdy z kilkoma Francuzami potrafi się uporać, co obywatele tego miasta, z których wielu czeka z niecierpliwością na jedno hasło, by z bronią w ręku porwać się i odpłacić ciemieżycielom. Czy taki opór to nie głupota!

Słowa te skierowane były wprawdzie do prezydenta, ale nie bez celu wypowiedziane tak głośno; chciał by je słyszeli oficerowie i żeby odniosły należyty skutek. Komendant właśnie poruszył się niecierpliwie dając znak, że chce mówić.



Prezydent ujrzał to i skinął na Apacza. W mgnieniu oka uwolnił komendanta, wyjmując mu knebel z ust.

— Chce pan coś powiedzieć? — spytał Juarez.

— Czy pan rzeczywiście zechce nas utopić? — spytał komendant.

Juarez wzruszył z pogardą ramionami i odparł:

— Jeżeli jeszcze wątpi pan w moje słowa, to i ja zaczynam powątpiewać co do zdrowia pańskich zmysłów.

— Proszę tylko mieć na uwadze odpowiedzialność, jaka na pana spadnie! — odparł Francuz.

Prezydent spałowiał. Już za długo zmuszał się do cierpliwości, teraz wybuchnął krzyżąc swym mocnym głosem:

— Zamilcz pan wreszcie! To wy napadliście na mój kraj i mój lud, mordując i grabiąc. Kto więc wziął na siebie odpowiedzialność za te czyny, ja czy wy? Proszę ze mną nie igrać, bo jak Bóg na niebie, każę pana przed utopieniem wysmagać porządnie kijami. Ta cała pańska mowa, jest nie tylko pozbawiona sensu, ale wprost głupia. Mnie pan chce pociągać do odpowiedzialności w chwili, w której śmierć wisi nad wami. Doprawdy to czyste szaleństwo! Może pan myśli, że ja się zląknę tych awanturników, którzy ośmielają się nam dyktować prawa? Meksyk tylko raz został zdobyty, ale proszę sobie nie wyobrażać, że ja jestem owym łatwowiernym Montzumą, a Bazaine Ferdynandem Cortesem. Stany Zjednoczone i Anglia przesłały mi już miliony i obiecały dalszą pomoc. Przyrzekły same powstać przeciwko Napoleonowi i zmusić go do zabrania swej ciężkiej łapy z Meksyku.

Słowa te i ów ton z początku gniewny, potem pogardliwy nie pozostał bez wrażenia. Komendant odezwał się dziwnie pokornie:

— Proszę wziąć pod uwagę, że ja jestem tylko podwładnym, który musi słuchać rozkazów.

— To uwzględniłem i dlatego zaproponowałem sposób w jaki życie swoje, swoich towarzyszy i żołnierzy mógł pan uratować. Taką łaskę odrzucić mógł tylko człowiek, który uciekł z domu dla obłąkanych. Nie dość tego, to ośmiela się pan jeszcze prawić mi o odpowiedzialności, którą obecnie włożyłeś na swoje barki.

Komendant widział, że przeciąganiem nie polepszy swojej sprawy i że głupotą swoją już i tak wszystko popsuł, więc odezwał się niepewnie:

— Czy zechce pan jeszcze dotrzymać swego poprzedniego słowa?

— Dałem panu dziesięć minut na zastanowienie. Ponieważ nie zdecydowałeś się w tym czasie, to proszę wyciągnąć z tego wnioski i przygotować się na drugą ostateczność.

Komendant zbladł. Straszna myśl przemknęła mu piorunem przez głowę, stracił ostatnią resztkę dumy.

— Czy jeżeli pana poproszę, to uczyni pan to, przynajmniej ze względu na niewinnych żołnierzy?

Juarez nie dał odpowiedzi. Zwrócił się do Sternaua pytając:

— Co pan o tym sądzi?

— Ja myślę, że przebaczenie słodsze jest niż zemsta.

— Dobrze, postąpię tak jak pan mi radzi — odrzekł Juarez. Zwrócił się do komendanta i rzekł poważnie:

— Jak pan słyszy, chcę spełnić akt przebaczenia, proszę tylko nie sprzeciwiać się, bo inaczej popadnie pan znowu pod wyrok i to o wiele surowszy. Poddaje pan Chihuahua?

— Tak.

— Odda pan całą broń, która znajduje się w pańskim posiadaniu?

— Tak.

— Opuści pan prowincję i podąży drogą przez Durango i Guanarnato, wprost do stolicy?

— Tak.

— Przyrzeka pan, że więcej nie będzie walczył przeciwko moim wojskom?

— Przyrzekam.

— Co do tego punktu, musimy spisać protokół. Swoim podpisem, jak i też podpisami wszystkich oficerów, potwierdzi pan, że dotrzymacie uzgodnień.

— Dobrze.

— Również nie sprzeciwi się pan żadnym moim rozkazom, co do rozbrojenia żołnierzy?

— Nie. Spodziewam się jednak, że nie będzie przy tym żadnych gwałtów.

— Proszę się nie obawiać. Do tej pory gwałtami odznaczyli się Francuzi, nie chcę im odbierać sławy. Właśnie wpadło mi do głowy jeszcze jedno. Tę damę, którą zastałem u panów, także uwięziłem. To był wasz szpieg, czy tak?

Zapytany milczał, na jego twarzy malowało się zakłopotanie.

— Pana milczenie potwierdza to. Jako szpieg zasłużyła na stryczek, ale nie chcę się plamić śmiercią kobiety, zatrzymać jej jednak tutaj w prowincji nie mogę...

— Czy wolno mi o coś prosić? — przerwał komendant.

— Mów pan!

— Proszę pozwolić jej przyłączyć się do nas.

— A gdzie ją pan zaprowadzi?

— Zabiorę ją ze sobą.

— Hm! A po drodze zostawisz ją gdzieś na jakiejś stacji, aby dalej przeciwko mnie szpiegowała?

— Nie, daję panu słowo, że *mademoiselle* Emilię wypuszczę dopiero w stolicy.

— Dobrze, niech i tak będzie. Zgadzacie się zaraz jutro opuścić Chihuahua?

— Zgadzam się.

— W takim razie rozkażę pana i pańskich oficerów uwolnić. Jeden Laramel pozostał ofiarą pańskiego uporu. Dokument co do przyrzeczenia warunków zaraz każe sporządzić.

Na dany znak Apacze uwolnili wszystkich oficerów. Papier znalazł się, więc spisali wszystkie warunki kapitulacji. Oficerowie podpisali po kolei, po czym Juarez wysłał po Apaczów stojących u bram miasta i rozkazał im zebrać się przed ratuszem. Mieli stać frontem do budynku.

Komendant kazał zatrąbić na powszechną zbiórkę. W krótkim czasie cała załoga zebrała się. Panowało powszechne zdziwienie. Przeczuwano, że musiało wydarzyć się nadzwyczajnego.

Komendant wysłał do nich dwóch oficerów, którzy mieli wpuszczać żołnierzy pojedynczo, do jasno oświetlonej sali.

Tymczasem Juarez wysłał małego Andre, który przybył z Apaczami do gospodarza *venty*. Miał natychmiast stawić się u prezydenta.

Zjawił się bardzo szybko i dostał rozkaz, aby zwołać wszystkich obywateli miasta, na których można było polegać.

Sala była obszerna, więc wszyscy wpuszczani żołnierze francuscy mogli się w niej zmieścić. Zapanowało powszechne zdziwienie, kiedy otrzymali rozkaz oddania broni.

Uczynili to z niechęcią i cicho przy tym przeklinając. Opierać się nie śmieli, widząc Apaczów, ale targał nimi ogromny gniew. Całym rozbrojeniem kierował Sternau, gdyż Juarez oddalił się, aby omówić z Emilią ważniejsze sprawy.

Na odgłos trąbek głośno brzmiących w nocnej ciszy, obudzili się także mieszkańcy miasta. Było to coś niezwykłego. Obawa nie dała im spać, wypędziła z łóżka i z domu. Odważniejsi udali się nawet w pobliże ratusza.

Wobec jasno oświetlonych okien, mogli rozpoznać postacie indiańskich wojowników i białych traperów, którzy stali tuż przy bramie. Ze zdziwienia i ciekawości podszli do osób stojących pod ratuszem. Ostrożnie, w pewnej odległości od Indian stanęli patrząc bacznie i medytując, co to wszystko ma znaczyć.

Właśnie z szeregów Indian wystąpiła do ciekawych, jakaś postać. Był to Mariano. Podeszedł do nich i spytał:

— Najprawdopodobniej chcecie się dowiedzieć, co tu się dzieje?

— Tak jest — odpowiedziało kilka głosów.

— Francuzi opuszczają miasto.

Odpowiedziało mu powszechne milczenie. Żaden z mieszkańców nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Ogromne zdziwienie i wzruszenie zamknęło im usta. Dopiero po chwili jeden z nich podszedł do Mariano i zapytał:

— Senior, czy pan także jesteś Francuzem?

— Nie.

— A kim?

— Hiszpanem, przyjacielem Juareza.

— Juareza? Ale to dość dziwne, dlaczego Francuzi odchodzą. To wręcz nieprawdopodobne. Co mogło ich skłonić do odejścia?

— Przemoc. Zmusiliśmy ich.

— Kto ich zmusił? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że Juarez przybył tutaj z garstką Apaczów i białych myśliwych, otoczył podstępem ratusz i uwięził wszystkich oficerów. Pułkownika Laramela rozkazał powiesić, innych zaś zmusił do podpisania warunków kapitulacji. Na jego mocy, jutro, zaraz o świcie wszyscy Francuzi opuszczą miasto. Właśnie teraz, w tej ogromnej sali rozbrajają żołnierzy.

— Senior, zaklinam pana na wszystkie świętości, czy to prawda?

— Daję panu na to słowo.

— Czy możemy się o tym przekonać na własne oczy?

— Tak.

— Czyli, że kilku z nas może wejść do środka i zobaczyć co się tam dzieje, aby potem opowiedzieć pozostałym?

— Owszem, nawet sam ich zaprowadzę.

Kilku wysunęło się z grupy, i podążyło za Mariano do ratusza. Minęło sporo czasu zanim wrócili: Tymczasem grono mieszkańców zaczęło rosnąć. Coraz to nowi ciekawscy przyłączali się do nich.

Wreszcie ujrzeli powracających wysłanników. Ten, który przedtem rozmawiał z Mariano wołał już z daleka:

— To prawda! Juarez przybył! Wszyscy Francuzi uwięzieni! Nasi współobywatele, których niedawno uwięziono, mieli być w tajemnicy dzisiejszej nocy rozstrzelani. Juarez dowiedział się o tym i pospieszył im na ratunek. Niech żyje Juarez! Wiwat republika! Dalej,

spieszcie się i powiedzcie o tym wszystkim, którzy jeszcze o tym nie wiedzą. Dalej biegnijcie! A kto jest szczerym republikaninem, niech łapie za broń i przyłącza się do Juareza. Chodzi o walkę z wrogiem!

— Niech żyje Juarez! Huuraa, republika! — zabrzmiało z każdej strony.

W sekundzie cała grupa rozbiegła się. W pół minuty można było słyszeć radosne okrzyki uszczęśliwionych mieszkańców, tak nagle uwolnionych od ciężkiego jarzma Francuzów.

Posłannictwo karczmarza nie było nawet potrzebne. Przy pierwszym brzasku dnia, zebrало się około tysiąca mężczyzn z bronią w rękę, gotowych stanąć na rozkazy Juareza.

Aby uniknąć tłumu ciekawskich, boczną uliczką, w stronę południowej bramy jechała garstka jeźdźców. W środku znajdowała się mocno zawoalowana dama, to Emilia. W ten sposób, cichaczem musiała opuścić miasto, aby nie zdradzić się ani przed Francuzami, ani przed mieszkańcami Chihuahua ze swych prawdziwych przekonań. Niedługo po niej z Chihuahua wyruszyło całe wojsko Francuzów, podążając w tym samym kierunku. Z przodu jechali oficerowie. Był to pochód gorszy dla nich niż męczarnie. Okrzyki gniewu i przekleństwa towarzyszyły im, poważniejszych rozruchów jednak nie było.

Meksykanie byli zbyt dumni, by mścić się nad bezbronnymi.

Początek został zrobiony. Północna granica kraju została wyczyszczona z wrogów. Juarez rozpoczął swój zwycięski pochód.

W stolicy, w meksykańskiej gazecie pozostającej pod wpływami francuskimi niedługo po tych zdarzeniach można było wyczytać następujące nowiny:

*W celu odparcia kłamstw i głupich pogłosek o najnowszych zdarzeniach, musimy zaznaczyć, że tylko strategiczne względy głównodowodzącego, spowodowały ustąpienie wojsk z prowincji Chihuahua. Wprawdzie należy ona do cesarstwa, ale że lud tam jest nadzwyczaj spokojny i dobrze do nas usposobiony, więc można było spokojnie uwolnić go od niepotrzebnych ciężarów kwaterunku, zwłaszcza, że koncentracja wojska w innych, bardziej zagrożonych częściach kraju okazała się niezbędna.*

Może tydzień później pojawił się w tym samym piśmie następujący artykuł:

*Ponieważ głównym zadaniem każdego państwa jest o ile możliwości, centralizacja, podczas gdy błędem jest niepotrzebne rozpraszanie siły, dlatego rząd państwa uznał za stosowne, pojedyncze, z dala rozsypane oddziały, a więc w pierwszym rządzie owe z Cohahuila ściągnąć z powrotem do stolicy.*

*Można się spodziewać, że to oględne i roztropne postępowanie rządu uzyska godne uznanie. Na każdym kroku widać nieustanną troskę o losy państwa i gorliwość z jaką władza pracuje w celu rozwiązania obecnej, trudnej sytuacji.*

Gdzie tylko zebrało się bodaj dwóch ludzi i zaczęło rozprawiać o nowinach, przybierali na wzmiankę o tym tajemnicze miny, nie chcąc otwarcie zdradzić swych poglądów. Każdy jednak wiedział, że ta cała centralizacja jest związana z ustępowaniem, czyli z cofaniem się, w której to sztuce według powszechnego mniemania mieli szczególne odznaczać się Francuzi...

Cohahuila również wpadła w ręce prezydenta Juareza. Pierwszym jego zadaniem było teraz połączenie się z lordem Lindsay, który miał oczekiwać go przy delcie Rio Sabinas.

Siły jego wzrosły i wynosiły teraz parę tysięcy, więc mógł bez szkody dla załogi wyruszyć w towarzystwie dwustu jeźdźców. Sternau razem z przyjaciółmi przyłączył się do nich. Pasterze dostali nakaz wyruszenia za nimi i zabrania ze sobą jak najwięcej wozów ciągniętych przez woły.

Cała ta kawalkada była przeznaczona do transportu pieniędzy, broni i amunicji, które Lindsay wiozł ze sobą. Wszystko miało być przetransportowane do miasta.

Mariano z największą niecierpliwością oczekiwał chwili spotkania. Wiedział, że jego ukochana znajduje się przy ojcu i zapewne z równą tęsknotą oczekuje na spotkanie z nim. Myśl ta przepełniała go szczęściem a zarazem, niepokojem, który zmuszał do przyspieszenia jazdy w każdy możliwy sposób.

## Przy ognisku

Prowincja Cohahuila jest gęsto porośnięta lasami. Samiejsca, które można przebyć tylko maszerując wzdłuż rzeki, bo przez lasy, zwłaszcza większym oddziałom, nie sposób się przedrzeć.

Odległość od miasta do Rio Sabinas wynosi może jeden stopień szerokości geograficznej. W prostym kierunku aż do połączenia się oby jej ramion, gdzie Lindsay miał czekać na kotwicy, rosną ogromne lasy. Tylko na wschodzie rozciągają się pojedyncze pasy prairii, pomiędzy stuletnimi sosnami.

Dlatego wybrali tę drogę, jako najbardziej dogodną. Wprawdzie musieli stracić trochę czasu, ale mimo to spodziewali się prędzej dotrzeć do celu, niż gdyby przedzierali się przez las.

Prawie całe towarzystwo miało świeże, wypoczęte rumaki, więc jadąc galopem, jak to było w zwyczaju, przebyli tę drogę prędko i ochoczo.

Wczesnym rankiem wyjechali z miasta, a obecnie słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

Przodem jechali obaj wodzowie Apaczów i Bawole Czoło, tuż za nimi Sternau i Mariano. Indianie byli zajęci jakąś interesującą rozmową. Nagle Niedźwiedzie Oko przystanął, zatrzymał konia i zeskoczył z siodła oglądając bacznie ziemię.

— Stój! — zakrzyknął Sternau do jadących w tyle. — Widać jakieś ślady, a nie wolno nam ich stratować!

Podjechał ostrożnie do obu wodzów i również zsiadł z konia.

— Czy mój biały brat widzi te ślady? — spytał go Niedźwiedzie Oko.

Wskazał na szeroką przestrzeń, na której były powgniatane kopyta koni.

— Widzę— odpowiedział Sternau. — Już z daleka można je zauważyć.

— Są tak szerokie, jakie zwykli zostawiać po sobie biali mężowie.

Niedźwiedzie Oko począł mierzyć i liczyć, w końcu powiedział:

— Było ich więcej, niż cztery razy po dziesięć, to blade twarze.

— Jechali z poradnia na północ, — dodał Bawole Czoło — a więc w tym samym kierunku co my. Muszą spotkać lorda Lindsay'a. Kto to może być?

Sternau przyglądał się uważnie wyciśniętym śladom kopyt końskich.

— Widzą moi czerwoni bracia, że przejeżdżali tędy całkiem niedawno?

— Tak. — odrzekł Niedźwiedzie Serce. — Najwyżej pół tego czasu, który biali mężowie nazywają godziną.

— Słusznie. My o wiele później mieliśmy skręcić na północ, jednak śladów tych nie możemy lekceważyć. Moim zdaniem, musimy jechać za nimi.

— To nie będzie trudne — zauważył Bawole Czoło. — Jak widzę, ich konie są już bardzo zmęczone, musieli przebyć długą drogę.

Twarz Juareza zasępiła się.

— Było ich więcej niż czterdziestu? — spytał.

— Tak i to znacznie więcej — odparł Sternau.

— To wygląda dość podejrzanie. Może to Indianie?

— Nie widać śladów, że to konie Indian, zresztą Indianie nie pozostawiają nigdy tak szerokich śladów.

— A może to *vaqueros*?

— *Vaqueros*, w takiej liczbie? Tutaj, razem, nic, to niemożliwe.

— No to kto?

— O tym dowiemy się wkrótce. Musimy podążyć za nimi.

— Dobrze! Naprzód!

Skierowali się na północ. Ślady co chwila stawały się widoczniejsze i świeższe. Było to najlepszym dowodem, że jechali prędzej niż poprzedni oddział.

Sternau jechał na koniu schylony do ziemi, przypatrując się uważnie każdemu szczegółowi.

— Są przed nami jakieś dziesięć minut drogi — powiedział do Juareza. — Tutaj jechali już pojedynczo.

Nie minął nawet kwadrans, słońce poczęło chylić się ku zachodowi, niedługo miał zapaść zmrok, gdy Niedźwiedzie Oko podniósł się w siodle i ręką wskazał do przodu.

— *Uff!* — zawołał.

Bystre oko Sternaua pobiegło w tej chwili we wskazanym kierunku. Bardzo daleko, ale przecież widocznie przed nim czerniła się jakaś linia, która zdawała się poruszać.

— To oni! — zawołał.

— Dogonimy ich? — zapytał Juarez.

— Nie — odparł Sternau.

— Dlaczego nie?

— Bo nie wiemy co to za jedni i czego tu szukają.

— Nic nie szkodzi. Nas jest dwustu, a ich co najmniej pięćdziesięciu. Nie potrzebujemy się ich obawiać.

— To prawda. Ale w jaki sposób dowiemy się, co ich tu sprowadziło?



— Bardzo prosto, zapytamy.

— Ha, ale czy zechcą odpowiadać?

— Będą musieli.

— Pod przymusem nigdy nie powiedzą prawdy, to więcej niż pewne. Jeżeli nic złego nie mają na myśli, z pewnością nie będą potrzebowali nas okłamywać, ale jeżeli mają złe zamiary, myśli pan, że nam je zdradzą?

— A właściwie, co nas obchodzą ich zamiary?

— Tego nie możemy wiedzieć.

— To co pan zamierza uczynić?

— Będę próbował ich podsłuchać.

— To dość trudne.

— O nie. Zaraz się ściemni, więc na pewno zarządzą odpoczynek, wtedy łatwo będzie ich podejść. Teraz musimy uważać, by niczego nie zauważyli. Moją propozycją jest, by jeden za nimi pojechał, my zaś porozdzielamy się na mniejsze grupy i będziemy iść jedna za drugą, w takiej odległości, aby nie stracić się z oczu.

— Dobry pomysł — zauważył Niedźwiedzie Oko. — Ja pojadę pierwszy.

Z tymi słowami pogalopował nie patrząc za siebie. Reszta porozdzielała się na mniejsze gromadki, tak jak poradził Sternau.

Pędzili jakiś czas w milczeniu. Naraz Niedźwiedzie Oko zatrzymał konia pozwalając przedniemu oddziałowi zrównać się ze sobą.

— Zniknęli — odezwał się.

Sternau popatrzył w dal, lecz niczego nie mógł zauważyć.

— W którym miejscu? — spytał.

— Wjechali tam, do tamtego lasu.

— Czy zauważyli nas?

— Nie, raczej szukają miejsca na nocleg.

— W takim razie nie możemy jechać dalej. Senior Juarez, proszę rozkazać, by posiadano z koni.

— Tutaj? Na środku prerii?

— Tak. Nie musimy się tu niczego obawiać. Ja i Niedźwiedzie Serce pójdziemy naprzód, by sprawdzić, gdzie się zatrzymali.

— Senior, to wielka nieostrożność. Weź przynajmniej więcej ludzi. — Myli się pan, im mniej ludzi, tym bezpieczniej.

Przy tych słowach zeskoczył z konia podając cugle Helmerowi. Niedźwiedzie Serce poszedł za jego przykładem.

W tym miejscu preria nie była zbyt szeroka, ciągnął się tylko wąski pas, ograniczony po lewej stronie krzakami, które rosły dość gęsto między ogromnymi drzewami. Tam zniknęli nieznajomi jeźdźcy.

Sternau wszedł w krzaki i posuwał się ostrożnie wzdłuż nich. Tuż za nim postępował wódz Apaczów. W gęstwinie drzew było zupełnie ciemno.

— *Uff.* — wyszeptał wódz chwytając Sternaua za ramię.

— Co?

— Słysząc rozmowę.

Sternau przystanął natychmiast pilnie nasłuchując.

— Gdzie? — spytał.

— Przed nami.

— Daleko?

— Nie.

Obaj uważnie nadśluchiwali wpatrując się w ciemność. Wkrótce usłyszeli w pobliżu wołający głos:

— Alfredo!

— Co?

— Chodź. Drzewa mamy już dosyć, ogień płonie.

Znowu ucichło. Poczekali jakiś czas, a potem znowu zaczęli się skradać. Niedługo Sternau usłyszał jak Niedźwiedzie Serce przystanął wciągając głęboko powietrze. Także poczuł jakiś słaby śwąd.

— Czy mój biały brat, czuje to co ja? — spytał Apacz.

— Dym — odrzekł Sternau.

— Rozpalili ogień, chodźmy dalej, ale teraz za zapachem dymu. Poszli w oznaczonym kierunku dopóki nie spostrzegli przed sobą widocznego blasku ognia.

— Są tam — powiedział wódz.

— Rozdzielimy się to pójdzie nam szybciej.

— A gdzie się spotkamy?

— Pod tym samym drzewem, pod którym teraz stoimy; naturalnie jeżeli nas nie złapią i nie wyślą na inne spotkanie.

— Jak pójdziemy?

— Ty na prawo, ja na lewo. Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, gdzie stoją konie; ich prychanie mogłoby nas zdradzić.

W jednej chwili Niedźwiedzie Serce zniknął w krzakach leżących po prawej stronie.

Sternau od drzewa do drzewa przekradał się ostrożnie nad słuchując. Widocznie musieli się już usadowić wokół ogniska, bo wszędzie panowała cisza. Tak zbliżał się coraz bardziej do miejsca, z którego mógł wszystko dokładnie ujrzeć.

Naliczył pięćdziesięciu mężczyzn, którzy siedzieli wokół dwóch ognisk, a na nich piekły się mięsa. Ubrani byli bardzo różnie, ale po meksykańsku, widocznie pochodzili z rozmaitych prowincji.

Położył się na ziemi i podczołgał aż do ostatnich drzew, za którymi rozciągał się obóz. Stąd mógł słyszeć każde słowo.

— A ja ci powiadam, że zblądziliśmy — rzekł jeden z nich.

— Co za głupstwa pleciesz! — odrzekł drugi — Do Candeli jeszcze daleko.

— A ja ci mówię, że jesteśmy zbyt na zachód. Być może po prawej ręce mamy już Narię. Już dawno powinniśmy dotrzeć do Rio San Juano.

— Pleciesz głupstwa, ja znam tę okolicę.

— Byłoby rozsądniej, gdybyśmy się dowiedzieli o drogę, a nie polegali tylko na sobie. Co powie na to senior Kortejo?

Sternau drgnął mimo woli słysząc to nazwisko. Co za Kortejo? Czyżby był jeszcze jakiś drugi, o tym samym nazwisku?

— Co tam Kortejo — odpowiedział drugi dość pogardliwie.

— Albo lepiej, co na to powie, ta wiedźma Józefa, jego córka? Sternau aż podskoczył. Mówili o Korteju i jego córce Józefie. To musiał być ten sam, którego znał, skąd by się zresztą wziął tu jakiś inny Kortejo, z córką o imieniu Józefa. To przecież nieprawdopodobne. Wkrótce przekonał się, że jego domysły były słuszne.

— Ona mnie bardzo mało obchodzi — usłyszał odpowiedź.

— A ja myślałem, że jesteś w niej zakochany? — zaśmiał się jego kompan.

— Musiałbym najpierw dać sobie ogolić łeb.

— Przecież nosisz przy sobie jej fotografię?

— Tak jak i ty, by móc uchodzić za jej stronnika.

— By potem, jak Kortejo zostanie prezydentem dostać u niego funkcję ministra.

— Nie drwij. Ja nie jestem wcale głupszy od innych, a na ministrów w końcu nie wybierają najmądrzejszych. Zresztą kto wie, czy z tego coś wyjdzie. Po cóż by on do kaduka lazał aż tutaj, na północ.

— Przede wszystkim chce odebrać Anglikowi pieniądze.

— I broń.

— Broń przeznaczoną dla Juareza, haha... haha... haha...

— Juarez pęknie ze złości, gdy się dowie, że Kortejo go tak haniebnie podszedł.

— Ale, do diabła!... Zdaje mi się, że za tamtym drzewem widzę jakieś ślepie.

Podniósł się, złapał nóż i podszedł w kierunku, w którym ukrył się Steranu.

Ten z ogromnym zainteresowaniem wsłuchiwał się w treść ich rozmowy. Widocznie trochę za bardzo wysunął głowę zza drzew, dlatego został spostrzeżony. Jak tylko się zorientował, w grożącym mu niebezpieczeństwie, w mgnieniu oka podniósł się i uciekł. Na szczęście dla niego, wielkie drzewa rzucały dużo cienia i nie mogli go ujrzyć.

— Hm — mrucał Meksykanin. — Przysięgłbym, że dokładnie widziałem czyjeś ślepie.

— A czyje miałyby niby być? — spytał go towarzysz.

— Jakiegoś człowieka.

— Kto by tu zabłądził. Musiało ci się coś przywidzieć.

— Możliwe, ale ostrożność nie zawadzi.

Podszedł do ogniska, wziął płonąca żagiew i jeszcze raz poszedł sprawdzić okolice.

Sternau na pewno musiał zostawić tam jakieś ślady, jeżeli teraz zostałyby zauważone, cała wyprawa wzięłaby w łeb. Na szczęście szukający nie grzeszył zbyt dużą bystrością, a do tego nie posiadał koniecznego doświadczenia. Przeszedł kilka kroków wokół oświetlając pojedyncze drzewa i krzaki, ale nie patrząc na ziemię. Wreszcie się odezwał:

— Nie ma nikogo!

— Nieprawda, jest ktoś — zawołał drugi ze śmiechem.

— Kto taki?

— Ty sam.

— Gadasz głupstwa. Ale oczy widziałem, może łotr uciekł, gdy zobaczył, że nadchodzę. Ostrożność nie zawadzi. Teraz musimy obaj uważać, może go jeszcze zobaczymy.

Po tych słowach powrócił do ogniska, na dawne miejsce. Sternau tymczasem dowiedział się wystarczająco. Nie chciał zresztą niepotrzebnie narażać się na niebezpieczeństwo, dlatego powrócił na miejsce spotkania z Niedźwiedzim Sercem.

Było to trudne zadanie by w takich ciemnościach dotrzeć na miejsce. Traperzy jednak odznaczają się niespotykanym sprytem. Nikt inny nie dokonałby tego, co oni uważają za rzecz naturalną.

Gdy dotarł do drzewa nie potrzebował długo czekać, wkrótce po nim zjawił się Niedźwiedzie Serce.

— Mój brat, niech idzie za mną— wyszeptał do Sternaua. Niepostrzeżenie wyszli z lasu na otwartą prerię, gdzie już także zapadła ciemność.

— Tam jest pięć razy po dziesięciu mężczyzn — rzekł Apacz.

— Tylu samo naliczyłem — odparł Sternau. — A konie?

— Są złe, ani jeden nie parsknął.

— Czy mój brat był przy nich?

— Tak, to same oswojone konie. Są przywiązane jakieś dziesięć kroków, od ogniska, dalej w lesie.

— Czy mój brat podsłuchał tych ludzi?

— Tak.

— Usłyszał coś ważnego?

— Opowiadał, że ciągle widzi twarz bitego.

— Zapewne ten łotr był świadkiem jakiejś niegodziwości, a może sam się jej dopuścił i teraz sumienie nie daje mu spokoju. Nie słyszał mój brat nic innego?

— Nie, musiałem szukać koni, a potem wróciłem pod drzewo.

— Musimy szybko wracać do naszych.

— Czy mój brat dowiedział się więcej? — spytał Apacz postępując za Sternauem.

— Tak, o wiele więcej.

— Co?

— Wszystko opowiem Juarezowi, więc mój brat usłyszy także.

Niedźwiedzie Serce skinał głową, na znak zgody. Niedługo spotkali się ze swoimi, którzy czekali na nich z wielką niecierpliwością.

— Znaleźliście ich? — spytał Juarez.

— Tak, i to całkiem łatwo. Rozmawiali tak głośno, że z dala można ich było słyszeć — odpowiedział Sternau.

— Co to za jedni? Poznał ich pan?

— Tak. Jak się pan dowie to zdziwi się i przerazi zarazem.

— Tak? Proszę mówić, byle prędko!

— Są zwolennikami Kortejo.

— Ma pan na myśli Pabla Kortejo, mojego, raczej śmiesznego, konkurenta?

— Tak, tak.

— Co oni tu robią? Kortejo przecież jest na południu!

— Nie, jest na pomocy.

— To czyste szaleństwo.

- Z tego co się dowiedziałem, jego zamiar wcale nie jest szalony.
- Cóż takiego, czy chce ze mną konkurować? Przypomina mi ową żabę, która chciała dorównać wołowi, w końcu jednak pękła.
- Senior, to dość poważna sprawa. Kortejo musiał się od kogoś dowiedzieć o lordzie Lindsay.
- Do diabła! — zawołał Juarez z przerażeniem.
- Ten oddział wysłał właśnie po to, aby złapali Anglika i odebrali mu przesyłkę.
- To wprost nie do uwierzenia.
- Sam słyszałem. Rozmawiało o tym dwóch mężczyzn.
- W takim razie musimy koniecznie wszystkich złapać!
- Naturalnie, dobrze się stało, że nie dopędziliśmy ich na prerii. Wszelkie nasze pytania byłyby daremne. Niczego byśmy się nie dowiedzieli, a do tego, jak mi się zdaje to chyba zablądzieli.
- Dokąd się chcieli dostać?
- Do Rio San Juano.
- Aha, tam chcieli Anglika złapać w pułapkę. Chyba się jednak trochę przeliczyli. Lord musiał już dawno przepłynąć ujście rzeki.
- To nie takie pewne. Zresztą Kortejo musi mieć zgromadzone znaczne siły, jeżeli może wysyłać grupy, liczące pięćdziesięciu jeźdźców.
- To głupota z jego strony. Ci ludzie nie mają z sobą żadnych wozów. Ciekawi mnie, jak w chwili udanego napadu chcieli przetransportować przesyłkę.
- To prawda; cały ten pomysł jest zbyt awanturny. Musimy jednak trochę poczekać, może czas przyniesie i to wyjaśnienie.
- Będą musieli się wyświadczać.
- Oczywiście. Kiedy chcesz ich pan złapać?
- Jak najprędzej. Nie mamy czasu do stracenia. Właśnie dzisiaj wieczór mieliśmy się spotkać z lordem.
- Proszę tylko wydać rozkazy.
- Moje rozkazy? Ja nie jestem myśliwym. Całą akcję oddaję w pańskie ręce.
- W takim razie proszę, aby nasze konie pozostały tutaj.
- Dlaczego?
- Bo tu mają lepszą paszę, w lesie są tylko gęste krzaki, a oprócz tego rzeniem łatwo mogły by nas zdradzić.
- Tak, to prawda.

Konie zostały przywiązane i dziesięciu ochotników pozostało przy nich. Resztę podzielono na dwa oddziały. Jeden miał poprowadzić Niedźwiedzie Oko, a drugi doktor Sternaua. Należało wyjątkowo ostrożnie podejść tamtych i szczelnie otoczyć, resztę dyspozycji miano wydawać na bieżąco.

— Jeżeli tamci będą mądrzy, to zaprzestaną wszelkiego oporu. — dodał Juarez — Nie chciałbym zbędnego przelewu krwi, zwłaszcza, że martwi niczego nam nie będą mogli powiedzieć.

— W takim razie mam pomysł — powiedział Sternau.

— Jaki?

— Jeden albo dwóch z naszych uda się do obozu wcześniej. Mogą im oznajmić, że są w tych stronach na polowaniu i zupełnie przypadkiem się na nich natknęli. Przyłączą się do nich i poczynią pewne przygotowania. Na mój znak, krzyk sowy, gdy cały obóz zostanie otoczony, wezwą do poddania się. Myślę, że dla wysłanych zadanie to nie stanowi niebezpieczeństwa, a my możemy uniknąć nagłego napadu i nieodzownej rzezi.

— Dobry pomysł, senior, ale zadanie to, mimo wszystko połączone jest z niebezpieczeństwem. Kto odważy się na takie ryzyko?

— Ja! — zabrzmiało z wielu ust.

— Widzicie, senior, że odważnych ludzi mamy pod dostatkiem — odrzekł Sternau. — Potrzebujemy ich tylko wybrać.

— Proszę to uczynić — odezwał się Juarez.

— Nie jest to łatwe zadanie, gdyż nie chciałbym nikogo obrazić. Ja sam z największą ochotą podjąłbym się tego zadania, ale nie mogę, bo objąłem dowództwo. Myślę, że najlepiej zrobimy wysyłając Mariano i Piorunowego Grota.

Obaj wymienieni zgodzili się z ochotą.

— Dlaczego nie ja? — spytał sternik Helmer.

— A dlaczego nie wybrałeś pan mnie? — odezwał się Bernardo.

— Przyjacielu, — odpowiedział Sternau, zwracając się najpierw do Helmera — po tobie bardzo łatwo można poznać, że nie jesteś zawodowym traperem, to samo dotyczy też seniora Bernardo.

— Co to, to nie — odezwał się Mariano. — Ja mam iść i nie pozwolę się nikomu zastąpić.

— Ja także — zawołał Antoni Helmer.

— Dobrze, proszę więc wyruszać.

— Na koniu? — spytał Mariano.

— Naturalnie — odrzekł Sternau — We wszystkim musisz naśladować swego towarzysza. On w tych sprawach ma o wiele większe doświadczenie.

— Gdzie się znajduje ich obóz? — spytał Helmer.

— Jakies pół mili stąd, niedaleko lasu. Myślę, że na otwartej prerii zobaczycie ich ogniska.

— To wyjątkowa nieostrożność z ich strony, ale dla nas nawet lepiej, w ten sposób możemy znakomicie usprawiedliwić swoje przyjście. Chodźmy do koni, senior Mariano!

Odwiązali swoje wierzchowce i popędzili naprzód.

— Jak się im przedstawimy? — spytał Mariano podczas jazdy.

— Powiemy, że jesteśmy traperami.

— Dobrze, ale jakiej narodowości?

— Ja jestem Niemcem i zostanę nim.

— A ja? Mogę się podać za francuskiego zastawiacza sideł.

— Tak i najlepiej będzie, gdy zachowamy swoje nazwiska.

— Ale skąd przybywamy i dokąd dążymy?

— Nad tym musimy się zastanowić. Na szczęście byłem już tu kiedyś na polowaniu, więc dobrze znam te okolice. Najlepiej będzie jeżeli podamy im odmienny kierunek niż oni zamierzają przedsięwziąć.

— Czyli, że przychodzimy z Teksasu?

— Dobrze. W Lareto przeprawiliśmy się przez Rio del Norte i zamierzamy właśnie podążyć do... do... do, ach powiedzmy, że do Francuzów, aby z nimi walczyć przeciwko temu przekłętemu Juarezowi.

— Doskonale — zaśmiał się Mariano. — A teraz, naprzód! Błyskawicznie zatoczyli łuk, tak aby wyglądało, że przychodzą z przeciwnej strony, po czym jechali truchtem wzdłuż linii lasu.

Po jakimś czasie rzeczywiście ujrzeli przebijające się przez konary wielkich drzew i padające na trawę prerii, światło. Do ich uszu dolatywały nawet głosy rozmawiających. Zatrzymali konie. Helmer podjechał bliżej i krzyknął w stronę biesiadujących:

— Halo! Co tam w lesie za ogień?

W obozie ucichło, a po kilku minutach padła odpowiedź:

— Kto tam jest?

— Dwóch traperów!

— Tylko dwóch?

— Tak. Czy można do was podejść?

— Zaczekajcie chwilę.



Kilka osób podniosło się, podeszło do ogniska i wzięło z niego łuczywa, potem oświetlając drogę zbliżyli się do myśliwych. Jeden z nich, ze szczególnie surową twarzą zapytał:

— Może za wami schowali się inni?

— Co za inni? Nas tu jest tylko dwóch — odpowiedział Mariano ze śmiechem.

— Mimo tego, my was nie potrzebujemy.

— Ale my was.

— A to do czego?

— Dlaczego pytasz, do stu piorunów! — zaklął Helmer. — Czy to nie jest powód do radości, gdy w tej dziczy spotka się człowieka?

— Wasza radość jest daremna.

— Czemu jesteście tacy nieuprzejmi. Włóczymy się, na naszych szkapach przez cały dzień, właśnie chcieliśmy sobie poszukać jakiegoś miejsca na nocleg, gdy ujrzeliśmy wasz ogień. Myślę, że nie odpędzicie nas, skoro zechcemy się trochę ogrzać?

Długo przyglądano się oświetlonym traperom, w końcu ktoś rzekł:

— Chodźcie. Ale ostrzegam, jeżeli handlujecie cuchnącą rybą i chcecie nas podejść, to się grubo pomylicie. Natrafiliście na lepszych od siebie.

Zsiedli z koni i prowadząc je za uzdy poszli za Meksykanami. Kiedy zbliżyli się do ognia pozostali podnieśli się, chcąc dokładnie obejrzyć niespodziewanych gości. Helmer i Mariano pozdrowili wszystkich bez cienia obawy, po czym pierwszy z nich zapytał:

— Gdzie wasze konie, panowie, bo nasze także chcielibyśmy gdzieś przywiązać?

— To już nasza sprawa, sami się nimi zajmujemy — odparł ten, który z nimi już rozmawiał.

Dał znak i dwóch mężczyzn przystąpiło do koni, chcąc je odprowadzić. Helmer jednak zrobił ręką zabraniający gest i powiedział:

— Poczekajcie, panowie. Nie tak szybko. Jesteśmy traperami, więc wiemy co się komu należy. Koniom wypoczynek, a nam przede wszystkim wygoda, więc najpierw proszę zdjąć siodła. Znakomicie zastąpią nam poduszki. Teraz możecie je odprowadzić do innych.

Obaj zdjęli siodła i poukładali je na ziemi tuż koło ogniska, poczym pokładli się wygodnie opierając na nich głowy.

Ten, który dotychczas z nimi rozmawiał, był człowiekiem, któremu Józefa Kortejo oddała listy do przewiezienia. Jak tylko konie zostały odprowadzone zwrócił się do Helmera i rzekł:

— Pozwolicie na kilka pytań, panowie?

— Pytań? Dlaczego chcecie nas wypytywać?

— Bo jestem dowódcą tych ludzi.

— A, to co innego, jeżeli jesteście dowódcą to macie prawo.

— Jesteście traperami?

— Tak.

— Skąd?

— Skąd? Polujemy gdzie się da, naturalnie szukamy miejsc, gdzie najwięcej zwierzyny.

— Ale ja nie o to się pytam. Chciałem wiedzieć, skąd pochodzicie?

— Ja jestem Niemcem i nazywam się Helmer.

— A wasz towarzysz?

— Ten jest Francuzem, nijaki Lautreville.

— A skąd przybywacie?

— Z tamtej strony Rio Grande.

— Aha, jesteście więc Jankesami. Niech was diabeł porwie i to jak najprędzej, raczej dzisiaj niż jutro.

Helmer roześmiał się i odpowiedział wesoło:

— Senior, z geografii nie jesteście zbyt mocni.

— Do pioruna? A to dlaczego?

— Odkąd to Niemcy albo Francuzi zaliczani są do Jankesów?

— Skoro tam, po tamtej stronie polujecie, to musicie być Jankesami. Zresztą wyglądacie wyjątkowo podejrzanie. Kiedy przeprawiliście się przez rzekę?

— Wczoraj.

— To możliwe, taką przestrzeń można w tym czasie przebyć. Gdzie się przeprawiliście?

— W Laredo.

— A dokąd zmierzacie?

— Koniecznie musicie to wiedzieć?

— Tak.

— No, to w drodze wyjątku mogę zaspokoić waszą ciekawość. Ale... czy przypadkiem nie jesteście zwolennikami Juareza?

— Ani nam w głowie wysługiwać się Indianinowi.

— To dobrze. Mój towarzysz jest Francuzem i tęskni za swoimi. Ja zaś mam stare porachunki z Juarezem, dlatego wpadliśmy na myśl, by udać się do Meksyku. Chcemy sprawdzić, czy nie uda nam się pobawić trochę z Juarezem i z nawiązką wypłacić mu jego należność.

— Chcecie się zaciągnąć do Francuzów?

— Coś w tym rodzaju.

— A dlaczego właśnie do Francuzów?

- Bo to rodacy mego towarzysza.
- Prawda, powód słuszny, ale Bazaine nie potrzebuje ludzi.
- Nie może być, czyżbyśmy na próżno się fatygowali?
- Naturalnie, że tak, chyba że przyjmiecie dobrą radę — Meksykanin widocznie stracił wszelką wątpliwość, jaką na początku żywił do obcych.
- Dobrą radę? Tej zawsze warto posłuchać — odezwał się Mariano.
- Mógłbym wam powiedzieć, gdzie zostaniecie przyjęci.
- Gdzie?
- Tu, u nas.
- U was? Hm! Kim jesteście?
- Słyszeliście może o Panterze Południa?
- O i to nie raz.
- A o Kortejo?
- No, tego nie mogę sobie przypomnieć.
- Ci dwaj zawarli sojusz. Na jego mocy Kortejo ma zostać prezydentem.
- Do diabła. To widocznie jakiś niegłupi człowiek — zawołał Helmer.
- Zbiera siły. Jeżeli mu się ten plan powiedzie, każdy kto mu teraz służy może się spodziewać, że nie odejdzie z próżnymi rękami.
- To brzmi zachęcająco.
- A na dodatek, obecnie całkiem dobrze i wygodnie się nam wiedzie. Nie ma ani musztry, ani służby koszarowej, jak u Francuzów. Żyje się, jak u Pana Boga za piecem i bierze co tylko wpadnie pod rękę.
- To wspaniale.
- Domyślcie się więc, że my mu służymy.
- Zaczynamy pojmować.
- Nie chcielibyście się do nas przyłączyć?
- Hm, nad tym musimy się zastanowić. Jeszcze was nie znamy.
- Ja także was nie znam. Główna rzecz, to profity.
- A te się znajdują zawsze, nieprawda?
- Naturalnie.
- A gdzie obecnie znajduje się Kortejo?
- W swojej hacjendzie.
- Odpowiadacie bardzo enigmatycznie, senior. Hacjend jest setki.
- No to powiem wam wyraźniej. W hacjendzie del Erina.

Helmer o mało co, a podskoczyłby ze zdziwienia. Musiał jednak zapanować nad sobą. Po Mariano, uważny obserwator też mógłby poznać pewien niepokój.

— Del Erina? — spytał spokojnie Helmer — To jego hacjenda?

— Tak jest. Znacie ją?

— Tak. Spałem tam przed kilku laty jedną noc. Wówczas jednak ktoś inny był jej właścicielem. Nazywał się... on się nazywał...

— Arbellez — dopomógł mu Meksykanin.

— Tak, tak! Arbellez. Zapewne już zmarł.

— Nie, ale przydarzyło mu się coś w tym rodzaju.

— Coś w tym rodzaju, więc chory?

— Prawdopodobnie. Po prostu zabraliśmy mu hacjendę. Kortejo dostał dom, a my wszystko co w nim było.

— Do stu piorunów!

Oczy trapera zapaliły się. Najchętniej posłałby kulę między oczy swemu rozmówcy, ale Meksykanin zupełnie inaczej tłumaczył sobie ten okrzyk.

— A co? Nieprawda, że to by było coś dla was?

— Oczywiście. Ale jak na to zareagował ten... ten Arbellez?

— Widocznie nic mądrego, bo został wysmagany różgami.

— Bili go? — zawołał Helmer. — Czy to możliwe, senior?

— Nie inaczej. Spytajcie tylko tego co przy mnie siedzi, on go bił.

Helmer umilkł. Z trudem przewycięzał swoje uczucia. Meksykanin, który siedział koło dowódcy odezwał się:

— Tak, ja także go biłem.

— Na czyj rozkaz? — spytał Mariano, domyślając się, że złość ścisnęła Helmerowi gardło.

— Na rozkaz seniority, Józefy.

— A któż to taki?

— Córka Korteja.

— Ona także przebywa w hacjendzie?

— Tak..

— Od kiedy?

— Dopiero od kilku dni.

— A Kortejo także tam jest?

— Nie, on musiał na jakiś czas wyjechać.

— Dokąd się udał?

W tej chwili rozległ się donośny krzyk sowy. Traperzy poznali umówiony sygnał.

— Coś za wiele zadajecie pytań — odezwał się po chwili dowódca Meksykan. — Jesteście obcy. Najpierw wstąpcie do nas, a potem będziecie mogli zadawać pytania i to na każdy temat.

— Musimy przynajmniej się dowiedzieć, dokąd teraz jedziecie?

— To mogę wam powiedzieć, udajemy się do Rio del Norte.

— A po co?

— Aby napaść na pewnego Anglika i odebrać mu pieniądze, przy pomocy różgi oczywiście.

— Wydaje mi się, senior, że bijecie z ogromną rozkoszą.

— A dlaczego nie. Kije to najlepsze lekarstwo. Tego Arbelleza na przykład to tłukliśmy dopóki ciało mu nie zaczęło odchodzić od kości. Zapewne pozbawiliśmy go uporczywości raz na zawsze.

Helmer ze złości przegryzł wargi i spytał przytłumionym głosem:

— Co potem z nim zrobiliście?

— Wrzuciliśmy do piwnicy. Tam zdycha.

— I wy przy tym byliście?

— Dlaczego nie?

— Niech cię piekło pochłonie, wstrętny łotrze!

Stracił panowanie nad sobą i porwawszy za rewolwer wypalił mu prosto w oczy. Strzał ze względu na panującą dokoła nocną ciszę było słychać w oddali. Kapitan padł śmiertelnie raniony. Reszta na chwilę zdrętwiała, to wystarczyło, by Helmer zdążył posłać jeszcze kilka kulek, a Mariano poszedł za jego przykładem. Lecz Meksykanie opamiętali się dość szybko, porwali za broń i chcieli pomóc poległych.

Śmierć poczęła zaglądać w oczy traperów, kiedy ujrzeli kilkadziesiąt strzelb skierowanych w swoje piersi. W tym samym momencie zagrzemiał głos Sternaua:

— Ognia!

Huknęło z tyłu strzelb, że grzmot ich był podobny do huku dział. Druga salwa zabłysła bezpośrednio po pierwszej i na tym się skończyło. Wszystko zaległo pokotem. Dwadzieścia strzałów na pięćdziesięciu mężczyzn i to wymierzonych z tak niewielkiej odległości był przyczyną śmierci tylu Meksykanów.

Zaszeleściły krzaki i niewidzialni strzelcy wyszli.

— Dlaczego pan strzelał? — spytał Sternau Helmera.

— Nie słyszał pan, co ten człowiek opowiadał? — spytał ten.

— Nie, byłem przy koniach. Powróciłem na odgłos strzału. Dopiero wtedy dałem rozkaz do walki.

— Tak, muszę więc panu powiedzieć, że te draby zasłużyły na śmierć i to okropną.

— Dlaczego?

— Napadli na hacjendę del Erina i obili różgami mojego teścia, po czym wrzucili go do piwnicy.

Helmer, gdy mówił te słowa aż drżał z oburzenia. Sternau słysząc to przeraził się.

— Czy to prawda? — spytał osłupiały.

— Tak, ten łotr, ich dowódca sam mi to opowiadał.

— Więc to była banda rabusiów, a ja myślałem, że oni są stronnikami Korteja.

— Są. Kortejo razem z nimi napadł na hacjendę i pozwolił im wszystko zrabować. Jego córka w niczym mu nie ustępuje, to ona kazała wychłostać Arbelleza.

— Czyli, że ona jest w hacjendzie?

— Tak.

— Mój Boże, co za nowina. Ale o tym porozmawiamy później. Teraz musimy oglądnąć poległych. Może któryś żyje.

Juarez zatrzymał się w pobliżu. Oparł się o pień drzewa i obserwował, jak wśród trupów poszukiwano chociażby jednego żywego. Polegli leżeli bez ruchu, pomimo szarpania i obracania, żaden z nich nie poruszył się. Tylko jeden lekko jęknął, gdy go obracali. Skierował swoje szklane oczy na szarpiącego i cicho wystękał:

— O... o... to twarz hacjendera!

— Co ten człowiek powiedział? — spytał Juarez.

— Mówi o twarzy hacjendera.

— To ten, co bił mego teścia — odezwał się Helmer kopnąwszy go z całych sił.

— Opowiadał mi już o tym Niedźwiedzie Serce — powiedział Sternau. — Może uda się nam utrzymać go przy życiu, moglibyśmy się wiele od niego dowiedzieć.

— Jaka jest rana?

— Kula przeszła mu przez piersi.

— Pokażcie!

Sternau schylił się nad rannym, rozpiął mu koszulę i począł badać, po chwili powiedział:

— Niestety, dla niego nie ma już ratunku.

— O nie! — wyjęczał znowu ranny. — Ta twarz, to ta twarz! Jego całe oblicze zdradzało trwogę. Przymknął nieco oczy, ale po chwili otworzył je. Wzrok jego padł na leżącego tuż obok dowódcę.

— Nieżywy? Trup? Ale list! Kto odniesie list!

— Co za list? — spytał go Sternau.

— Do Korteja — wyszeptał z trudem.

— Gdzie jest Kortejo?

— Nad... nad... nad San Juano.

— A list?

Ogień oświecił twarz umierającego, policzki pobladły mu jak płótno, zabrakło mu sił na odpowiedź. Sternau podniósł jego głowę i potrząsając nim zawołał głośno:

— A list? Gdzie on jest?

— W bucie — ledwie wyszeptał.

— W którym bucie?

Pytany powtórnie zamknął oczy. Śmierć poczęła brać go w objęcia. Nie skutkowały ani potrząsania ani głośne pytania. Z ust sączyła się krew, już miał się wyprostować, gdy wtem widocznie ostatnią siłą woli zawołał głośno z przerażeniem:

— O Boże... Boże... przebacz! Ja..., ja mu przecież... podałem wody.....wody i... i chleba.

Po tych słowach zmarł.

— Co on chciał przez to powiedzieć — spytał Mariano, podczas gdy reszta stanęła w milczeniu

— Kto to może wiedzieć. Tajemnicę zabrał ze sobą — odrzekł Helmer.

— Może i nie — odezwał się Sternau. — Widocznie dręczyło go sumienie, bo przed oczami ciągle widział twarz katowanego Arbelleza. Senior Arbellez został wrzucony do piwnicy. Ten sam co go bił dostarczył mu później środków do życia. Zasłużył na to byśmy go zostawili przy życiu, niestety...

— Ale co z tym listem, o którym wspomniał? — spytał Juarez.

— To jest list do Korteja — odparł Sternau. — Kortejo znajduje się nad rzeką San Juano, tam czeka na lorda Lindsay. Ten oddział miał się z nim połączyć, a przy okazji oddać mu list.

— Od kogo?

— Najprawdopodobniej od jego córki, która znajduje się w hacjendzie.

— List jest w bucie, ale którym?

— Przede wszystkim musimy przeszukać kapitana. On był dowódcą, a więc zapewne jemu powierzyła list.

Natychmiast ściągnięto buty z nóg dowodzącego i rzeczywiście w cholewie jednego z nich znaleźli list od Józefy.

— Proszę senior — powiedział Sternau do Juareza — Oto list. Juarez zbliżył się do ogniska, otworzył kopertę i przeczytał, gdy tylko skończył odwrócił się do pozostałych mówiąc:

— Panowie, to ważne, słuchajcie.

Głośno i donośnie, tak aby go było słyhać jak najdalej, przeczytał tekst, a potem powiedział:

— Musimy go zachować. Zawiera całą prawdę o zbrodniarzach ich przyznanie się do winy. Wszystko jest jasne, ale co teraz robić?

— To co najpilniejsze? — odparł Sternau. — Przede wszystkim musimy dotrzeć do Rio Sabinas, by się przekonać, czy lord Lindsay przypadkiem już tam na nas nie czeka.

— Ale Arbellez, mój uwięziony teść — odezwał się Helmer.

— Do hacjendy dotrzemy niedługo. Najpierw musimy uratować przesyłkę i pojmać Korteja, wówczas będziemy mogli uważać się za zwycięzców. Do Rio Sabinas dojedziemy za dwie godziny. Teraz proszę poległym zabrać broń i amunicję, zaraz potem ruszamy.

W kwadrans potem po prerii, stosownie do rady Sternaua, cały oddział jeźdźców galopował w kierunku Rio Sabinas.



## Angielska przesyłka

*Sir* Henry Lindsay wylądował w porcie El Refugio, gdzie wspaniała rzeka Rio Grandę, wpada szerokim korytem do morza.

Pomimo ogromu Rio Grandę i szczęśliwego położenie miasto El Refugio pozostawało dość nieznanne i jakby zapomniane. Po części przyczyną tego były niespokojne czasy i niepewne stosunki tam panujące, a po części, że prowincje pograniczne, przez które przepływała Rio Grande nie zajmowały się jeszcze handlem, a zwłaszcza handlem światowym.

Dlatego też, gdy lord Lindsay przybił do brzegu, oprócz jednej lichej barki w przystani nie było widać żadnych statków.

Jak wiemy Lindsay kazał wszystkie rzeczy przeladować na dwie barki. Sępi Dziób podczas swego pobytu w Gaudaloupe nie wiedział jeszcze o tym. Kiedy powrócił, wylądowane łodzie stały na kotwicy niedaleko ujścia Rio Grandę. Dwa małe, lekkie parowce, które były przeznaczone do pływania po płytkich wodach, stały koło łodzi, gotowe do pociągnięcia ich w górę rzeki.

Każdy z tych parowców miał po jednej wygodnie urządzonej kajucie. W jednej z nich mieszkał sam *sir* Henry, w drugiej zaś jego córka Amy.

Oboje z niecierpliwością czekali na swego posłańca, obawiali się, czy przypadkiem nie przydarzyło mu się coś złego. Oboje rozmawiali prawie tylko o tym. Wieczorem lord powiedział:

— Według obliczeń, jakie sam mi podał, powinien już tu być. Nie mogę tracić tyle czasu. Jeżeli jutro nie przybędzie, każę wyruszać.

— Bez przewodników? — spytała Amy.

— Między mymi ludźmi jest dwóch, którzy dość dokładnie znają nurt rzeki w jej górnym biegu, a spodziewam się, że w tym czasie spotkamy Sępiego Dzioba.

— A jeżeli rzeczywiście coś mu się przytrafiło?

— Hm, w takim razie będziemy musieli obejść się bez niego.

— A jeżeli w ogóle nie dotarł do fortu Guadaloupe i nie zdołał ostrzec Juareza?

— To by rzeczywiście było fatalne. W takim razie Juarez nawet nie przeczuwa, że czekam na niego, a tutaj grozi nam niebezpieczeństwo. Francuzi mogą zwąchać w jakim celu tu przyplłynęliśmy. W mgnieniu oka by tu przybyli i skonfiskowali cały transport.

— Tego to bym im raczej nie radził!

Kiedy zabrzmiały te słowa, oboje, jak na komendę odwrócili się w stronę drzwi i ujrzeli oczekiwanego z taką niecierpliwością posłańca.

— Sępi Dziób! — zawołał Lindsay z radością. — Bogu dzięki!

— Tak, Bogu dzięki — odrzekł traper podchodząc bliżej — To była jazda. Sir, to nie przelewki odbyć taką podróż w górę rzeki i z powrotem. Przybywam i nie znajduję pana na dawnym miejscu. Nawet nie przeczuwałem, że pan już taką drogę przebył.

— Ale w końcu mnie pan znalazł. Teraz proszę powiedzieć, jak się panu powiodło?

— Dziękuję *sir*, całkiem dobrze.

— A pańskie zlecenie?

— Wykonane. Czy wszystko gotowe i możemy odbijać?

— Tak. Mamy dwudziestu ludzi. Myślę, że to wystarczy?

— Jeżeli można na nich polegać, to tak.

— Niedługo więc wyruszamy.

— Jak najprędzej. Czy rzeczywiście spotkał się pan z Juarezem?

— Naturalnie.

— Był pan aż w el Paso del Norte?

— O nie. W Guadaloupe czekałem kilka dni, by spotkać się z Czarnym Gerardem, opłaciło mi się to, gdyż Juarez przybył tam także.

— Ach! Wiedział zapewne o panu i sam udał się na spotkanie.

— Nie, *sir*. Przypuszczam, że o niczym nie wiedział. Przybył przypadkowo, że się tak wyrażę, z własnej woli. Działy się tam rzeczy niewyobrażalne, o których muszę panu opowiedzieć.

Tymczasem oczy jego biegały po kajucie w poszukiwaniu czegoś. Lindsay zauważył to i wskazując fotel rzekł:

— Proszę, niech pan usiądzie i czekam na opowieści.

— Ja się nie nadaję do drugich opowiadań. Ogromnie prędko wysycha mi w gardle, więc musiałbym *sir*...

— Dobrze, dobrze, już wiem — przerwał mu Lindsay śmiejąc się. — Zaraz podam panu krople, które mają znakomitą właściwość zwilżania gardło.

Otworzył szafkę przymocowaną do ściany i wyjął z niej butelkę i szklanę. Napelniwszy postawił przed gościem mówiąc:

— Proszę pić. Zapewne po tak męczącej drodze jest pan głodny?

— Nie przeczę, *sir*, ale głód może poczekać. Jedzenie przeszkadza w rozmowie. Słowa chcą z gardła, a kęsy do gardła, gdy spotkaj ą się w połowie drogi czynią takie zamieszanie,

że niepodobna się wyznać, co należy do środka, a co na zewnątrz. Kroplę rumu można natomiast nalać na język bez najmniejszej szkody... przynajmniej tak sądzę.

Przy tych słowach zaczął ostrożnie kosztować zawartość szklanki, ale pomału, prawdziwy traper nigdy nie jest pijakiem.

— Jestem bardzo ciekawy pańskiej relacji — powiedział lord. Amerykanin skinął głową z figlarnym uśmiechem.

— A ja jestem ciekawy, jak się ono panu spodoba — powiedział.

— Czy to ważne sprawy?

— Tak.

— Ze względu na nasze przedsięwzięcie?

— Tak, ale nie tylko.

Przybrał bardzo tajemniczą, ale zarazem figlarną minę, ponieważ nie odpowiedział od razu, Lindasy spytał ponownie:

— Z jakiego innego względu?

— Słyszałem, że są jeszcze jakieś względy osobiste.

— Chce pan powiedzieć, że te nowiny są dla mnie podwójnie ważne.

— Tak *sir*, właśnie to miałem na myśli. Gdy przybyłem do fortu Guadalupe, to udałem się do Pirnera; wyśmienity, stary hultaj ale i niewyobrażalny osioł.

Obrócił się na bok i splunął z pełną nonszalancją, tuż obok nóg lorda. Lindsay cofnął się gwałtownie.

— Czy pan mierzył we mnie? — spytał.

— Ależ absolutnie. Proszę być spokojnym. Mój ładunek idzie tylko tam, gdzie ma wskazany kierunek ani kropla nie pada na bok. Panu nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo. Przybyłem więc do fortu Guadalupe i spotkałem się z Czarnym Gerardem. Chciałem, aby mnie zaprowadził aż do el Paso del Norte, tymczasem okazało się to zupełnie zbędne, bo to Mahomet przyszedł do góry. Naturalnie nie bez powodu. Wie pan, że walka już się rozpoczęła?

— Nic o tym nie słyszałem.

— Juarez ruszył. Ma przy sobie sporo Apaczy, którzy w diabelskim wąwozie wytepiłi całą kampanię Francuzów, następnie Juarez pod fortem Guadalupe wybił prawie wszystkie siły nieprzyjaciela, przy życiu pozostał tylko jeden, ale i tak zdjęto mu skalp. Obecnie prezydent wyruszył do Chihuahua, aby je zająć...

— Czy ma wystarczające siły?

— Proszę się tym nie martwić, *sir*. Z Chihuahua podążył do Cohahuila, aby i to miasto zdobyć, a na koniec połączy się z panem.

— Gdzie?

— Przy ujściu rzeki Rio Sabinas.

— Kiedy?

— Wszystko tak obliczono, że panowie przybędą na miejsce równocześnie, jeżeli wyruszymy jutro.

— Płyniemy jeszcze dzisiaj, jeżeli tylko ciemność nie jest zbyt przeszkodą.

— Ciemność nam nic nie robi. Rzeka jest tutaj bardzo szeroka, zresztą woda w nocy błyszczy się i można spokojnie odróżnić ją od brzegu.

— Juarez przybędzie sam, czy też wyśle swego pełnomocnika?

— Myślę, że sam.

— Naturalnie z silną obstawą?

— To oczywiste. Ludzi będzie miał dość. Zaraz po zdobyciu Chihuahua zaczęli do niego nadciągać całymi gromadami.

— Wie pan z całą pewnością, że wytępił Francuzów?

— Tak, byłem przy tym i pomagałem w walce.

— Juarez sam dowodził?

— Właściwie tak. Ale w walce nie brał udziału. W pierwszym rzędzie walczył Czarny Gerard, który bronił fortu, znaczne zasługi poniósł także, Niedźwiedzie Oko, wódz Apaczów — ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnym naciskiem.

Amy dotychczas przysłuchiwała się całej rozmowie w milczeniu, dopiero przy ostatnich słowach, podniosła głowę i odezwała się:

— Niedźwiedzie Oko, wyjątkowo podobne nazwisko.

— Prawda? Do Niedźwiedziego Serca — powiedział traper.

— Tak — odparła. — Pan go znał?

— Dopiero teraz go poznałem — odrzekł obojętnym głosem.

— Zapewne z opowiadania?

— Nie, osobiście.

— Co pan mówi? Rzeczywiście poznał pan wodza o tym samym imieniu?

— Tak.

— Gdzie go pan spotkał?

— W forcie Guadaloupe.

— Co za przypadek. Indianie chętnie przybierają imiona zwierząt, ale że ten przyjął imię innego Indianina i to tak sławnego?

— Pani się myli. Indianin nigdy nie przybiera cudzego nazwiska.

— Nawet wtedy, gdy należy do innego szczepu?

— Tym bardziej się tego wystrzega.

— Do jakiego szczepu należy ten, którego poznał pan w forcie Guadaloupe?

— Do Apaczów, Niedźwiedzie Serce to jego brat.

— Mój Boże, słyszysz tatku? Co za szczególna historia!

— Rzeczywiście — powiedział lord, którego twarz zdradzała zaniepokojenie. — Musi pan wiedzieć, że Niedźwiedzie Serce zniknął bardzo dawno temu.

— Tak *sir*. Jego brat, Niedźwiedzie Oko raz w tygodniu ściągał skalp z głowy białego. Podejrzewał, że to oni wykradli brata, a nawet, że już nie żyje. Przez długi czas bezskutecznie go szukał.

— A pan go widział w forcie?

— Tak.

— Tego samego co zaginał?

— Tego samego.

Lord i córka aż podskoczyli.

— Co za nowina! — powiedział lord — Nawet pan sobie nie wyobraża, jak ważną przyniósł wiadomość. Rozmawiał pan z Niedźwiedzim Sercem?

— Tylko kilka chwil. Ci ludzie nie są gadatliwi.

— Proszę wszystko opowiedzieć, byle prędko!

— Przybył do fortu tuż przed rozpoczęciem bitwy. Podczas najbardziej krytycznej chwili, jadąc na swym rumaku wpadł na najsilniejszą pozycję nieprzyjacielską. Jego pojawienie się wywołało niespodziewane skutki. Apacze jak zelektryzowani rzucili się z podwójną siłą na Francuzów. W ten sposób przyczynił się do zwycięstwa.

— Apacze nie wiedzieli wcześniej o jego obecności?

— Nie.

— Ani jego brat, Niedźwiedzie Oko?

— Ten także nic nie wiedział. Apacze przybyli z Juarezem na pomoc oblężonej fortecy. Z początku wiodło im się nieźle, ale gdy Francuzi sformowali się w czworoboki, nazywane *carres*, zwycięstwo poczęło się chylić na ich stronę. Wszystko rozbiło się o te kwadraty najeżone bagnietami. Niedźwiedzie Serce, który się znajdował w forcie zobaczył to. Kazał otworzyć białą i w jednej chwili pogalopował, z powiewającymi piórami na głowie,

pomalowany wojennymi farbami i jednym, śmiałym skokiem rzucił się w taki czworobok szerząc zniszczenie i tratując wszystko. Tym sposobem utorował drogę swoim i obudził w nich nową nadzieję na zwycięstwo. Dopiero wówczas poznali swego wodza, którego osiemnaście lat temu stracili i którego uważali za zaginionego.

— O, tatku, teraz się z pewnością dowiemy czegoś nowego! — zawołała Amy.

— Jeżeli to ten sam — odparł lord.

Sępi Dziób zaśmiał się mimo woli, mówiąc:

— Sir, ja za to ręczę.

— Dowiedział się pan, gdzie przez ten cały czas przebywał?

— Gdzie przebywał? Zapewne na prerii albo gdzieś w lasach. Ci Indianie wszędzie się włóczą, jak Cyganie.

— Myśli pan, że przyłączy się teraz do prezydenta?

— Najprawdopodobniej.

— I także będzie nad Rio Sabinas?

— Jestem o tym przekonany.

— To wspaniale! Spytałyśmy go o wszystko. Musi przecież wiedzieć, co się stało z pozostałymi. Jeżeli tylko doprowadzi nas na jakiś ślad, to na nowo zaczniemy poszukiwania i mam nadzieję, że tym razem z pozytywnym rezultatem. Nie było przy nim nikogo więcej, *sir!*

— Był jeden mężczyzna, nazywał się Bernardo Mendoza.

— Rozmawiał pan może z nim? Nie znam tego nazwiska.

— Jeżeli się nie mylę, był ogrodnikiem w Manresie.

— W Manresie, w Hiszpanii? — spytała szybko Amy.

— Tak.

— O Boże! To także musi mieć jakiś związek, prawda tatku?

— Też mam takie wrażenie — odpowiedział lord. — Poza tym byłoby to bardzo dziwne, gdyby Niedźwiedzie Serce tylko przypadkiem spotkał się z człowiekiem z Manresy. Nie wie pan nic bliższego na ten temat?

— Nie pytałem o to, ani jego, ani tej Indianki, która przy nim była.

— Była przy nim jakaś Indianka? Co za jedna?

— Córka Misteków, Karia.

I lord i Amy spoglądali na niego z niedowierzaniem.

— Karia? Siostra Bawolego Czoła? — spytała Amy.

— Tak, Bawole Czoło był tam także.

Powiedział to z takim spokojem, jakby chodziło o błahostkę.

— Rozmawiał pan z nim? Proszę prędko odpowiedzieć — zawołała niespokojnie.

— Ani słowa! Ani z nią, ani z drugą damę. Gdybym wiedział, że to panią tak będzie ciekawiło, to zasięgnąłbym dokładniejszych informacji.

— Wspomniał pan o jakieś drugiej kobiecie — przerwał mu lord. — Kto to taki?

— Mówiono do niej, seniorita Emma.

— Emma to imię, a nazwisko?

— Hm, proszę zaczekać! Jeżeli się nie mylę, nazywa się Emma Arbellez.

Amy objęła ojca za szyję i zawołała ze wzruszeniem:

— Słyszysz tatku! O, musimy się czegoś dowiedzieć!

— Ta seniorita Emma jest widocznie zaręczona, — opowiadał dalej Sępi Dziób ze spokojem. — bo przez cały czas towarzyszył jej jeden mężczyzna.

— Zna pan może jego nazwisko?

— Znam. Był razem ze swoim bratem, który przedtem był żeglarzem. Nazywa się Helmer. W swoim czasie był sławnym myśliwym, nazwali go Piorunowy Grot.

Lord położył swą drżącą ze wzruszenia rękę, na ramieniu myśliwego i spytał cichym głosem:

— Czy wymienił pan już wszystkich, którzy tam byli?

— Muszę sobie przypomnieć. — uśmiechnął się, po czym spokojnie dodał: — Właśnie mi przyszło do głowy, że był z nimi, jakiś potężny mężczyzna, barczysty, z długą aż po pas brodą.

— Jak się nazywa? Prędko, prędko!

— Hm, właściwie to lekarz, ale przede wszystkim wsławił się jako znakomity strzelec i myśliwy. Przewali go nawet Księciem Skał.

— Sternau! — zawołała radośnie Amy.

— Sternau, tak, tak się nazywał — odparł traper kiwając głową.

— Dalej! Dalej! Kto jeszcze był z nimi?

— Był jeszcze jakiś starszy mężczyzna, hrabia Ferdynand. Jeżeli się nie mylę, a powiedział mi to stary Pirnero, że ten mężczyzna jest hrabią Rodriganda.

Lord objął swoją córkę wołając:

— Amy, jakie to dziwne. Co za cudowne zrzędzenie losu. Teraz się wszystkiego dowiemy!

Ama zwróciła się do trapera z pytaniem:

— Nie było tam jeszcze kogoś?

— Był jeszcze jeden, ale to już ostatni.

— Kto? Kto taki? Na Boga mów pan w końcu!

— Jakiś młody, przystojny mężczyzna, który pomimo różnicy wieku był bardzo podobny do hrabiego.

Popatrzyła na niego wielkimi oczami, pierś jej poczęła silnie falować, jej piękna twarzyczka pokryła się rumieńcem, otworzyła usta, ale nie miała siły, by zadać pytanie:

— Jak się nazywał ten młody mężczyzna? — spytał lord.

— Sternau mówił do niego, jeżeli sobie dobrze przypominam, Mariano.

— Mar... Mariano! — wyszeptała Amy.

Łkając opadła na kanapę. Lord podszedł do niej i głaszcząc po głowie uspokajał:

— Moje dziecko, moje drogie, kochane dziecko. To szczęśliwa nowina! Boże, aby ci tylko nie zaszkodziło, to nagłe wzruszenie!

Sępi Dziób wyszedł po cichu na pokład. Wyjął z kieszeni potężny kawał tytoniu i mrucząc z zadowoleniem żuł:

— Dobrze się sprawiłeś stary, wręcz znakomicie. Jakbyś jej od razu to wszystko powiedział pewnie by dziesięć razy zemdląła, albo też mogła się rozchorować. Te damy ulepione są z zupełnie innej gliny, niż mężczyźni.

Podniósł rękę do oczu.

— Do diabła, jeżeli nie śnię to i mnie woda wlaźła pod powieki. Aj, aj Sępi Dziobie! Pomimo twojej zręczności i rozumu, jesteś normalnym głupcem, starą babą.

Spacerował po pokładzie tam i z powrotem, co chwilę spluwając to na lewo, to na prawo, jakby chciał wypluć swoje wzruszenie, po chwili ostrożnie podszedł do kajuty i czekał czy go aby nie zawołają.

W środku słychać było szept, jakby ktoś zmawiał modlitwę dziękczynną, a wreszcie usłyszał głos Amy:

— A gdzie jest Sępi Dziób?

— Tutaj — zawołał wchodząc do środka.

— Muszę zadawać panu jeszcze kilka pytań. Czy słyszał pan coś jeszcze o tych osobach, czy może powiedział pan nam już wszystko?

Podrapał się po głowie i odpowiedział:

— O, seniorita, ja jestem zbyt wrażliwy i nie mogę patrzeć jak kobieta mdleje, gdyż sam mogę zrobić wielkie głupstwo i zemdleć.

— Aha, pan chciał mnie tylko przygotować.

— Coś takiego właśnie kombinuję.

— Czyli, że wie pan znacznie więcej.

— Być może.



Chwyciła za jego szorstką rękę i poczęła prosić błagalnym tonem:

— Ależ bardzo proszę, niech mi pan powie! Teraz może już pan wszystko wyjaśnić. Jestem już przygotowana, nic mi się nie stanie.

— Mam więc opowiadać o tym Mariano? — spytał uśmiechając się figlarnie.

— Tak, proszę i o nim opowiedzieć — odrzekła rumieniać się. — Ale dlaczego pan właśnie jego imię wymienia na początku?

— Dlaczego? Bo mało nie wyleciał w powietrze, jak się dowiedział, że jestem wysłannikiem *sir* Henry Lindsay'a.

— Co powiedział?

— Gdy się dowiedział, że miss Amy znajduje się przy ojcu, koniecznie chciał razem ze mną płynąć tutaj.

— Dlaczego nie wziął go pan ze sobą?

— Bo mam jednoosobowe czółno. Zresztą inni odradzali mu to. Zobaczy go pani, w tym czasie co i Juareza, ale tyle pozdrowień i ukłonów naładował mi przed odjazdem, że przynajmniej z milion zdążyłem zapomnieć po drodze, mimo to przywiozłem i tak całą masę, całą ziemię można by nimi wyłożyć.

— Był zdrow? Jak wyglądał? Jak był ubrany?

— Zdrowy jak ryba, wyglądał jak jakiś hrabia, a ubrany był jak każdy Meksykanin.

— Czy wszyscy, których pan wymienił, także brali udział w walce? — spytał lord.

— Naturalnie. Bez nich zwycięstwo nad Francuzami nie byłoby możliwe. Walczyli bardzo dzielnie, sam Juarez był tego zdania.

— O Boże! — zawołała Amy z trwogą. — Teraz pewnie pójdą z nim do Chihuahua. Znowu będą musieli walczyć, w Cohahuila także.

— Proszę się tak o nich nie martwić. Na swego dowódcę wybrali Sternaua, a to człowiek wyjątkowo doświadczony, zawsze wie co ma czynić. On nie narazi ani siebie ani innych.

— Ale gdzie oni wszyscy tak długo przebywali?

— Najlepiej będzie jeżeli opowiem wszystko od początku, oczywiście tylko to czego się dowiedziałem. Tylko do kaduka, gardło mi znowu wyschło, jak skóra na bucie, nie wiem czy...

— Tu stoi rum — przerwał mu Lindsay. — Proszę się częstować. Sępi Dziób nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Nalawszy zrobił spory łyk, po czym zaczął swoje opowiadanie.

Nie potrzebujemy dodawać, że oboje słuchali z należytą uwagą. Sępi Dziób opowiadał wszystko o czym wiedział, a na zakończenie dodał:

— To już chyba wszystko, co wiem. Dalszych szczegółów dowiedzą się państwo od nich samych, jak tylko dotrzemy do Rio Sabinas.

— Czy Emma i Karia także przybędą do Cohahuila? — spytała Amy.

— Tak myślę.

— Na miejsce spotkania?

— Tego nie wiem, ale myślę, że nie, chociaż miejsce to jest oddalone tylko o dzień drogi od miasta, więc jeżeli pani zechce, może je odwiedzić.

— Mam do pana jeszcze wiele, wiele pytań...

— O seniorita, ja już niczego więcej nie wiem! — odparł Sępi Dziób.

— To niemożliwe, musi pan jeszcze wiele wiedzieć, wystarczy zadawać pytania.

— Choćby mnie pani rozpruła, nie wiem już absolutnie nic.

— Wie pan, wie, tylko mężczyźni nie zważają na drobiazgi. Uważacie, że są to nic nie znaczące sprawy, tymczasem dla nas mają one ogromne znaczenie.

— Ale ja nie znam naprawdę ani jednego szczegółu więcej! — zawołał traper z uporem. — Proszę mi wierzyć, że mówię prawdę.

— Zaraz panu udowodnię, że tak nie jest. Jakie oczy ma seniorita Resedilla, o której pan opowiadał?

— Niebieskie.

— A te dwie młode Meksykanki, Pepi i Zilli?

— Czarne jak węgiel.

— Skąd pochodzi ten mały traper, Andre, o którym pan mówił?

— Z jakiejś pruskiej prowincji. Jego brat jest gajowym u jakiegoś emerytowanego kapitana w okolicach Moguncji.

— Może w Kreuznach? — spytała pośpiesznie.

— Tak, tak jakoś się nazywa, ta dziura.

— Ten kapitan nazywa się Rodenstein?

— Nazwisko brzmi podobnie, jeżeli się nie mylę, to chyba tak samo.

— Co za zbieg okoliczności. Z tego można wywnioskować, jak pan Bóg zwolna rozwija nici losów ludzkich. Pan także musi przyznać, że jeszcze wiele rzeczy by się znalazło, o których pan wie i może odpowiedzieć.

— Hm, tak to wygląda? A kto przy opowiadaniu zwracał by uwagę na kolor oczu tej lub tamtej seniority.

— Właśnie o takie drobnostki będę pana pytała, bo choć one dla pana nic nie znaczą, to jednak odgrywają ważną rolę. Ale czy nie moglibyśmy tymczasem wyruszyć w drogę? Czy to możliwe?

— Ojciec pani już mnie o to pytał. Nie widzę żadnego problemu.

— Ale pan jest bardzo zmęczony.

— Dobry traper nie wie co to zmęczenie. Jeżeli lord chce wypływać, ja jestem gotów. Czy wszyscy ludzie się już zebraли?

— Tak. Są wszyscy, ogień pod kotłami się pali.

— Łodzie ratunkowe i tratwy podzieli pan zapewne na dwa parowce?

— Naturalnie.

— Uformuje się więc dwa oddziały. Nie jest to najmądrzejsze posunięcie, ale cóż, inaczej nie można. Jako przewodnik, zajmę swe miejsce na pierwszym, a pan?

— Popłynę z panem.

— A miss Amy?

— Jej kajuta znajduje się na drugim.

— To mi się nie podoba, czy nie mogłaby miss Amy płynąć z nami?

— Dlaczego? Będzie nam niewygodnie.

— Ale za to bezpiecznie.

— Czy w czasie drogi czyha na nas niebezpieczeństwo?

— No cóż, ja przepłynąłem wprawdzie spokojnie w obie strony, ale obecnie stosunki uległy zmianie i należy mieć się na baczności i dlatego nie radzę nocą przybijać do brzegu. O wiele lepiej zrobimy, jeżeli chcąc odpocząć zarzucimy kotwicę na środku rzeki. Czy pańscy ludzie są dobrze uzbrojeni?

— Tak. Zresztą mam na pokładzie działa, tak więc nie potrzebujemy się zbytnio obawiać napaści, drogi panie.

— Bądźmy optymistami. Proszę wydać rozkaz odpłynięcia, ja tymczasem zajmę się resztą.

Udał się do łodzi i sprawdzał czy wszystko jest w porządku. Natrafił na kilku swoich znajomych. Odniósł wrażenie, że załoga składa się z samych dzielnych ludzi, na których można całkowicie polegać.

Polecił sternikowi drugiego parowca, by w miarę możliwości trzymał się blisko nich.

Wszyscy rzucili się do pracy, poprzywiązywali łodzie i tratwy, aż w końcu parowy gwizdek dał sygnał do drogi. Podniesiono kotwicę.

Panowała ciemność, ale przy blasku gwiazd można było dokładnie obserwować drogę.

Na dziobie pierwszego parowca stał Sępi Dziób wyżejając wzrok, obok niego usiadła Amy. Wypytywała go ciągle o tysiące drobnostek, tak, że sam dziwił się ile szczegółów pominął w czasie swej relacji.

\* \* \*

Jeżeli dopłynię się do miasta Rio de City, które leży na lewym brzegu i płynie dalej w górę rzeki, to po krótkim czasie można dotrzeć do miejscowości Mier, leżącej na drugim brzegu. Niespełna piętnaście mil dalej leżą Revilla i Bellevilla, właśnie tutaj Rio Sabinas wpada do Rio Grandę.

Droga jest długa i dzika. Oba brzegi obrośnięte są gęstymi krzakami, tak, że dalsze tereny są prawie niewidoczne. Za gęstwiną krzaków rośnie potężny, dziewiczy bór z nieprawdopodobnie ogromnymi drzewami. Przez ten bór, na koniu można się było łatwo przeprawić, przeszkodę stanowią dopiero nabrzeżne krzaki.

W cieniu tego gigantycznego lasu w górę rzeki jechał znaczny oddział znakomicie uzbrojonych jeźdźców, jednak widać było, że konie są już bardzo znużone.

Na czele oddziału jechało dwóch mężczyzn. Jeden z nich to Pablo Kortejo, pretendent do prezydentury Meksyku. Twarz miał zaszępioną, najwyraźniej nie miał powodów do radości, inni także wyglądali na mocno zniechęconych. Kortejo rozmawiał ze swoim sąsiadem półgłosem, przeklinając od czasu do czasu.

— Przeklęty pomysł, aby te dwa parowce płynęły z transportem załadowanym na tratwy — zaklął Kortejo.

— To nie było najgorsze, senior — odezwał się jego towarzysz — ale ta niespotykana ostrożność, ani razu na noc nie dobijają do brzegu.

— Niech piekło pochłonie, całą tę sytuację. Gonimy za nimi jak psy od San Juano, wykańczamy konie i wszystko bez skutku.

— Złapać go możemy tylko podstępem, senior.

— . Na co się zda cały podstęp, kiedy nie przybijają do brzegu.

— Nie potrzebują, ale niech tylko Anglik sam zejdzie na brzeg...

— Tego także nie robi.

— O to się już postaram.

— Podjąłbyś się tego?

— Naturalnie, oczywiście za dodatkową opłatą.

— Otrzymasz ją. Kiedy dojedziemy do tego miejsca?

— Za jakieś pół godziny. Wybrane miejsce jest wręcz stworzone do tego celu. Przedzierałem się tamtędy niedawno i parę razy nawet nocowałem.

— Ten projekt właściwie nie jest zły. Jak złapiemy Anglika to dostaniemy resztę, tylko czy uda nam się wywabić go z gniazda?

— Musi się udać, senior, jestem o tym przekonany.

Po pół godzinie, rzeczywiście dotarli do miejsca, w którym rzeka gwałtownie skręcała.

Powstały w ten sposób półwysep był skalisty i zarośnięty niskimi roślinami. Miejsce to łatwo można by ujrzyć zarówno od strony rzeki, jak i z lądu.

Po jakimś czasie na zakręcie ukazały się oba parowce. Lord Lindsay płynął spokojnie w górę, nie przeczuwając, że taka ilość wojska jedzie prawym brzegiem i tylko czeka na stosowną porę, aby ich napaść i obrabować.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy pierwszy parowiec dotarł do zakola. Lord i Sępi Dziób stali obok sternika.

— Jak daleko mamy jeszcze do Rio Sabinas? — spytał lord trapera.

— Jutro, koło południa dotrzemy do jej ujścia, a potem dalej, z nurtem, przez ten zakręt musimy znacznie nadłożyć czasu. Kto zna tę drogę, to na koniu przebywają znacznie szybciej. Ale proszę spojrzeć, tam na tej mieliźnie stoi jakiś człowiek.

— Tak, — odparł lord — teraz chyba usiadł.

— O nie! — odezwał się sternik — On nie usiadł, tylko upadł, musi być wyczerpany.

— Podnosi się, ale z wielkim trudem! — zawołał Sępi Dziób — Daje znaki. Zapewne chce, byśmy go wzięli na pokład.

— Zabierzmy go — poprosiła Amy przystępując do mężczyzn. — Może spuścimy szalupę tatku?

— Tak, trzeba to zrobić — odpowiedział lord. — Nie możemy przecież zostawić tego biedaka bez pomocy.

— Spokojnie, bądźcie cicho, on coś woła—powiedział Sępi Dziób. Ujrzeni jak ów człowiek przyłożył ręce do ust i krzyczał:

— Juarez!

Powiedział tylko jedno słowo, ale osiągnął pożądaną skutek.

— To wysłannik prezydenta — rzekł lord. — Musimy go zabrać na pokład. Pojadę na brzeg, żeby się z nim rozmówić.

— Tego pan nie uczyni, — przerwał traper. — Znajdujemy się właśnie koło najbardziej dzikich gąszczy, nie pozwolę więc, by wystawiał się pan na niebezpieczeństwo. W zupełności wystarczy, jeżeli wyślemy szalupę, która zabierze go na pokład.

Natychmiast wydano odpowiednie rozkazy. Dwóch silnych ludzi popłynęło na brzeg. Z parowca, który zarzucił kotwicę można było dokładnie widzieć, jak łódka wylądowała na brzegu, a marynarze udali się w kierunku wołającego o pomoc. Rozmawiali z nim przez jakiś czas, ale wkrótce powrócili bez niego i powiosłowali z powrotem.

— Dlaczego go nie zabraliście? — spytał lord.

— Spadł z konia i jest ciężko ranny. Strasznie cierpi, jak go tylko dotknęliśmy to był z bólu i prosił byśmy go tam zostawili, bo i tak musi umrzeć.

— Biedny człowiek. Nie możemy go tak zostawić — powiedziała Amy.

— To dlaczego dawał nam znaki, skoro nie chce byśmy go zabrali? — spytał Sępi Dziób.

— Jest posłańcem Juareza. Dostał rozkaz, by czekać na brzegu na lorda Lindsay'a, ma dla niego jakieś ważne wiadomości — odpowiedział marynarz.

— To dziwne. Juarez doskonale wie, gdzie mamy się spotkać. Jeżeli naprawdę wysłał do nas gońca, to chyba tylko dlatego, że zmienił miejsce, albo chce nas ostrzec przed niebezpieczeństwem. Dlaczego ci nie powiedział, z jaką nowiną do nas przybywa?

— Chce mówić z samym lordem, twierdzi bowiem, że te wiadomości są bardzo ważne i że nie może powierzyć ich pierwszemu lepszemu.

— To mi wygląda bardzo podejrzanie. Widziałeś jego konia?

— Nie, koń mu się spłoszył i uciekł.

— A śladów kopyt także nie wiedziałeś?

— Nie, tam grunt jest bardzo skalisty.

— Nie zauważyłeś na brzegu lasu czegoś podejrzanego?

— Nie, nic.

— No cóż, będę musiał sam do niego popłynąć — odezwał się lord.

— Tato proszę, zostań tutaj — mówiła Amy. — Ja mam jakieś złe przeczucia.

— Muszę się przecież dowiedzieć, o co chodzi!

— Niech to powie komuś innemu.

— Tego nie uczyni — odezwał się marynarz, który był na brzegu. — Powiedział mi wyraźnie, że powierzy tajemnicę, tylko lordowi.

— W takim razie, trzeba jeszcze raz spróbować zabrać go na łódkę, a potem na parowiec.

— Nie zechce. Powiada, że śmierć zagląda mu w oczy. Każde poruszenie sprawia mu straszne cierpienie, więc przetransportowanie go na statek jest wykluczone.

— Cóż, muszę więc pojechać do niego — powiedział lord. — Wezmę ze sobą kilku uzbrojonych ludzi, na pewno nic mi się nie stanie.

Sępi Dziób splunął z niecierpliwością.

— A czy pan wie, — zapytał — ilu ludzi ukrytych jest w lesie za drzewami?

— Dobrze, to nie wysiądę na brzeg, z łódki też mogę się z nim rozmówić — odparł Lindsay.

— A tymczasem pierwsza kula z lasu dosięgnie pana.

— Na miłość boską, tatko proszę, pozostań na statku — prosiła Amy.

Nagle Sępi Dziób zaśmiał się serdecznie, splunął do wody kilka razy i tak się odezwał:

— Znakomita myśl wpadła mi do głowy.

— Jaka?

— Ja sam tam popłynę.

— Ale on panu nic nie powie, bo chce rozmawiać tylko ze mną.

— Powiem, że jestem lordem Lindsay.

Anglik zdziwił się z początku, a potem roześmiał i powiedział:

— Stroi pan sobie żarty, senior.

— Mówię to zupełnie poważnie, ten drab przecież pana nie zna?

— Myślę, że nie — odrzekł Lindsay. — Ale teraz pan będzie w niebezpieczeństwie.

— Niebezpieczeństwo? Z mojej strony to tylko żart, kawał. Doskonale będę udawał lorda, tak mi się przynajmniej wydaje.

Cała twarz rozjaśniła mu się na tę myśl. Amy mimo woli spojrzała na niego z uwagą. Widząc jego wielki nos, wyschniętą, żylastą postać, otwartą, zarośniętą pierś i podarte na strzępy zwisające ubranie, zaśmiała się serdecznie:

— Ja też myślę, że paradny lord będzie z pana.

— No, na powadze nie będzie mi zbywać — odparł majestatycznie prostując się. — Jesteśmy prawie tego samego wzrostu, *mylordzie*. Może ma pan jakieś dodatkowe ubranie, ale koniecznie modne, takie jak obecnie nosi się w Londynie albo w Nowym Jorku.

— Mam nawet kilka.

— A cylinder?

— Także.

— Rękawiczki?

— Naturalnie.

— Krawat, okulary albo przynajmniej monokl?

— Oczywiście.

— Parasol też?

— Mam i parasol.

— Czy zechce mi pan to wszystko wypożyczyć?

Pytanie to na nowo wywołało wybuch śmiechu. Nastąpiły liczne pytania, wreszcie postanowiono pozwolić Sępiemu Dziobowi na ten figiel. W kajucie lorda począł się stroić, a po krótkim czasie ponownie zjawił się na pokładzie, gotowy do wyprawy.

Na jego widok, Amy chciała wybuchnąć głośnym śmiechem, jednak powstrzymał ją, dając ręką znak i dodając półgłosem:

— Proszę cicho, seniorka. Taki cienki głosik, śmiejącej się damy rozchodzi się daleko. Kto wie, czy nie dotarłby do brzegu, a wówczas byłoby po żarcie.

— Ale to wyjątkowo trudno, powstrzymać się — odrzekła Amy z wysiłkiem.

— Tamci na brzegu, na mój widok nie będą się śmiali. Już ja się o to postaram.

— Ale pan nie ma ze sobą broni — zawołała z troską Amy.

— Schowałem nóż i dwa rewolwery, to mi wystarczy. Dziwnie wyglądał w tym stroju. Miał na sobie popielate ubranie, kamasze, lakierki, siwy cylinder, żółte rękawiczki, parasol i okulary na swym długim nosie, słowem ubrany był tak, że i w mieście zrobiłby furorę, a cóż dopiero tutaj, w tych dzikich ostępach.

— Uważam, że dwa wypadki są możliwe, albo ten drab rzeczywiście jest wysłannikiem Juareza, albo to wszystko jest tylko podstępem, pułapką na pana, senior.

— Ja sądzę, że to pierwsze — odparł lord Lindsay.

— A ja myślę, że to drugie — odparł traper. — Jeżeli pan ma rację, to niedługo przybędę z powrotem, ale jeśli moje przecucie mnie nie myli, to nie wiem jeszcze jak to wszystko się zakończy.

— Co mamy robić w przypadku, gdyby pan miał rację? — spytał lord.

— Gdybym długo nie wracał, to pojutrze proszę płynąć naprzód. Juarez na pewno was spotka. Tylko senior, proszę o wyjątkową ostrożność i ciągłe straże. Jeśli mnie pochwycą, to będzie znak, że czatowali na pana i pański transport. Z całą pewnością będą chcieli, pod osłoną nocy podpłynąć do was i niespodziewanie napaść.

— Będziemy czuwać.

— Proszę naładować działa kartaczami, o ile możliwe od razu, ale tak, aby nic z brzegu nie zauważano. Co prawda są pokryte płótnem, więc może nie zauważą, co się tutaj święci.

— Ale pan, co będzie z panem? Obawiam się o pańskie życie.

— Proszę się o mnie nie troszczyć. Nawet gdyby mnie pojмали, przy pierwszej lepszej sposobności dam drapaką i podążę wprost do Juareza.



— Jak się pan chce do niego dostać?

Zapytany splunął, jak to miał w zwyczaju i spokojnie odpowiedział:

— Jak? Na koniu.

— Ale pan nie ma przecież konia.

— Ja nie, ale tamci na brzegu mają. Zresztą bardzo dobrze znam te tereny. Jeszcze nie jest ciemno, przed zmrokiem dostanę się na Prerię, nad ranem, choćby nawet koń był lichy, dotrę do Juareza. Ten naturalnie od razu wyruszy, by rozprawić się z łotrami.

— A jak się dowiem, czy pana rzeczywiście napadli i czy zdołałeś im umknąć?

— To pierwsze zobaczycie na własne oczy, a drugie usłyszycie, jak raz dosiądę konia, to już jestem wolny. Zna pan głos meksykańskiego sępa?

— Bardzo dobrze.

— Gdy usłyszysz pan ten głos, to będzie znak, że jestem wolny, drugi krzyk poświadczy, że siedzę na koniu, a trzeci raz krzyknę wtedy, gdy będę pewny, iż uda mi się zbiec. Jeżeli jeszcze raz, z dala zabrzmiał głos sępa, to będzie znaczyć, że jestem w drodze do Juareza.

— Dobrze senior, będziemy nasłuchiwać.

— No cóż, komedia może się rozpocząć.

Sięgnął do kieszeni swych nowych spodni, wyjął z nich kawałek tytoniu i wsadził do ust.

— Ależ senior, angielski lord nie żuje tytoniu — zawołała Amy ze śmiechem.

— Dlaczego nie? Ciekawy jestem, dlaczego właśnie lord miałby się pozbawiać tej przyjemności. Proszę mi wierzyć, że wszyscy ludzie hołdują takiemu nałogowi, tylko nie zdradzają się przy damach.

Schował parasol pod pachę i wskoczył do szalupy.

— Proszę na siebie uważać, w miarę możliwości — zawołał za nim lord.

— O to samo proszę pana! — odpowiedział, po czym dał znak marynarzom, aby wiosłowali.

Mała łódka szybko mknęła po wodzie. Niedługo dotarli do brzegu.

Ów podobno ranny Meksykanin, oczekiwał na tę chwilę z niecierpliwością, gdy zobaczył przybijającą łódkę, wzrok mu się rozjaśnił i zamruczał:

— Nareszcie. Ale ci Anglicy, to rzeczywiście dziwacy. Nawet tutaj, na prerii stroją się jak do opery. Do diabła! A cóż za nos ma ten lord!

Sępi Dziób wyskoczył na brzeg, marynarzom kazał czekać w gotowości. Gdyby tylko zobaczyli coś podejrzanego, to natychmiast mieli powracać na statek, jego mieli zostawić samemu sobie.

Ranny wsparł się na ramionach i głucho jęczał:

— O senior, jak ja cierpię.

Sępi Dziób opuścił okulary na sam czubek nosa i uważniej, ale z niedowierzaniem przyglądał się leżącemu, wreszcie potracił go parasolem i wyseplenił:

— Boleści? Co? Boli?

— O i to jak bardzo!

— Ach źle, bardzo źle! Jak się nazywa?

— Kto, ja?

— *Yes*.

— Friderico.

— Co jest?

— *Vaquero*.

— Od Juareza?

— Tak.

— Co za nowiny?

Meksykanin wykrzywił usta i znowu zaczął ogromnie jęczeć. To dało traperowi możliwość dokładnego obejrzenia terenu.

Nie dostrzegł w pobliżu żadnych śladów, las także nie wyglądał podejrzanie, w końcu *vaquero* odezwał się:

— Pan rzeczywiście jest lordem Lindsay?

— Naturalnie.

— Ale na pewno?

— Tak. Może być spokojny. Co ma powiedzieć?

— Juarez jest już w drodze. Prosi pana, by w tym miejscu przybił do brzegu i czekał na niego.

— Ach! Wspaniale! Gdzie on jest?

— Jedzie wzdłuż brzegu.

— Skąd?

— Z el Paso del Norte.

— Kiedy?

— Wyruszył przed dwoma tygodniami. Szybciej przecież nie mógł tutaj dotrzeć.

— Pięknie! Znakomicie! Pojadę naprzód. Jeżeli Juarez jedzie z biegiem rzeki, to się spotkamy. Dobranoc!

Obrócił się z powagą chcąc udać się w stronę brzegu. W tej jednak chwili, rzekomo słaby podskoczył jak strzała i chwycił go z tyłu.

— Proszę o spokój, jeżeli życie panu miłe, proszę się nie ruszać! — zawołał.

Sępi Dziób był dość silnym i zręcznym mężczyzną. Jednym szarpnięciem mógł się uwolnić z uchwytu, ale postanowił działać w inny sposób.

Stanął jak skamieniały, jakby go osłabiła trwoga i zawołał:

— *Zounds!* Do kaduka, cóż to takiego?

— Jest pan moim więźniem — odrzekł Meksykanin.

Anglik otworzył szeroko usta i spytał ze zdziwieniem:

— Ach, to jest podstęp! On nie słaby?

— Nie! — zaśmiał się nieznajomy.

— Nie spadł z konia?

— Nie!

— Gałgan! Dlaczego?

— By pana złapać, *mylordzie* — odpowiedział i rzucił na lorda spojrzenie pełne wzgardy.

Widocznie uważał Anglika za wyjątkowego tchórza, gdyż nie pomyślał nawet o obronie.

— Dlaczego chciał mnie złapać? — pytał nadal Sępi Dziób.

— Dla tego pięknego towaru, który znajduje się tam, na łodziach.

— Moi ludzie mnie uwolnią.

— Lepiej żeby pan w to nie wierzył. Popatrz pan tylko, ci co z panem przyплыnęli już dają drapaka, widzisz pan jak szybko wiosłują, a teraz obróć się pan i rozejrzyj!

Wiosłarze uczynili jak im rozkazał Sępi Dziób. Gdy tylko zobaczyli, że dał się zaskoczyć, podejść od tyłu i złapać, czym prędzej pobiegli w stronę łodzi. Napadnięty ujrzał za sobą dziwny widok. Nagle, cała zgraja uzbrojonych drabów, jakby wyrosła spod ziemi i galopowała na złamanie karku w jego kierunku. Po dwóch minutach został szczelnie otoczony.

Przybrał strasznie zafrasowaną minę i jakby w zakłopotaniu, począł targać swój parasol. Jeźdźcy zeskoczyli z koni. Kortejo pierwszy zbliżył się do złapanego. Jak tylko go spostrzegł stanął osłupiały, jeszcze raz obejrzał go dokładnie, a na koniec rzekł gniewnie:

— Kim pan jest?

— A kim ty? — spytał Anglik nie tracąc udanej sztywności.

— Ja pytam kim pan jest! — krzyknął Kortejo surowo.

— A ja pytam ktoś pan! — odrzekł Sępi Dziób. — Ja jestem Anglikiem, ze znakomitej rodziny, z solidnym wykształceniem; odpowiem dopiero po panu.

— Niech i tak będzie, nazywam się Kortejo.

Anglik przyjął strasznie zdziwioną minę, tym razem całkiem naturalną i zapytał:

— Kortejo? Może Pablo?

— Tak — odrzekł dumnie zapytany.

— *Thunderstorm!* To wybornie!

Ten wykrzyknik też był szczery. Nie tylko ogromne zdziwienie, ale i radość zmieszały się w sercu strzelca na widok Korteja. Już cieszył się na myśl, na radość jaką sprawi Juarezowi, jak go podprowadzi na spotkanie z Kortejem i pomoże w jego ujęciu.

— Znakomite, nieprawdaz? — zaśmiał się Kortejo. — Tego się pan nie spodziewał. Ale teraz proszę mi powiedzieć, kim pan jest?

— Nazywam się Lindsay — odparł spokojnie.

— Lindsay? To wierutne kłamstwo!

— Kto odważa się tak twierdzić?

— Ja. Znam bardzo dobrze lorda Lindsay. Pan nim nie jesteś.

Sępi Dziób przeraził się nieco, lecz nie dał tego po sobie poznać.

Z całą flegmą, na jaką tylko mógł się zdobyć wypluł przeżuty tytoń tuż koła konia Korteja, i z zimną krwią dodał:

— Tak, tym nie jestem.

Kortejo odrzucił w tył głowę i z gniewem zawołał:

— Proszę uważać, senior, gdzie plujesz!

— Ja uważam; trafiam zawsze tam gdzie chcę — odparł ze spokojem.

— Myślę, że nie zamierzaliście mnie trafić?

— To się jeszcze zobaczy.

— Wypraszam sobie, a więc pan nie jest lordem Henry Lindsay?

— Nie.

— To dlaczego przywłaszczyliście sobie to nazwisko?

— Bo jest moje.

Swoim spokojem zbił nieco Korteja z tropu, tak że zawołał z niecierpliwością:

— Co do diabła, jak mam to zrozumieć? Raz nim jesteście, raz nie!

Sępi Dziób spytał go ze spokojem:

— Był pan kiedyś w starej Anglii?

— Nie!

— To się nie dziwię, że nie rozumiecie. Lordem jest tylko najstarszy syn, reszta już nie.

— A, pan jest młodszym bratem lorda Lindsay?

— *Yes.*

— Jak pan ma na imię?

- Jestem, *sir* Dawid Lindsay.
- Czy to możliwe? Pan wcale nie jest podobny do swego brata.
- Sępi Dziób ponownie splunął pod nogi Korteja i odpowiedział:
- Nonsens, bzdura!
- Czy chce pan temu zaprzeczyć?
- *Yes*.
- Nie przyznaje pan, że nie jesteś podobny do swego brata?
- Nie przyznaję.
- A to dlaczego?

— To pan się myli, nie ja! Nie ja, tylko on nie jest podobny do mnie!

Kortejo nie wiedział co ma na to odpowiedzieć. Najchętniej zakląłby siarczyście na tego dziwnego jegomościa, ale jego pewność siebie i zimna krew po prostu mu zaimponowała. Po pewnym czasie odezwał się:

- Ale ja oczekuję pańskiego brata.
- Lorda Henry?
- Tak.
- A to dlaczego czeka na niego?
- Bo się dowiedziałem, że transportuje ważne *rzeczy*.
- Błąd! Ja transportuję.
- Miała być razem z nim miss Amy.
- Była z nim.
- Tak? A co to za dama, która stąd można było ujrzeć na pokładzie.
- Miss Amy.
- A gdzie jej ojciec?
- U Juareza.
- Ach, wyprzedził was? Gdzie jest Juarez?
- W el Paso del Norte.
- Jak daleko zamierzacie płynąć z tym ładunkiem?
- Do fortu Gadaloupa.

Chytry i zarazem złośliwy uśmiech pojawił się na twarzy Korteja.

- Tak daleko transport nie dopłynie.
- Dlaczego?
- Gdyż tutaj musicie przybić do brzegu i oddać mi cały ładunek.

Anglik rzucił mocno zdziwionym wzrokiem dokoła. Miał w tym swój cel. W jednej chwili przeglądął konie i jednego wybrał dla siebie, naturalnie najlepszego. Już wiedział, na którego będzie miał wskoczyć w czasie ucieczki.

— W pańskie ręce? — spytał — A to dlaczego?

— Bo potrzebuję tego wszystkiego, co pan ma na pokładzie.

— Tak? Niestety nie mogę tego sprzedać. Ani jednej rzeczy nie mogę panu odstąpić.

— O senior, nie chodzi o sprzedaż. Musi mi pan zrobić podarunek i to z całego transportu znajdującego się na statkach i łodziach.

— Podarunek? Ja nic nikomu nie zamierzam dawać.

— To zmusimy pana do tego.

— Zmusicie? — spytał Anglik obojętnym tonem.

Poruszył ramionami po czym zwęził usta i wypluł z nich cały strumień przeżutego tytoniu wprost na kapelusz Korteja; tytoń począł ściekać z runda aż na ubranie.

— Do stu piorunów! — zawołał z oburzeniem. — Co to za dowcip? Nie wiecie, że to obraza płuć na kogoś?

— Odejdźcie! — odparł Sępi Dziób spokojnie. — Ja jestem angielskim dżentelmenem i dlatego mogę płuć, gdzie mi się podoba. Kto nie chce być trafionym może się usunąć.

— Poczekajcie! Oduczymy was tej głupiej mody. Teraz macie zdecydować, czy zgadzacie się na dobrowolne oddanie mi całej przesyłki?

— Ani mi to w głowie.

— Zmuszę was! Jesteście od tej chwili moim więźniem.

— Pchtsichchchct!

Potworna porcja przeżutego tytoniu przeleciała tuż koła nosa Korteja. Sępi Dziób począł znowu szarpać swój parasol mówiąc:

— Więźniem? Ja? O tym nic nie wiem.

— Informuję was więc.

— Tak, to znakomite, wyborne, bardzo zajmujące, już dawno chciałem zostać czyimś więźniem.

— No cóż, życzenie wasze spełniło się. Teraz macie wydać swym ludziom rozkaz, by dalej nie płynęli.

— Dobrze, uczynię to.

Powiedział to wyjątkowo spokojnym tonem, jakby się rzeczywiście zgadzał ze wszystkim. Wsunął swój parasol pod pachę, obie dłonie przyłożył do ust i krzyknął w kierunku statku tak głośno, że każde słowo mogli zrozumieć:

— Musicie zostać, Pablo Kortejo jest tutaj!

— Czemu im pan to powiedział, do diabła? Po co mają wiedzieć, że jestem tutaj?

— A dlaczego ja mam to wiedzieć? — spytał Anglik flegmatycznie.

— Przecież nie po to, aby pan to wszystkim rozgadał. Zresztą nie myślałem, że to się tak odbędzie, oni nie mieli się zatrzymać, chcę aby przybili do brzegu.

— Po co?

— No, żebyśmy mogli rozpocząć wyładunek.

Anglik pokręcił głową w obie strony i powiedział z rozwagą:

— Tego pan nie uczyni.

— Dlaczego nie?

— Zakazuję panu.

— Nie będę zważał na pański zakaz. Ilu ludzi ma pan ze sobą?

— Nie wiem.

— To przecież musi pan wiedzieć.

— Czasem zapominam. Może potem sobie przypomnę.

— I tak niedługo dowiemy się tego. Teraz proszę rozkazać aby tu przybyli.

— Nie mam zamiaru.

Kortejo położył mu rękę na ramieniu i rzekł groźnie:

— Senior Lindsay, łodzie muszą dobić do brzegu zanim się ściemni. Jeżeli pan natychmiast nie wyda takiego rozkazu, będę zmuszony użyć środków, które zmuszą pana do tego.

— Ach! Jak to?

Parasol trzymał ciągle pod pachą, ręce wsadził do kieszeni spodni i rozkraczył nogi. Z jego całej, spokojnej miny i postawy można było poznać, że nie ma nawet pojęcia o niebezpieczeństwie, w jakie się wpakował.

— Jakich? Każę pana tłuc różgami! — krzyknął Korteja pozbawiony cierpliwości. Dostanie pan pięćdziesiąt kijów!

— Pięćdziesiąt? Tylko?

— Senior, pan chyba oszalał!

— *Well!* Pan także.

— Jeżeli pięćdziesiąt kijów to za mało, to każę pana okładać dotąd, dopóki pan nie wyda swym ludziom odpowiedniego polecenia.

Sępi Dziób podniósł w górę ramiona i popatrzył na niego pogardliwym wzrokiem.

— Bić? Mnie? Angielskiego dżentelmena? — spytał.

— Oczywiście. Choćby był pan synem lub bratem samego cesarza, to i tak każe pana smagać różgami, jeżeli nie będziesz pan posłuszny.

— Proszę spróbować!

— Zsiadać! — rozkazał Kortejo Meksykanom.

Nie zauważył przy tym jakim wzrokiem rzekomy Anglik spojrział na jedną, gniadą klacz, z której jeździec właśnie zeskoczył. Nie zauważył także, że Anglik wyciągnął nieco z kieszeni ręce, a w każdej z nich trzymał rewolwer. Kortejo obróciwszy się do niego, począł groźnie krzyżeć:

— Teraz każe pana na oczach wszystkich wychłostać, jeżeli nie wykonasz tego, co kazałem. Nic panu nie pomoże, nawet jego pochodzenie. Każe cię smagać, jak prostego pachółka.

— Czy senior mówi to poważnie?

— Naturalnie.

— Czyli, że grozi pan mnie, angielskiemu dżentelmenowi?

— Jak pan widzi!

— I naprawdę chce mnie pan kazać wychłostać tutaj, na oczach gawiedzi.

— Tak jest.

No cóż, zobaczymy, czy pańskie oczy tego doczekają. Po tych słowach stało się coś nieoczekiwanego, nikt nie był na coś takiego przygotowany.

W mgnieniu oka Sępi Dziób złapał parasol w zęby. Nawet w tej, tak krytycznej chwili nie chciał poświęcić ani jednej rzeczy. Wyciągnąwszy błyskawicznie z kieszeni oba rewolwery, wyloty skierował wprost w oczy Korteja, który stał tuż obok. Natychmiast zagrzmiały dwa strzały, jeden po drugim. Każdy z nich trafił do celu.

Kortejo leżał na ziemi z zakrwawionymi oczami i krzychał jak zraniony zwierz. Ludzie jego osłupieli. Dopiero po jakiejś minucie przyszli do siebie. Tak nagłego napadu nikt się nie spodziewał, po tym zimnym, flegmatycznym Angliku.

Ten krótki moment w zupełności wystarczył. Z ostatnim strzałem zabrzmiał umówiony krzyk sępa. Jednym skokiem znalazł się traper na grzbiecie konia i popędził w stronę lasu, powtórnie naśladując krzyk sępa. Na skraju lasu obrócił się i spojrział na ciągle osłupiałych Meksykanów. Po raz trzeci dał się słyszeć wrzask drapieżnego ptaka. Dopiero teraz poderwała się pogoń.

— Za nim! Za nim! — słychać było kilka głosów.

Podczas gdy większość dosiadała koni i pędziła za uciekającym, kilku zostało przy rannym.



— Moje oczy! Moje oczy! — jęczał przeraźliwie Kortejo. Wyglądał strasznie, oczodoły zaszyły krwią. Jedno oko wyciekło całkowicie, drugie tak spuchło, że nie można było go dojrzeć.

— Wody! Wody! — krzyczał z bólu Kortejo. — Zimnej wody! Ratunku!

Unieśli go pod ramiona i zanieśli w stronę rzeki, obmywając mu oczy i przykładając mokre, zimne kompresy. W końcu jeden z „opiekunów” powiedział:

— Jedno oko stracone na zawsze.

— Stracone? — zapytał Kortejo — Czy to prawda?

— Tak, trzeba tylko usunąć wiszące resztki.

— A drugie?

— Drugie może da się uratować, ale nie wiem tego z pewnością.

— Niech piekło pochłonie tego przekłętego Anglika — krzyczał Kortejo. — Niech go diabli pochłoną z całą jego rodziną i potem wrzucą z najgłębsze otchłanie, na całą wieczność.

— Proszę się tylko nie złościć senior, bo to może zaszkodzić. Zimna woda to najlepsze lekarstwo.

Czterech, czy pięciu Meksykan podtrzymało go swymi silnymi ramionami, aby się nie szarpał, jeden zaś zajął się jego oczami. Potworny krzyk Korteja rozległ się daleko.

Ciągłe przykładanie i obmywanie zimną wodą zmniejszyło trochę jego cierpienia. Kiedy obwiązywano mu oczy, poczuł znaczną ulgę.

Wszyscy, którzy puścili się w pogoń za Sępi Dziobem powrócili niedługo. W lesie zgubili jego ślady, nie mieli więc po co dalej jechać. W rzeczywistości chcieli jak najszybciej dostać się w pobliże łodzi i statków. Zdobycz była dla nich ważniejsza, niż jakiś Anglik, który oprócz rewolwerów i dziwaczного ubrania nie miał przy sobie nic godnego uwagi.

Ów Meksykanin, któremu Sępi Dziób zabrał piękną, klacz, złościł się po stracie. Ponieważ rewolwery Anglika położyły trupem sześciu, pięciu ciężko zraniły, więc z koni nieżyjących kolegów mógł sobie wybrać najlepszego.

Z trupami towarzyszy nie robili zbędnych ceregieli, powrzucaли do rzeki, rybom na żer. Ranni zaś stanowili dodatkowe utrudnienie. Nie bardzo wiedzieli co mają z nimi uczynić. Ich przewodnik, ten sam, który podstępem przywołał do siebie rzekomego lorda Lindsay odezwał się słowami:

— Ja wiem o miejscu, gdzie ranni mogą dojść do sił.

— Gdzie to jest? — spytał Kortejo.

— Na drugim brzegu. Tam, o jakieś trzy mile stąd, stoi chatka mojego znajomego. Tam wszyscy będą bezpieczni i w spokoju dojdą do zdrowia. Tutaj ich przecież nie możemy zostawić.

— Och, gdybym mógł tak razem z nimi! — zawołał Kortejo.

— A dlaczego byście nie mogli, nikt wam przecież tego nie może zabronić.

— Mogę się stąd oddalić?

— Dlaczego nie? Widzieć i tak nic nie możecie, a więc pomóc nam także nie jesteście w stanie.

— Może już jutro z moim okiem będzie lepiej.

— Możliwe. Jednak uważam, że będzie lepiej, jeśli się senior podda solidnej kuracji. Proszę nam tylko wydać dyspozycje, a my je wypełnimy co do joty.

— O nie. Ja zostaję.

Przewodnik widząc, że nic nie wskóra odszedł. Zapadł wieża więc rozpalili ogień. Przewodnik usiadł obok i podparłszy głowę na rękach oddał się zadumie. Po chwili podniósł się, skinął na kilku zaprzyjaźnionych, by udali się za nim.

Cichaczem udali się do lasu i skryli za drzewami.

— Czego od nas chcesz? — spytał jeden z nich.

— Przyszła mi do głowy znakomita myśl — odpowiedział. Naturalnie Kortejo nie może się o niczym dowiedzieć.

— A my?

— Tylko wy.

— Dobrze.

— Powiedźcie mi najpierw, co myślicie o nim, ale tak szczerze, między nami.

Milczeli nie mogąc się odważyć na słowa okrutnej prawdy. Wreszcie jeden z nich odezwał się nieśmiało:

— Najpierw ty powiedz, co o nim sądzisz.

— Ja myślę, że to wielki dureń.

— Przedtem się z tym nie zdradzałeś.

— Przedtem byłem osłem.

— A teraz, jeżeli to mówisz, to nie jest to głupota?

— O nie, wy naprawdę wierzycie, że on zostanie prezydentem?

— Nie.

— Przecież na to jest za głupi. Pantera Południa sprzymierzył się z nim tylko dlatego, by go wykorzystać. Może i my potrafimy to samo?

- Jak to?
- Myślę, czy nie zdobyć tych łodzi tylko dla nas.
- Bez Korteja? To byłby niezły połów!
- Co powiadacie na taki projekt?
- Wyborny.
- Wyśmienity! — dodali pozostali.
- I łatwo jest go zrealizować — odezwał się przewodnik.
- Łatwo? Nie wydaje mi się. Co powie na to Kortejo?
- Ani słowa, bo nie będziemy go pytali.
- A jak się domyśli?
- Moja już w tym głowa. Muszę tylko wiedzieć, czy mogę wam zaufać?
- Nie potrzebujesz się niczego obawiać, gadaj, tylko śmiało!
- Dobrze. Myślisz, że gdy Kortejo nagle zniknie to ktoś się o niego będzie pytał?
- . Naturalnie!
- Kto taki?
- Jego sprzymierzeńcy.
- Przecież my nimi jesteśmy.
- A jego córka?
- Co nas obchodzi jego córka! Jest teraz ślepcem, więc wystarczy jedno pchnięcie i cała sprawa będzie załatwiona.
- Zabójstwo?
- Już nie jeden zginął. Pomyślcie tylko o tym co się znajduje na łodziach.
- Powiadają, że kilka tysięcy karabinów. To drogie rzeczy.
- Mówią, że nawet działa.
- To wszystko nic nie znaczy, ale ja wiem i to od samego Korteja, że Anglia przysłała pieniądze. Parę milionów!
- Do pioruna!
- Mamy to może oddać w łapy Korteja, żeby płacił nimi za swoje głupie pomysły.
- Wiesz z całą pewnością, że tam są pieniądze?
- Tak. Szpiedzy Pantery to sprawdzili.
- W takim razie bylibyśmy głupcami, gdybyśmy mu je oddali.
- Rozdzielimy je pomiędzy siebie. Zgadza się?
- Oczywiście! — odpowiedzieli zgodnie pozostali.
- Korteja musimy usunąć!

— Ale czy inni się zgodzą?

— I to nawet chętnie. Gdy się rozchodzi o miliony, nikt się od tego nie uchyli. Główna rzecz, abyśmy to wzięli w nasze ręce i opracowali plan. Potem pójdziemy do pozostałych i przekonamy się, jakie mają zdanie o Kortejo, oczywiście nic nie mówiąc o naszych planach.

— Ale Kortejo był naszym dowódcą; nie był tyranem, ani skąpcem, na wiele rzeczy patrzył przez palce. Dopiero niedawno pozwolił obrabować całą hacjendę del Erina, dlatego nie chciałbym, aby zginął.

— To co z nim zrobimy?

— Moglibyśmy się go pozbyć w inny sposób.

— W jaki?

— Zbudujmy mu małą tratwę i wsadźmy na nią. Potem zepchniemy ją na wodę. Niech sobie płynie, dopóki go ktoś nie spotka.

— To niezły pomysł, w ten sposób unikniemy morderstwa.

— Tak pomysł jest dobry, a co wy na to?

Wszyscy się zgodzili. Po krótkiej naradzie postanowili puścić Korteja z wodą, a jeden z nich dodał:

— Ale co zrobimy z rannymi? Jeżeli ich także przyjmiemy do spółki, nasze zyski się zmniejszą. Ja myślę, że oni także są zbędni.

— To prawda.

— Może ich także wsadzić na tratwę dla towarzystwa Korteja?

— Nie! — odrzekł jeden z nich, który miał jeszcze odrobinę przyzwoitości. — Oni są przecież naszymi towarzyszami. Śmierć i tak zagląda im w oczy, może umrą jeszcze dzisiejszej nocy. Niech spokojnie leżą, zaczekamy do jutra. Korteja musimy się pozbyć, inaczej sprzątnie nam pieniądze, ale tych oszczędzimy. Przede wszystkim musimy wybrać jednego z naszych na dowódcę, aby pokierował całą sprawą. Według mego zdania powinniśmy to uczynić zaraz.

Ta myśl przypadła wszystkim do gustu. Po dłuższych rozmowach wybrali dotychczasowego przewodnika, następnie wrócili do obozu.

Niedługo małe, pojedyncze grupki rozmawiały ze sobą o czymś żywo, ale bardzo cicho. Coraz częściej gromadzili się koło nich inni. Wreszcie wszyscy zaczęli łączyć się w jedną, wielką gromadę. Cała rozmowa był prowadzona szeptem, ale zapanowało takie zamieszanie, że zaniepokoiło Korteja.

— Co tam nowego? Co to za szepty? — spytał przerażony.

— Rozmawiamy, o tym co nas czeka — odrzekł przewodnik.

- A co miałyby się stać. Przecież statki jeszcze stoją?
- Stoją.
- Czekają na powrót Anglika. Zdażymy je zająć.
- Ale jak? Gdybyśmy chociaż mieli czółna.
- Niestety tego nam brakuje.
- Myślicie może o tym, że powinniśmy zbudować tratwy. Kortejo zastanowił się chwilę, a potem dodał:
- To nie jest dobry pomysł. Tratwami nie da się kierować. Och, gdybym tylko widział, po godzinie statki byłyby moje.
- To będzie trudne, senior.
- Dlaczego?
- Bo czółen nie mamy, a tratw nie możemy zbudować.
- Ale to nie jest konieczne. Tu jest wystarczająco dużo drzewa i sitowia.
- Senior myśli, by dopłynąć do statków?
- Naturalnie.
- Kiedy nie każdy umie pływać.
- To co z tego. Jak każdy zrobi z drzewa i sitowia solidny punkt oparcia, nawet nie umiając pływać, bezpiecznie dotrze na miejsce.
- Ale proch zamoknie.
- Nie. Strzelby zostawimy tutaj. Każdy weźmie ze sobą tylko długi nóż. Gdy będziemy płynęli pojedynczo, to nikt nas nie zauważy i podkradniemy się tuż pod samą zdobycz. Potem w ciemnościach wdrapiemy się do góry i zanim coś zauważą poczują w piersiach żelazo. Następnie cały transport przyholujemy do brzegu. Och, gdybym tylko mógł to widzieć i w tym uczestniczyć.
- Ależ możecie senior.
- W jaki sposób?
- Sporządzimy dla was tratwę i zabierzemy was ze sobą.
- Nie dam rady nią sterować.
- To zbyteczne, dwóch albo trzech z nas popłynie z panem.
- Tak, wtedy to będzie możliwe. Bóle trochę ustąpiły. Wprawdzie spodziewam się, że jutro będę już widział na to jedno oko co mi zostało, ale jeżeli będziemy tak długo zwlekać, to zdobycz może nam łatwo umknąć.
- Takie jest też nasze zdanie.
- Dobrze — odrzekł Kortejo. — Czy widać jeszcze światła na okrętach?

— Nie, ani jednego.

— Najwyraźniej śpią. Głupcy! Myślą pewnie, że niebezpieczeństwo już minęło. Tylko pamiętajcie, że musicie się rozdzielić, tak żeby każdy wiedział, na który statek czy łódź ma napaść. Musicie także wygasić ogniska, by nie zdradziło was światło odbijające się w wodzie. Teraz idźcie i zetnijcie parę drzew na tratwę dla mnie, a dla siebie przygotujcie podpory.

— Senior, gdzie będziemy mieli sterować waszą tratwą.

— Do pierwszego statku. Tam musicie przede wszystkim pojmać senioritę, a co do towarów, to nie śmiecie ich ruszyć, aż do jutra rana.

— Dlaczego, senior?

— Muszę wszystko widzieć.

Słuchający spojrzeli po sobie wzrokiem wiele dającym do myślenia, a potem udali się do pracy.

Głupotą ze strony Korteja było wyrazić zgodę na budowę tratwy, niczego nie widząc i zdać się na łaskę swych ludzi. A może miał do nich zaufanie, a może też sądził, że samą swoją obecnością zapewni bezpieczeństwo skarbowi, które znajdowały się na łodziach.

\* \* \*

Jak tylko łódź wysłana ze statku przybiła do brzegu, cała załoga z największą ciekawością oczekiwała na rezultat wyprawy. Lord razem z córką stał koło sternika, który na szczęście dobrze znał dalszą część drogi i był dość doświadczony, mogli więc liczyć na niego.

— Teraz wychodzi na brzeg — odezwała się Amy.

— Ma postawę bogatego handlarza drzewem, który usiłuje naśladować dżentelmena.

— Rozmawia z nim. Ciekawa jestem o czym?

Ze statku można było dokładnie widzieć ludzi na brzegu. Myśleli, że podejrzenia Sępiego Dzioba były błędne, że ranny jest prawdziwym wysłannikiem Juareza, gdy nagle, ku własnemu przerażeniu ujrzeli, że ów nieznajomy poderwał się na równe nogi i od tyłu złapał traperę.

— Na Boga! — krzyknęła Amy — On go napadł!

— Czyli, że to był podstęp — zawołał sternik.

— No, cóż — odezwał się lord — Sępi Dziób jest silnym mężczyzną, zaraz mu się wyrwie i zdąży uciec.

Stało się coś przeciwnego. Myśliwy pozostał bez ruchu, nie próbując się nawet bronić, gdy tymczasem obaj wioślarze zaczęli co sił płynąć w stronę statku.

— A to co takiego — spytał Lindsay. — Moi wioślarze uciekają?

— To tchórzostwo! — zawołała Amy. — Teraz nie będzie się mógł uratować.

— Tak, teraz naprawdę jest zgubiony — odezwał się sternik. — Otoczyli go ze wszystkich stron! Dobrze przeczuwał, że ta cała komedia to podstęp!

— Przed wyjazdem powiedział, żebyśmy naładowali działa kartaczami — zawołała Amy z trwogą. — Tatko, strzelamy tam, w tę masę ludzi!

— Przecież możemy trafić także w niego.

— Fakt, nie pomyślałam o tym. Ale tam się coś dzieje, on chyba chce nam coś powiedzieć? Cisza, słuchajcie!

— Tu zostać! Pablo Kortejo jest tutaj! — dotarło do nich z oddali.

— Czy to możliwe? Pablo Kortejo tutaj? — zawołał lord ze zdumieniem.

— Kortejo? — powtórzyła przerażona Amy. — Jakim sposobem się tutaj dostał?

— Wprost nie mogę w to uwierzyć — dodał Lindsay.

— Przekonajmy się tatku!

— W jaki sposób, moje serce?

— Przecież mamy lunetę.

Lord aż podskoczył i uderzając rękaw czoło zawołał:

— Ależ jestem zapominalski, stoję tu beczynn timer i oglądam daleki brzeg, nie pomyślawszy nawet o tym, że o wiele dokładniej mógłbym wszystko zobaczyć, przez lunetę.

Chciał się udać do kajuty, ale sternik ubiegł go i przyniósł pożądany przyrząd.

— Tatku, ja nie widzę naszego traper a, a ty? — spytała Amy.

— Widzę — odparł spokojnie.

— Co robi?

— Rozmawia z., z... z... wszyscy stoją w kole, rozmawia z... jak Boga kocham, to rzeczywiście Pablo Korteja, we własnej osobie.

— W takim razie Sępi Dziób jest zgubiony, nie ma wyjścia.

— Tak myślisz?

— To oczywiste, przecież Kortejo cię zna.

— O tym nie pomyślałem. Sępi Dziób chciał ich wyprowadzić w pole udając mnie, teraz jednak wszystko wzięło w łeb.

— Możemy go jakoś uratować?

— Teraz nie, musimy poczekać i zobaczyć jak się to skończy.

Z ogromną uwagą wpatrywali się w stojącą na brzegu gromadę. Nagle zabrzmiał jeden strzał, a po krótkim czasie następne; jeden i drugi z szaloną szybkością, naliczyli ich dwanaście.

— O Boże, oni do niego strzelają! — lamentowała Amy.

— Nie! — odrzekł sternik. — Wprawdzie nie mam lunety, ale myślę, że to on do nich strzela.

Nagle usłyszeli umówiony sygnał, głośny krzyk sępa, zaraz potem drugi.

— Bogu dzięki! Uwolnił się! — zawołała Amy klaszcząc z radości w dłonie.

— Widzisz go tam, na koniu? — spytał ją lord wskazując ręką.

— Widzę. Galopuje w kierunku lasu.

Trzeci wrzask sępa, a po chwili czwarty przeszył powietrze. Jeździec zniknął za drzewami.

— Uratowany! — krzyknęła Amy z radością.

— Jedzie do Juareza! — dodał jej ojciec. — Bogu dzięki. Mówiąc szczerze bardzo się o niego bałem. Spójrzcie! Bandyci siadają na konie i pędzą za nim! Gotowi go jeszcze złapać!

Pogoń również zniknęła za drzewami.

— Sępi Dziób nie da się złapać, przecież to obiecał — odezwała się Amy. — Tatku, proszę popatrz, kogo niosą na brzeg rzeki?

Lord skierował lunetę we wskazanym kierunku i powiedział:

— To Kortejo.

— Co mu się stało?

— Zapewne jest ranny. Obmywają mu twarz. Dokładnie nie mogę rozróżnić.

Potworny krzyk rannego dochodził aż do statku.

— Musi odczuwać ogromny ból — odezwała się Amy.

— Dobrze mu tak — odparł lord. — Zasłużył sobie na to w stu procentach. Wiele dałbym za to, aby się dostał w moje ręce.

— Juarez przybędzie i złapie go.

— Liczę na to. Niestety robi się ciemno. Jestem ciekawy co teraz zamierzają zrobić, może odjadą, skoro zrozumieli, że ich podstęp na nic się nie zdał.

Trwoga o los Sępiego Dzioba okazała się na wyrost. Goniący go niedługo powrócili, jednak z pustymi rękami, a ponieważ zapadał wieczór, rozpalili ogniska i rozłożyli się w koło.

— Oni, tu chyba zostają, tatku! Czy my będziemy bezpieczni?

— Bezpieczni? Nie, raczej nie, jestem przekonany, że zechcą nas odwiedzić.

— Przecież ich plany spełzły na niczym.



— Właśnie dlatego. Pierwotnie zamierzali schwytać mnie podstępem i w ten sposób zagarnąć cały ładunek. Ponieważ im się to nie udało, będą chcieli z całą pewnością zorganizować napad.

— W takim razie jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie!

— Nie bój się moje dziecko; będziemy czuwali. W każdym razie na pewno będziemy słyszeli, jak się zbliżają. Działa skierujemy w ich stronę tak, aby mogły ostrzeliwać całą powierzchnię wody. Zapewne zbudują sobie tratwy.

Na to odezwał się sternik:

— Czy mogę?

— O co chodzi?

— Proszę mi pozwolić udać się do nich. Chciałbym ich podsłuchać.

— Nie, to niemożliwe. To zbyt niebezpieczne.

— Nie dla mnie. Jestem znakomitym pływakiem.

— Ale prawdziwe niebezpieczeństwo zacznie się dopiero na brzegu. Czy potrafi pan, podczołgać się pod obóz nieprzyjaciela, ale tak by go nikt nie zauważył.

— Na tyle, że nie zginę.

— Ale ja bez pana nie dam sobie rady. Jeżeli pana złapią, co ja pocznę bez pierwszego sternika?

— O, jestem przekonany, że mi się nic nie stanie. Oni nawet nie przeczuwają, że ktoś z nas odważy się podkraść do obozu. Na pewno nie ustawili straży. Proszę mi na to pozwolić. To dla nas bardzo ważne, dużo zyskamy, gdy poznamy ich plany.

Lindsay nie chciał się zgodzić, ale sternik nalegał tak długo, aż w końcu dostał pozwolenie.

— Proszę wygasić wszystkie światła — poprosił sternik na odchodnym. — Okna kajut należy szczelnie zasłonić. Najmniejszy blask wskazałby im kierunek i cel.

— Zajmę się wszystkim, w ogóle postaram się przygotować tak, abyśmy w razie napadu nie byli zaskoczeni. Zaraz wydam odpowiednie rozkazy.

— Czy mamy dość sztucznych ogni, *mylordzi!!*

— Wystarczająco.

— W razie potrzeby musimy oświecić wodę i brzeg, aby cel był widoczny.

— Postaram się i o to. Teraz proszę płynąć. Mam nadzieję, że się panu nic złego nie przytrafi.

Sternik wsunął za pas maczetę i cichutko zanurzył się w wodzie.

Lord patrzył przez jakiś czas za pływakiem, potem szybko zajął się przygotowaniem do obrony. Kazał wynieść całą skrzynkę z raketami, po czym w małym czólnie pływał od łodzi do łodzi, wydając odpowiednie polecenia.

Kiedy powrócił na statek minęły może trzy kwadransy. Amy oczekiwała go niecierpliwie. Jeszcze jakieś dwie godziny musieli czekać na sternika. Lord zaczął już wątpić w jego powrót i właśnie rozmawiał o tym z Amy, kiedy ktoś ze zręcznością kota wspiął się po linie na pokład i stanął przed lordem.

Był to solidnie zmęczony sternik. Rzeka w tym miejscu była bardzo szeroka, napracował się więc ogromnie. Odetchnął głęboko i rzekł:

— Wróciłem — rzekł zaspany.

— Bogu dzięki! — odrzekł Lindsay. — Już myślałem, że pana więcej nie zobaczę. No i co? Opłaciła się ta wyprawa?

— Naturalnie.

— Udało się panu ich podsłuchać?

— Tak, są ogromnie nieostrożni, słyszałem więc niejedno. Ich dowódca rzeczywiście nazywa się Kortejo.

— Widział go pan?

— Widziałem, on jest ślepy.

— Co takiego? — zawołał lord. — A co mu się stało?

— Sępi Dziób wystrzelił ze swoich rewolwerów. Jedno oko Kortejo stracił bezpowrotnie, a drugie da się uratować.

— Co za nowina! Podziwu godna sprawiedliwość. Tak blisko pan podszedł, że mogłeś zobaczyć Korteja?

— Tak. Posuwałem się sitowiem. Kiedy zbierałem się do odwrotu, przypadkiem usłyszałem ich rozmowę, o czymś bardzo, bardzo ważnym. Zbuntowali się przeciwko swemu dowódcy.

— Przeciw Kortejo?

— Tak. Przybył w te strony z zamiarem napadu na nas i zabrania całego transportu, tylko dla siebie. Ponieważ nie widzi, więc chcą się go pozbyć, aby zdobycz i pieniądze podzielić między siebie.

— Zamierzają na nas napaść?

— Tak. Już przygotowują drzewo i sitowie.

— Przyjmiemy ich godnie, tak jak na to zasługują. Nie słyszał pan czegoś o rozmowie Sępiego Dzioba i Korteja?

— Nie.

— Chcą więc zamordować Korteja?

— Tego nie jestem pewien. W każdym razie chcą się go pozbyć, ale w jaki sposób, nie wiem. Nie mogłem wszystkiego słyszeć, gdyż rozmawiali szeptem.

— Kiedy zamierzają na nas napaść?

— Zapewne najpierw wygaszą ogniska.

— Czy uda nam się ich zauważyć?

— Oczywiście, bo popłynę naprzeciwko.

— Pan znowu chce tam płynąć?

— Naturalnie.

— O nie, proszę zostać, nie chcę by się pan ponownie narażał.

— Teraz nie może być mowy o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Czy działa są naładowane?

— Naładowane, skierowane i gotowe do wystrzału.

— W takim razie nie chcę tracić czasu.

Nie pytając nawet o powtórne pozwolenie opuścił się do wody i zniknął w ciemnościach nocy.

Może pół godziny potem, na brzegu nagle zgasły ogniska, a na wodzie zniknął poblask, zapanowała kompletna ciemność.

— Zaraz pewnie rozpoczną — szepnęła Amy.

— Prawdopodobnie. Idź do kajuty, kochanie.

Posłusznie zeszła na dół, po chwili jednak wróciła na pokład.

— Dlaczego nie zostałeś w kajucie? — spytał ojciec.

— Nie mogłabym wytrzymać, mam ze sobą dwa rewolwery.

— Na miłość boską! Czy chcesz może brać udział w walce?

— Jeżeli zajdzie taka potrzeba, tak — odpowiedziała stanowczym tonem.

— No myślę, że nie dojdzie do walki wręcz. Parę kartaczy wystarczy, by rozgonić tę hołotę.

Ledwie wymówił te słowa, gdy na pokładzie ponownie zjawił się sternik, biegnąc szybko w ich stronę.

— Nadpływają — szepnął.

— Są blisko?

— Byłem na brzegu i czekałem zanim się do mnie nie zbliżyli. Teraz będą pewnie w połowie drogi.

— Mam ich oświecić?

— Najwyższy czas.

Kilka chwil potem parę rakiet zostało wystrzelonych do góry, oświecając całe koryto rzeki. Sternik nie pomylił się. Od brzegu, głowa przy głowie płynęli Meksykanie.

— Ognia! — krzyknął Lindsay.

Silny huk wystrzałów zatrzęsł powietrzem. Plusk wody, gwałtowne kołysanie statków i łodzi zagłuszyło na chwilę wszystko. Pojedyncze krzyki i wrzaski dochodziły na statek, potem wszystko ucichło.

— Więcej rakiet — prosił sternik.

Nowy słup światła wzbił się w górę. Przy jego blasku zobaczyli, że strzały były skuteczne. Wprawdzie niewielu ewentualnych napastników zostało trafionych, ale dokładnie można było widzieć, że wszyscy w pośpiechu wracali do brzegu. Tylko jedna tratwa płynęła unoszona prądem wody w dół. Gdyby Lindsay przeczuwał, że na tratwie tej płynie ranny Kortejo, z pewnością wysłałby za nim pogoń.

— Uciekają na brzeg. Wygraliśmy! — zawołała ucieszona Amy.

— Tak, przynajmniej tymczasowo — odparł lord.

— W każdym razie musimy być przygotowani na powtórny napad.

— Nie unikniemy tego? — spytał sternik.

— W jaki sposób?

— Gdy popłyniemy trochę w górę rzeki.

— Musimy przecież tutaj czekać na Juareza.

— On nas tu spotka. Najprędzej może się tu zjawić dopiero jutro rano, do tego czasu możemy spokojnie powrócić.

— Myśli pan, że Meksykanie nie puszczą się za nami w pogoń?

— W nocy? Przez las, tak gęsto zarośnięty krzakami? Nie, to niemożliwe, chyba, że wszyscy poupadali na głowę.

— A czy my będziemy bezpieczni w czasie tej nocnej wyprawy?

— Raczej nie. To zakole nie jest łatwe do przebycia, ale jak popłyniemy powoli nic się na nie stanie.

— Niech i tak będzie.

Natychmiast wydał rozkazy i niedługo cały transport wolno ruszył z miejsca.

Na brzegu zostali napastnicy, ich nowy dowódca rozkazał ponownie rozniecić ogień. Przy jego blasku odnaleźli swoje ubrania i broń.

Dopiero teraz mogli ocenić jaką szkodę uczyniła strzelanina. Brakowało około trzydziestu ludzi.

— Niech diabeł porwie tych wisielców. Skąd im wpadło do głowy by oświecać rzekę rakietami — krzyczał wściekły przywódca.

— Musieli nas usłyszeć — odpowiedział jeden z nich.

— To niemożliwe, musi istnieć jakiś inny powód.

— Ja się domyślam, jaki — odparł następny.

— Jaki?

— Zapewne spostrzegli jak ogień został zgaszony i domyślili się, że przygotowujemy napad.

— To możliwe! Tak niezawodnie było. Musimy powtórzyć napad. Teraz jednak nie zgasimy ognisk.

— To nas ujrzą.

— Nie; pójdziemy spory kawałek w górę rzeki i tam wskoczmy i popłyniemy w kierunku drugiego brzegu. Dopiero gdy będziemy na środku, pozwolimy by porwał nas prąd. W ten sposób uda nam się napaść na nich z drugiej strony, tam się nas zupełnie nie spodziewają.

— To by było znakomite, jeśli się uda, ale wątpię.

— Dlaczego?

— Popatrzcie tam.

Oczy wszystkich skierowały się na wodę. Z kominów obu statków wystrzeliły słupy iskier. W tym samym momencie poczęły pracować maszyny.

— Do pioruna, oni odpływają! — zawołał przywódca.

— Tak, uciekają.

— Musimy się jutro puścić w pogoń.

— A co zrobimy z rannymi. Wielu ich mamy, będziemy wlec ich z sobą.

— Niemożliwe, przeszkadzaliby nam w drodze.

— A co innego nam pozostało?

— Co?! Powrzucamy ich do wody. I tak nam się na nic nie przydadzą, kto wie czy dożyją jutra.

Projekt został przyjęty. Mimo jęków, prośb i szarpaniny, porwali ciężko rannych towarzyszy i powrzucali do rzeki. Jeszcze długo słychać było ich jęki rozlegające się po wodzie.

Kominy parowców rzucały za siebie długie snopy iskier. Przy ich f blasku ujrzeli, jak transport powoli zniknął za zakrętem rzeki.

— Kiedy wyruszamy?

— Jutro o brzasku. A teraz spać!

Widocznie mord własnych towarzyszy nie wzburzył ich sumieniami, gdyż wkrótce wszyscy usnęli. Nie porzucali straży, bo nie spodziewali się jakiegokolwiek napadu.

## Spotkanie

Daleko od nich, bo przy ujściu Rio Sabinas ukazał się w tym czasie inny oddział jeźdźców. Był to Juarez ze swymi sprzymierzeńcami. Pomimo ciemności przeszukano brzeg rzeki, ale nic nie znaleziono, ani Anglika, ani niczego podejrzanego. Zostawiwszy w pewnym oddaleniu swe konie rozbili obóz, a potem udali się na spoczynek.

Panował tutaj zupełnie inny porządek. Liczne straże czuwały nad bezpieczeństwem spoczywających.

Przebyli spory kawał drogi, więc mocno znużeni zasnęli i smacznie spali aż do rana. Dopiero pierwsze blaski słońca postawiły towarzystwo na nogi. Udali się do lasu, aby upolować zwierzynę i w ten sposób zaopatrzyć obóz w żywność.

Niedźwiedzie Serce i jego brat Niedźwiedzie Oko pierwsi powskakiwali na konie. Jak tylko Niedźwiedzie Serce złapał za cugle, spojrzał za siebie i zawołał:

— *Uff!* Kto to taki?

— Czy ktoś nadjeżdża? — spytał Juarez.

— Tak, tam! — wskazał ręką.

Obóz był schowany za krzakami, ale prerię było widać ja na dłoni. Doliną galopował z niezmierną szybkością jakiś samotny jeździec. Zbliżył się na tyle, że można było rozróżnić pojedyncze części jego ubrania.

— To jakaś szczególna figura — zaśmiał się Juarez. — Galopuje z otwartym parasolem, po kiego grzyba?

— Sądząc po ubraniu, musi być Anglikiem — odezwał się Sternau.

— Może to wysłannik lorda Lindsay'a!

— A skąd by lord miał na pokładzie konie? Zresztą jedzie jak Indianin, nie ja Anglik.

— Teraz podniósł się w siodle, wyraźnie kogoś szuka. Może mu się pokazać?

— Naturalnie. Przecież nam to niczym nie grozi.

Wyjechali zza krzaków na wolną przestrzeń prerii. Jeździec zobaczył ich natychmiast, przez krótką chwilę wahał się, jednak potem skierował konia w ich kierunku.

Jak się tylko zbliżył, tak że ich mógł lepiej obserwować, znowu podniósł się w siodle, a prawą ręką począł wywijać otwartym parasolem, lewą zaś cylindrem wydając przy tym okrzyki radości.

W kilka chwil zjawił się obok, jednym szarpnięciem zatrzymał wierzchowca, zeskoczył, a za pomocą cylindra i parasola począł czynić ukłony, które miały się wydać poważne, wypadły jednak strasznie niezgrabnie.

Zobaczyli jego wielki nos i poczęli z ogromnym zdziwieniem oglądać jego eleganckie, popielate ubranie, cylinder, monokl nie mogąc sobie wytłumaczyć, skąd to wszystko wziął. Wreszcie dało się słyszeć pojedyncze głosy:

— Sępi Dziób?!

— Do usług, jestem Sępi Dziób. Mam zaszczyt powitać panów — rzekł kłaniając się nisko.

Zamknął parasol i wbił go w ziemię, cylinder założył na parasol, również swój długi frak powiesił na nim, po czym powiedział:

— Przekłęte szmaty. Pierwszy i ostatni raz w swym życiu udawałem Anglika.

— Pan udawał Anglika? — spytał Juarez ze zdumieniem.

— Tak, *sir*.

— Ale po co?

— Chciałem się dać złapać.

— Nadal nie rozumiem, po co?

Sępi Dziób wyciągnął z flegmą swój zwitek tytoniu, odgryzł kawałek i odpowiedział:

— Tak jest. Rzeczywiście złapali mnie.

— Kiedy?

— Wczoraj.

— Gdzie?

— Powyżej Rio del Norte.

— Kto taki?

— Pablo Kortejo.

— Pablo Kortejo? — spytał Sternau. — Myślałem, że on jest nad San Juano?

— O nie, *sir*! Jeżeli chce go pan zobaczyć i złapać, może pan to zrobić zaraz, po południu będzie pański.

— Proszę, niech pan opowiada. Spotkał pan lorda Lindsay' a w El Refugio?

— Naturalnie. Wyruszyliśmy zaraz w kierunku Sabinas. Opowiedział o wszystkich zdarzeniach, aż do chwili ucieczki, a na koniec dodał:

— Całą noc pędziłem na złamanie karku z taką szybkością, że zapomniałem nawet, o tym, aby wsadzić sobie w usta kawałek Virginii.

— Lord oczekuje nas na zakolu rzeki? — spytał Juarez.



— Tak, senior.

— Nie przybędzie tutaj?

— Nie, powiedziałem mu, że przyprowadzę pana ze sobą.

— A co z Kortejem? Oślepił go pan?

— Tak się spodziewam. Wsadziłem mu obie lufy rewolweru w oczy, na pewno nam nie ucieknie.

— A jego ludzie? Czy mimo wszystko nie zechcą napaść na lorda?

— To prawdopodobne, lecz jestem pewny, że lord da sobie z nimi radę.

— A jeżeli nie potrafi się obronić, jeżeli mimo dzielnego oporu, bandyci zdobędą przesyłkę.

— To im ją odbijemy, senior.

— No to, naprzód, ruszajmy! Może nas pan poprowadzić, czy jesteś zbyt zmęczony?

— Zmęczony? — zawołał ze zdziwieniem, jakby nie rozumiejąc co to słowa znaczy, splunął przy tym siarczyście i odrzekł: — Proszę tylko o świeżego konia.

Juarez zwołał natychmiast naradę. Uchwalono, żeby część wojska została z tyłu przy koniach, reszta miała wyruszyć na pomoc lordowi.

W kwadrans po przybyciu Sępiego Dzioba, liczny oddział jeźdźców galopował przez dolinę w dół rzeki pod przewodnictwem Sternaua i Sępiego Dzioba, który w cylindrze na głowie i parasolem w ręce jechał z pełną powagą na świeżym koniu.

— Proszę zamknąć parasol — odezwał się Sternau.

— Dlaczego?

— Bo trudniej jechać z otwartym.

— Skoro już go mam.

— Co z tego, może go pan przecież trzymać zamkniętym, myślę, że tak będzie znacznie wygodniej.

— Terefere! Parasol winien być rozpięty, a nie zamknięty; skoro go dostałem, muszę go używać jak należy.

Jechali galopem może ze dwie godziny, kiedy nagle znowu zobaczyli jakiegoś samotnego jeźdźca, zdążającego do rzeki. Zanim się spostrzegł otoczyli go ze wszystkich stron, widocznie się tego nie spodziewał, ale też nic sobie z tego nie robił. Był raczej niskim pięćdziesięcioletnim człowiekiem, o mocno opalonej twarzy. Juarez zbliżył się do niego i zaczął wypytywać:

— Znacie mnie, senior?

— Znam.

- Tego się nie spodziewałem. Kim jestem?
- Pan nazywa się Juarez i jesteście prezydentem.
- To prawda, a pan kim jest?
- Ja jestem traperem. Z tamtej strony rzeki, z Teksasu. Na lewym brzegu mam swój dom.
- Jak się pan nazywa?
- Grandepriise.
- Jest pan Francuzem?
- Jankesem, francuskiego pochodzenia.
- Dokąd pan zmierza?
- Do domu.
- A skąd pan przybywa?
- Coahuaila.
- Aha, tam mnie pan widział?
- Tak.

Juarez popatrzył na niego badawczo i spytał:

- Znane jest panu nazwisko Kortejo?
- Znane.
- Skąd?
- Słyszałem o nim w Coahuaila.
- Zna go pan osobiście?
- Nie.
- Kiedy pan wyjechał z miasta.
- Wczoraj rano.
- Spotkał pan może jakiś większy oddział jeźdźców?
- Nie.
- Nic podejrzanego pan nie widziałeś?
- Nie.
- Czy ktoś z naszych zna tego człowieka?
- Tak jest, ja go znam — odpowiedział Sępi Dziób. — Nocowałem raz u niego. Na pewno mnie pamięta.
- To mi wystarczy, naprzód! — rzekł Juarez.

Cały oddział dał koniom ostrogi i pomknął jak strzała wzdłuż rzeki. Traper Grandepriise popatrzył za nimi ponuro i zamruczał:

— Niech diabeł porwie tych wielkich panów! Gdy między nimi nie było Sępiego Dzioba, pewnie by mnie dalej egzaminowali, jak jakiegoś sztubaka. Co mnie oni obchodzą? Jakby człowiek nie miał dość własnych kłopotów.

Pociągnął konia za uzdę i poprowadził koło siebie, ale bliżej rzeki, gdyż musiał się przeprawić na drugą stronę, o wiele niżej owego zakola, do którego zmierzał Juarez.

Na początek oddziału wysunął się teraz Mariano, ciągle popędzając swego konia i bodąc go ostrogami, pomimo że ten i tak pędził jak szalony. Gnała go niecierpliwość, nie mógł doczekać się tej chwili, na którą cieszył się od tak dawna. Kiedy się zrównał z Sępim Dziobem i Sternauem, Karol widząc jego pośpiech odezwał się:

— Mariano! Zwolnij, bo twoja szkapa padnie.

— Naprzód! — zawołał zagadnięty niecierpliwie.

Mimo woli konie Karola i Sępiego Dzioba także zaczęły pędzić i po jakimś czasie dość znacznie oddalili się od reszty.

Słońce dosięgało już najwyższego punktu, kiedy Sternau patrząc bacznie przed siebie ujrzał coś na horyzoncie. Natychmiast zatrzymał swego konia, jego towarzysze uczynili to samo.

Wyciągnął lunetę i przyłożył do oka.

— Co nowego? — spytał Mariano zniecierpliwiony przeszkodą.

— Jacyś jeźdźcy! — odrzekł Sternau.

— Dużo ich jest?

— Sporo, pędzą wprost na nas.

— Od rzeki? — spytał szybko Sępi Dziób. — To może być tylko Kortejo ze swymi ludźmi. Proszę mi na chwilę dać ten przyrząd.

Sternau podał mu lunetę. Przyłożył do oka i począł bacznie wypatrywać. Jeźdźcy tymczasem przybliżyli się. Ponieważ szkła były znakomite, więc Sępi Dziób wykrzyknął:

— Pozwolę się powiesić, jak to nie Kortejo ze swoimi.

— Poznaje ich pan dobrze?

— Całkiem dobrze nie, bo jeszcze są daleko.

— To zaczekajmy nieco!

W tej chwili nadjechał Juarez z resztą.

— Co to? — spytał.

— Z przodu nadjeżdża spora grupa ludzi. Jeżeli się nie mylę, są to ludzie Korteja — odparł Sępi Dziób.

— Powracają, rozpoznał ich pan?

— Dotychczas to tylko moje przypuszczenie, kalkuluję jednak, że nie jest błędne.

— Co zrobimy, senior Sternau?

— Ukryjemy się, tam na lewo, w krzakach. Podzielimy się na trzy oddziały, jeden postawi się na samym przedzie, drugi w środku, a trzeci w tyle. Na znak dany przez Sępiego Dzioba pierwszy i trzeci oddział otoczy nieprzyjaciela. A teraz, naprzód!

Cała grupa skryła się w krzakach, rozdzielając się według rozkazu Sternaua na trzy oddziały. Sępi Dziób trzymał się w pobliżu doktora. Niespokojnie i niecierpliwie począł się kręcić, wreszcie nie mogąc wytrzymać zapytał:

— Senior, mogę sobie jeszcze raz pozwolić na żart?

— Jaki?

— Ja wymknąłem się tym ludziom wczoraj, chciałbym więc im zrobić satysfakcję i pozwolić dać się za to dzisiaj powtórnie złapać.

— To jest dla pana niebezpieczne.

— A! Nie sędzę. Proszę jeszcze raz o szkła.

Powtórnie spojrzął przez lunetę i odezwał się:

— To oni! Ten co jedzie na przedzie to ten sam, co nas chciał oszukać i udawał posłańca prezydenta. Senior pozwól mi na ten żart!

Nie pytając dalej o pozwolenie zsiadł z konia i pociągnął go za uzdę, wyprowadzając z gąszczy na wolną przestrzeń.

Rumak począł ogryzać liście krzaków. Sępi Dziób rozciągnął się na ziemi, włożył cylinder głęboko i rozłożył parasol.

Robiło to wrażenie, jakby już od dawna tu odpoczywał. Do tego obrócił się tyłem do nadjeżdżających. Wsadziwszy okulary na nos zdawał się zupełnie pogrążony w myślach, jakby nie przeczuwał zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Dotychczas nie spostrzegli go jeszcze. Jak się jednak zbliżyli, dowódca ich stanął nagle i rzekł ze zdziwieniem:

— Do wszystkich diabłów, patrzcie, tam siedzi jakiś człowiek.

Skierowali oczy we wskazanym kierunku. Rzeczywiście spostrzegli konia ogryzającego liście krzaka, następnie wielki parasol, a spod niego wystający się popielaty cylinder.

— Na wszystkich świętych, to ten Anglik! Teraz nasza wygrana!

Z tymi słowami popędził dowódca swego wierzchowca w kierunku odpoczywającego, za nim pozostali. Tuż obok Sępiego Dzioba zatrzymali wreszcie rumaki.

— Hola! Senior, czy to pan, czy może duch pański? — posypały się pytania z ust wielu.

Dopiero teraz obrócił się, wstał i składając parasol spokojnie zaczął obserwować przybyszy, wreszcie odpowiedział:

— Mój duch.

— A... nie ciało?

— Nie!

— A to dlaczego?

— Przecież mnie wczoraj zastrzeliliście i zasmagaliście na śmierć.

— Nie gadaj *sir* głupstw, wczoraj udało się panu szczęśliwie wyrwać się z naszych rąk, ale postaramy się, żeby dzisiaj się to nie przytrafiło.

— Ja nie mam wcale zamiaru wyrywać się.

— Jak to, dlaczego?

— Dlaczego? Muszę was przecież pojmać!

— Ha, ha, ha. Gdzie pan był podczas tej nocy?

— W lesie.

— A w jakim to sposób ma pan do innego konia?

— To nie inny.

— Nie inny. Przecież uciekł pan na gniadej klaczy, a dzisiaj przyjeżdżasz na cisawej.

— To duch wczorajszej gniadej.

— Proszę sobie nie stroić żartów. Wczoraj zabił pan i zranił dwunastu z naszych. Dzisiaj nastąpi zemsta. Wiesz pan, gdzie są pańskie statki i łodzie?

— Wiem.

— Gdzie?

— W waszych rękach. Przecież postanowiliście je zabrać.

— Niestety nie udało się nam to. Pańscy ludzie zasypali nas kartaczami. To też musisz pan odpokutować. A teraz proszę na konia.

— A to dlaczego?

— Pojedzie pan z nami.

— Dokąd?

— W górę rzeki, do pańskiego transportu. Zaraz jak go znajdziemy, rozkaże pan by oddali go w nasze ręce, inaczej życie pana wisi na włosku. W razie oporu rozstrzelamy pana. Zrozumiano?

Sępi Dziób zwęził usta i splunął porcję tytoniu wprost na kapelusz mówiącego, i spytał ze spokojem:

— Gdzie wasz dowódca?

— Ja nim jestem. Ale muszę was uprzedzić, żebyście nie zapominali i nie pluli przypadkowo na sombrero po raz drugi, bo to nie spluwaczka, inaczej nauczę was rozumu!

Rzekomy Anglik wzruszył ramionami.

— Ba — odrzekł lekceważąco. — Chciałem spytać o Korteja?

— Wasi ludzie go zamordowali.

— Do pioruna, w jaki sposób?

— Kartaczami. Podczas napadu znajdował się na rzece, zapewne został trafiony albo utopił się.

— Szkoda, chciałem go powiesić.

— Tę samą procedurę wymyśliłem dla was, ale trochę później, tymczasem wsiadajcie na konia i dalej za nami, ale prędko, inaczej wam pomogę.

— Pomożesz, w jaki sposób?

Meksykanin wyciągnął pistolet i kierując go wprost w głowę Sępiego Dzioba zawołał:

— W taki! Jak natychmiast nie dosiądziesz swojego konia, pošlę ci kulkę w skronie!

— Skosztuj ty wprzód mojej! — odparł napadnięty.

W mgnieniu oka wyrwał mu z ręki pistolet, skierował w jego pierś i wystrzelił. Meksykanin spadł z konia przeszyty kulą. Reszta chwyciła za strzelby, chcąc pomścić śmierć dowódcy, lecz za późno. Więcej niż sto wystrzałów huknęło zza krzaków, tyluż jeźdźców potoczyło się na ziemię i tyluż obrońców wyłoniło się z gęstwiny. W pół minuty leżeli wszyscy bez życia.

— Znakomicie — odezwał się Sępi Dziób — Teraz jesteśmy gotowi. Prędko uporaliśmy się z nimi.

— Może jeszcze któryś żyje? — spytał Juarez.

— Ani jeden — odpowiedział Sternau, który właśnie skończył oględziny.

— Szkoda. Bo się niczego nie dowiemy.

— To niepotrzebne — odezwał się Sępi dziób. — Ja już wszystko wiem.

— Gdzie więc znajdziemy statki?

— Tam, gdzie je zostawiłem.

— A gdzie wylądują przesyłkę?

— U Rio Sabinas, tak jak było umówione.

— W takim razie nie ma potrzeby, aby cały oddział jechał z nami.

— Naturalnie, że nie. Musieliby dwa razy przebywać tę samą drogę.

— A jak zajdzie potrzeba walki?

— O to proszę być spokojnym.

— Zgadzam się całkowicie z Sępi Dziobem—odezwał się Sternau. — Jestem bardzo zadowolony, że się nam tak powiodło, tylko to jedno mnie martwi, że nie złapaliśmy Korteja. Widocznie taki łotr nie ginie zaraz, dałbym wiele za to, gdybyśmy potrafili znaleźć jego ciało.

— Szukajmy! — odparł Juarez.

— Dobrze! Weźmy ze sobą pięćdziesięciu jeźdźców. Reszta może powrócić do obozu. Senior Juarez, Mariano i ja wyruszymy z tymi pięćdziesięcioma na poszukiwania.

Tak się stało. Zabrawszy zdobycz wszyscy pozostali wrócili do obozu, podczas gdy pięćdziesięciu oddzieliło się, by pod przywództwem Juareza pogonić do celu poszukiwania statków i Korteja.

Ujechali niedaleko, gdy Sępi Dziób wskazał przez drzewa, mówiąc:

— Wyłania się jakaś jaśniejsza przestrzeń. To musi być rzeka. Wyjechali na to samo miejsce, na którym wczoraj Sępi Dziób, jako rzekomy Lindsay pozwolił się złapać. Liczne ślady zdradzały, że Meksykanie musieli tu nocować. Na środku rzeki stały statki z łodziami, które tymczasem zdążyły powrócić.

Mariano pogalopował natychmiast na sam brzeg. Zobaczywszy na pokładzie pierwszego parowca jakiegoś mężczyznę i kobietę, nie mógł się powstrzymać. Zbódl wierzchowca ostrogami i skoczył razem z nim w wielką wodę.

Było mu teraz wszystko jedno, czy zmoknie, czy nie. Na widok ukochanej nie potrafił czekać cierpliwie, aż wyślą po niego łódkę.

Lindsay stał razem z Amy całymi godzinami na pokładzie. Jak tylko statki powróciły z nocnej wycieczki, miejsce na brzegu zastały puste. Meksykanie dopiero co opuścili obozowisko i wyruszyli w górę rzeki. Pomimo tego nie wierzyli temu nagłemu spokojowi i nie przybijali do brzegu, tylko czółna były gotowe.

— Czy oni naprawdę odeszli — spytała Amy zatrwożona.

— Tak — odrzekł jej ojciec.

— A czy Juarez przybędzie?

— Naturalnie, jeżeli tylko Sępi Dziób go spotka.

— Myślisz, że inni panowie będą razem z nim? — spytała Amy z rumieńcem na twarzy.

— Sternau i jego towarzysze?

— Tak, tatku.

— Według tego, co Sępi Dziób opowiadał będę. Muszę ci powiedzieć, droga córko, że cieszę się na to spotkanie, jak dziecko na niespodziankę, a ty kochana Amy?

— Ach, tak!

Objęła go ramionami chowając głowę na jego piersi. Przycisnął ją serdecznie do siebie, nagle odstepił na bok i zawołał:

— Patrz tam, kochanie!

Wskazał ręką na brzeg. Można było zobaczyć jeźdźców wyłaniających się z lasu. Przede wszystkim uderzył w oczy jeden w popielatym cylindrze i rozpostartym parasolu.

— To Sępi Dziób — zawołał lord.

— A ci inni, to kto? — spytała drżącym głosem. Lindsay przyłożył lunetę do oczu.

— Widzę Juareza! — zawołał.

— Który to?

— Ten na prawo od nas.

— A inni?

— Ta wysoka, szeroka postać... ach ta długa broda spadająca aż na grzbiet konia to, to może być tylko Sternau.

— A ten... ten... ten trzeci?

— Ten co pierwszy jedzie do brzegu?

— Tak. Boże! On wskakuje do wody!

Złożyła ręce jak do modlitwy, trupia biel pokryła jej twarz.

— Tatko! On się utopi, tu rzeka zbyt szeroka! — zawołała. Woda dochodziła jeźdźcowi aż do bioder, koń również zanurzył się aż po głowę. Amy załamała ręce z rozpacz.

— Tato, pomóż! Ja nie mogę się na to patrzeć!

— Wsiadać w łódkę i płynąć naprzeciw! — rozkazał lord.

Za chwilę pomknęło czółno naprzeciw śmiałego jeźdźcy. W krótkim czasie dotarło do niego.

Jeździec zsunął się z konia do czółna, koń uwolniony skierował się do brzegu. Jak tylko Mariano wskoczył do czółna zaczął tańczyć i krzyczeć z całych sił:

— Amy, Amy, to ja, to ja!

Zwiesiła się z pokładu i wyciągając ręce ku niemu zawołała:

— Mariano!

Tak to ten sam, ten sam słodki, melodyjny głosik, który zaraz w początkach znajomości brzmiał mu tak lubo w uszach.

— Przychodzę już do ciebie! — zawołał znowu z łódki.

W tej chwili łódź przybiła do statku. Z zadziwiającą szybkością znalazł się Mariano na pokładzie. Sam nie wiedział jak się nań dostał. Wstała, chciała spieszyć mu naprzeciw, ale



jakieś dziwne osłabienie owładnęło nią, w oczach poczęło jej migotać, poczuła tylko, jak jakieś dwa silne ramiona objęły ją, a obce usta przylgnęły do jej warg.

Lord stał tuż obok, nie chciał przerwać tej chwili szczęścia obojga, po długich cierpieniach, postanowił ich zostawić samych sobie. Wskoczył do łódki i kazał się wieść naprzeciw przybyłych, chciał widocznie, by młodzi bez przeszkód zakosztowali szczęścia pierwszych chwil spotkania.

Młodzi tymczasem trzymali się w objęciach, jakby na całą wieczność tak chcieli pozostać. Wargi ich szukały się i spotkały już ze sto razy. Pierwszy opamiętał się Mariano i przypominając sobie o obowiązku względem ojca narzeczonej, rozglądnął się pytając: — Gdzie tato?

Dopiero teraz Amy przyszła do siebie i wskazując na miejsce gdzie stał, odrzekła:

— Tam! Ale naprawdę, gdzie on jest, nie widzę go!

— Popatrz, tam na czólnie płynie do brzegu — odrzekł Mariano. Popatrzyła we wskazanym kierunku.

— Kochany! — zawołała. — Nie chciał nam przeszkadzać. Oczy jej natychmiast skierowały się na postać ukochanego. Dopiero teraz mogła przyjrzeć mu się bliżej. Co za zmiany!

Był to ten sam Mariano, którego poznała przed tylu laty? Tak, to był on, ten sam, tylko dziwnie zmężniały. Rysy twarzy stały się bardziej zdecydowane. Oczy jaśniały szczęściem, a na czole pojawiło się poczucie własnej godności.

Policzki jego, przybladły wprawdzie, lecz jakże pięknie odbijał się od nich gęsty zarost. Zmężniał, wyrósł, słowem wypiękniał. Tak wspaniałego mężczyzny nie spodziewała się, im dłużej się w niego wpatrywała, tym większy podziw i miłość wzbierały w jej sercu.

A ona? Wprawdzie pierwsze lata świeżości i młodości przemknęły bezpowrotnie, lecz z owego miłego pączka rozwinął się obecnie cudny kwiat, woniejący ciągle niewinnością i czystością, jak róża skąpana poranną rosą. Czar niewinności okraśniał jej policzki, ożywił oko. Mariano patrząc na nią nic mógł się nacieszyć tym cudnym widokiem. Jej pełne, foremne kształty, ów błyszczący wzrok, piękne czyste czoło, oczarowały go i przyciskając dziewczę do serca szeptał uszczęśliwiony:

— Amy, moje życie, moja słodyczy, rozkoszy jedyna!

— Mój drogi, kochany Mariano! — odpowiedziała przyciskając znowu swe na pół otwarte wargi do jego ust.

— O ta chwila powetuje mi wszystko, wszystko!

— Biedny, kochany! Ile ty musiałeś przecierpieć przez ten czas! Oczy jej zasły łzami.

— Moja droga, jedyna, z jaką niecierpliwością oczekiwałaś na mnie przez te wszystkie lata. Coś ty przeżyła przeze mnie! O Boże, dusza moja wyrwała się do ciebie nieustannie, lecz ciało niestety nie mogło.

— Nie zapomniałeś o mnie? Moje życie było jedną, długą modlitwą o ratunek dla ciebie.

— I Bóg cię wysłuchał. Dlaczego miałby pogardzać modlitwą anioła?

— Nie tylko ja jedna modliłam się o was, mój drogi Mariano.

— Odbiorą teraz i oni swoją nagrodę. Ale popatrz, tatko wraca! Lord, gdy wylądował spotkał najpierw Sępiego Dzioba.

— Przynoszę panu ubranie — zawołał tamten biegnąc w jego stronę. — Nie podarte, chociaż przy moich tarapatach, to rzeczywiście może się wydawać cudem.

— Proszę je sobie zatrzymać, na pamiątkę.

— Dziękuję, *sir*. Takiego ubrania nie potrafiłbym nosić. Nie wiedziałbym, czy w spodnie ręce, czy w rękawy nogi mam wsadzić. Moje stare gałgany są wygodniejsze. Ale tutaj stoi już senior, Sternau.

Rzeczywiście, wysoka, rozrosła postać minęła go i stanęła obok. Na jego poważnym obliczu jaśniała radość. Z radości padli sobie w objęcia.

— Niech Bóg błogosławi pańskie przybycie!

— Dziękuję, *mylordzie!* Po każdej mrocznej nocy następuje poranek. Tęskniłem za tym jak spragniony za kroplą wody. Bóg okazał się miłosierny. Ale nie zapomnijmy w naszej radości o prezydencie Juarezie, który stoi na uboczu, jak zapomniany.

— O, ja co najwyżej muszę prosić o przebaczenie, że byłem świadkiem tego radosnego spotkania—odrzekł prezydent z łagodnym uśmiechem. — Nie chcę przeszkadzać, już odchodzę.

— O nie! — odparł Sternau — Proszę powiedzieć, czy wiedział pan, że to Pablo Kortejo próbował zaatakować statki?

— Sępi Dziób powiedział mi o tym.

— Walczył pan z nim?

— Nie wiem, czy osobiście brał udział w napadzie.

— Mogłeś go pan widzieć?

— Nie, było zbyt ciemno.

— Sępi Dziób powiada, że mu wybił oczy.

— To możliwe. Słyszałem jak krzyczał z bólu, widziałem także jak mu obmywali twarz.

— W takim razie nie mógł brać udziału w walce. Bardzo mi zależy, by dowiedzieć się, gdzie się on znajduje. Niedawno natrafiliśmy na jego podwładnych. Cały oddział zniszczyliśmy.

— Tak? To doskonale. Zasłużyli sobie na to. Gdzie to się stało?

— Na prerii, z tamtej strony lasu. Przywódca ich opowiadał, że Kortejo zginął w czasie napadu. Miał zostać trafiony z kartacza albo utopić się. Czy to prawdopodobne?

— Najprawdopodobniejsze jest to, że go własni ludzie sprzątnęli.

— Co pan mówi? Jest jakiś powód tego?

— Tak. Mój sternik podpłynął aż na brzeg, chcąc podsłuchać tych drabów. Usłyszał właśnie ich naradę, co do usunięcia Korteja. Chcieli w ten sposób zdobyć pieniądze tylko dla siebie.

— Nie był pan jeszcze dzisiaj na brzegu?

— Nie.

— Nie przeszukano go?

— Nie.

— Niech nasi jeźdźcy, zajmą się tym starannie. My zaczekamy na rezultat, na statku.

— Moje małe łódki oddaję do dyspozycji, senior Sternau. Za ich pomocą mogą się przeprawić ci ludzie i na drugi brzeg, aby w razie potrzeby także go przeszukać. A teraz proszę za mną do czółna i jazda do mego parowca.

Amy i Mariano oczekiwali ich na pokładzie.

— Mój synu, mój kochany synu! — zawołał lord przyciskając Mariano do serca. — Nacierpiałeś się dosyć, ale mam nadzieję, że teraz koniec twych nieszczęść. Szczegóły omówimy później.

Amy wyciągnęła obie ręce do Sternaua.

— Powitać, serdecznie powitać pana doktora! — zawołała z jaśniejącym obliczem. — Co to za szczęśliwa chwila.

— Witam! — odparł. — Widok pani wraca mi słońce.

— Widziałam pana ojczyznę i wszystkich pańskich bliskich.

— Wszystkich?

— Tak.

— Moją matkę i siostrę?

— Księżnę? O tak — odrzekła z łagodnym uśmiechem.

— Księżną? — spytał. — Kogo ma pani na myśli?

— Kogóż by innego jak nie pańską matkę?

— Co to za żarty?

Popatrzyła mu szczerze i śmiało w oczy odpowiadając:

— Ja nie żartuję, senior. Pańska matka jest księżną.

— To dla mnie czysta zagadka.

— Wyszła za męża.

— To niemożliwe.

— Mogę panu nawet zdradzić jego nazwisko, to książe Olsunna! Na chwilę pociemniało mu w oczach, wsparł się o balustradę pokładu, niby szukając podpory.

— Książe Olsunna? — spytał jak we śnie. — Jak to się stało?

— Wszystko co jest mi wiadome, z chęcią panu opowiem.

— Czyli, że moja matka jest w Hiszpanii?

— O nie, w Prusach.

— Gdzie?

— W Kreuznach. Tam książe zbudował sobie pałacyk i nazwał go Rodriganda, i tam wszyscy mieszkają. Ale o inne osoby pan wcale nie pyta?

— Tak! Ach! Ta wiadomość bardzo mnie zaskoczyła, więcej niż pani przypuszcza. Co z moją Różą, z moją jedyną, kochaną Różą?

— Żyje.

— Biedna! Musiała tyle przecierpieć.

— Bardzo wiele, ale Bóg dał jej siły. Potrafiła to znieść. Chce zobaczyć pan jej obraz?

— Ma go pani ze sobą? O prędko, prędko, proszę mi pokazać!

— Proszę pójść za mną.

Poprowadziła go do kajuty i wskazała na prawą stronę.

— Tutaj wisi jej obraz wiernie skopiovany z najnowszego zdjęcia. Wzięłam go ze sobą, aby się i podczas podróży z nim nie rozstawać. Wszakże to moja najbliższa przyjaciółka. Muszę dodać, że obraz jest bardzo dobrze zrobiony.

Nie słyszał nawet co mówiła. Stał przed wizerunkiem swojej najdroższej, ze założonymi rękami, jak przed Madonną. Chciał pochłonąć każdy, najdrobniejszy szczegół tych drogich rysów, tylko łzy, które mu rzęsiście spływały po twarzy przesłaniały ukochane oblicze.

— Róża, Rozita najukochańsza! — wołał płacząc jak dziecko. — Zjawiłaś się, niby anioł opiekuńczy w owych strasznych chwilach, kiedy daleko od ludzi, na bezludnej wyspie, na kolanach łamałem ręce wzniesione do modlitwy, chcąc się kłócić z Tym, który mi cię wydarł, chcąc przeklinać los, moją nieszczęsną gwiazdę. Ty byłaś pociechą i nadzieją w owych czarnych chwilach. Obraz twój nie znikał mi sprzed oczu ani we śnie, ani na jawie. Żadna

myśl, żaden oddech nie był bez ciebie. Jesteś moim światłem, moim niebem, nie mam nic droższego, prócz Boga!

Amy stała tuż za nim wzruszona niezmiernie. Widziała tego silnego mężczyznę płaczącego jak dziecko, jego rozrosłą pierś wstrząsaną głębokim uczuciem. Nie odważyła się przeszkadzać tej uroczystej chwili. W milczeniu współczuła temu szlachetnemu, tak gorąco kochającemu małżonkowi.

Wreszcie zwrócił się do niej i podał jej obie ręce.

— Dziękuję pani, *miss* Amy! — odezwał się. — Szczęścia tej chwili nie odstąpiłbym za żadne skarby świata. Uradowałaś mnie pani niezmiernie.

Na twarzy jej ukazał się figlarny uśmiech.

— Może by się jeszcze znalazło coś takiego, — odrzekła — co by pana serce przepełniło większym szczęściem.

— To niemożliwe!

— Mam spróbować?

— Na próżno, panno Amy! — zaśmiał się z wilgotnymi oczami. Chwyliła go za rękę i pociągnęła do przeciwległej ściany, na której także wisiał jakiś obraz.

Spojrzał badawczo i nagle zadrżał jak rażony prądem. Co to za rysy? Musiał już gdzieś widzieć tę twarzyczkę, ale gdzie? Czy może tylko w snach wymarzył sobie ten ideał? Zdało mu się, że wszystkie jego marzenia, sny, ideały urzeczywistniły się, ucieleśniły w tych anielskich rysach, wszystkie myśli skupiły się w tej dziecięcej główce. Dziwna jakaś, tajemna, nieprzeparta siła ciągnęła go do tego wizerunku. Chciałby go zedrzeć ze ściany, przycisnąć do piersi, do ust po tysiąc razy lub klękać i modlić się przed tym aniołem, owym wymarzonego ideałem, jak Pers przed słońcem, kiedy w swoich dziewiczych blaskach wyłania się rano na horyzoncie.

— Kto to taki? — spytał przerywanym oddechem.

— Leśna Różyczka — odrzekła Amy.

— Leśna Różyczka? Nowa zagadka?

— Ale dla pana słodka, panie doktorze. Nie domyśla się pan, nie przeczuwa pan co to za istota? Serce panu niczego nie powiedziało?

Twarcz powlekła mu się błądzą, za chwilę znowu oblała się rumieńcem. Wyciągnął rękę w stronę Amy, pytając:

— Czy pani chce przez to powiedzieć, czy może... że... Przerwał. Wzruszenie odebrało mu mowę.

— No, że... ? — spytała.

— Leśna Różyczka! Nazywa się więc Różyczka, Róża?

— Tak jest.

— To imię mojej żony...

— Naturalnie.

— Pisała mi, ale to już przed wielu laty, że oczekuje radosnego zdarzenia, że serce...

— Pisała o tym? Otóż ta radosna nowina ziściła się, senior.

— Ta urocza główka, to...

— To Leśna Różyczka, pana jedynaczka, śliczna córeczka naszego kochanego doktora.

— Moja córka!

Staął jakby nie pojmując doniosłości tych słów. Wreszcie porwał obraz ze ściany i trzymając go drżącymi od wzruszenia rękami podniósł w górę wpatrując się weń niespotykanym wzrokiem. Począł się chylić, nie pomyślał nawet co czyni i mówi.

— O Panie! Cierpiałem wiem, ale takiej łaski nie spodziewałem się, ani na nianie zasłużyłem!

Amy nie mogła powstrzymać łez. Po cichu wysunęła się z kajuty, nie chcąc przerywać tej uroczystej chwili.

Na pokładzie panowie byli zajęci jakąś interesującą rozmową, więc im także nie chciała przeszkadzać. Usiadła na uboczu, przypatrując się ulubionej grze fal. Po chwili usłyszała za sobą kroki. Jakaś obca ręka dotknęła jej ramienia.

— *Miss Amy* — wyszeptał Sternau. — Czy coś może mówiła, wspominała o swoim ojcu?

— Nawet bardzo często, naturalnie z największym szacunkiem i miłością.

— Jest taka śliczna, czysta i dobra, jak przedstawiona na obrazie?

— Taka jest, senior.

— Wynagrodził mi Bóg moje cierpienia. A co z innymi słychać? Żyje jeszcze stary kapitan Rodenstein?

— Żyje. Nic się nie zmienił.

— A Kurt, jego wierny towarzysz?

— Także.

— Alimpo ze swoją Elwirką?

— Żyją także. Ale o jednym pan doktor zapomniał?

— Kogo?

— Swego ucznia, Roberta Helmera.

— Ma pani słuszność, nie myślałem o nim. Ojciec jego jest razem z nami. Tego chłopca rzeczywiście bardzo lubiłem. Był nadzwyczaj uzdolniony. Co się z nim stało? Obawiam się,

że te wielkie talenty po moim odejście nie potrafiły się wykształcić w tym kierunku, w jakim bym chciał.

— A co pan zamierzał, jaki kierunek obrałeś dla niego?

— Szczególnie uzdolniony był do wojskowości.

— Tak? W takim razie uspokoję pana. Rzeczywiście w tym kierunku się wykształcił. Widziałam go w Berlinie. Został oficerem. Mimo młodego wieku odznaczył się już tak, że posiada zaufanie najwyżej postawionych osobistości. Później opowiem panu o nim dokładniej.

W tej chwili zbliżył się do nich Juarez razem z lordem.

— Lord uczynił mi pewną propozycję, — odezwał się prezydent — abym nie na koniu, tylko razem z nim, na statku przebył tę drogę do Rio Sabinas, na umówione miejsce. Co pan na to?

— Że to wygodniejsze — odpowiedział Sternau.

— A co zrobimy z końmi?

— Apacze wezmą je ze sobą. Jak tylko ukończą poszukiwania Korteja, mogą zaraz powracać.

— Tak, ale czy tylko trafią z powrotem do obozu? Sternau nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Proszę się nie obawiać — odrzekł. — W najgłębszej puszczy, której jeszcze nigdy ich noga nie stanęła zorientują się lepiej, niż niejeden myśliwy. Pod tym względem mają szczególny zmysł.

— Spodziewam się, że odnajdą albo trupa Korteja, albo jego ślad. To bardzo ważne dla nas.

Indianie podzielili się na trzy oddziały. Jeden z nich przeprowił się na koniach, płynąc przez całą szerokość rzeki i rozpoczął na drugim brzegu poszukiwania wzdłuż wody. Drugi pojechał w dół tego samego brzegu, trzeci zaś na czółnach lorda, popłynął rzeką badając oba brzegi od strony wody. Rezultatu tych dokładnych badań nie można było przewidzieć. W każdym razie reszta musiała czekać na wynik.

Tymczasem lord razem z Juarezem udali się do kajuty. Sternau, Mariano i Amy pozostali na pokładzie nie chcąc im przeszkadzać w ważnych rokowaniach. Lindsay przywiózł wprawdzie broń, amunicję i pieniądze dla Juareza, jednak musiał jeszcze wiele spraw omówić z prezydentem, od tej ugody zależało dalsze postępowanie Anglii.

Amy tymczasem opowiadała obu zasłuchanym mężczyznom o drogich im osobach. Czas mijał bardzo szybko. Pytania i odpowiedzi cisnęły się jedne za drugimi.

W tej chwili dał się słyszeć jakiś krzyk z brzegu.

— Jeden Indianin woła — odezwał się Mariano.

— Czego on może chcieć? — spytała Amy. Sternau podszedł do bandy i krzyknął:

— Co tam nowego?

— Mój biały brat, niech tu przyjdzie — zabrzmiał głos Apacza.

— Dlaczego? Jest coś nowego?

— Ślad!

— Czyj?

— Nie wiem. Niech sam popatrzy. Wysłali mnie inni.

Ponieważ wszystkie czółna oddał lord do rozporządzania Indianom, musiał Sternau odczepić mały gig o jednym wiośle, służący wyłącznie dla lorda. W nim przeprowił się na brzeg.

— Chodź za mną! — rzekł Apacz, zwracając się zaraz w dół rzeki. Sternau dosiadł konia i pogalopował za Indianinem. Jechali dość długo. Dopiero po godzinie skierował Indianin swego konia ku brzegowi. Tam byli zgromadzeni wszyscy jeźdźcy, którzy szukali śladów po prawej stronie. Łodzie płynących środkiem były także przy brzegu. Otoczyli jakieś miejsce opatrując z dala ślady, jakby bojąc się ich potratować.

Na ziemi siedział jeden z nich, z powiewającym kruczym piórem. Kierował całym poszukiwaniem, jak tylko zobaczył Sternaua podniósł się z ziemi i zawołał:

— Książę Skał niech do mnie przystąpi.

Sternau zsiadł z konia, oddał cugle jednemu z Indian i przystąpił do niego. Apacz wskazał ręką na ziemię, mówiąc:

— Niech mój biały brat popatrzy. Sternau spoglądał uważnie na ziemię.

— Ślad jeźdźca — odrzekł.

— Rozpozna mój brat ile było koni?

— Tak. Na jednym jechał, a drugiego prowadził za uzdę.

— Niech mój brat pójdzie dalej.

Ręką wskazał na brzeg. Sternau poszedł w tym kierunku, nie tracąc z oczu pierwotnego śladu.

— Wjechał do rzeki, — odrzekł — przedtem jednak zsiadł z konia, by narznąć sitowia. Aha, widocznie miał zamiar przeprowić się przez rzekę, a chcąc ulżyć koniom porobił wiązki z sitowia, by je przyczepić do boków.

— Mój brat odgadł. Co to był za mąż?



— Może ten traper, którego dzisiaj spotkaliśmy. Jechał w tym samym kierunku. Zresztą można to poznać ze śladów.

— Wojownicy Apaczów uczynili to już.

— I znaleźliście?

— Tak. Księżę Skał może tu przyjść i popatrzeć na ślady.

Wskazał na miejsce, na którym były liczne odciski końskich kopyt, tu wyznać się, było rzeczywiście sztuką. Sternau rzuciwszy tylko okiem odezwał się:

— Tutaj pasły się konie podczas, gdy on odcinał sitowie. Konie były niespokojne, zapewne kopały i gryzły. Trzeba poszukać za włosem, może by się znalazł jakiś.

— Czerwoni bracia przeszukali i znaleźli. Niech mój brat popatrzy na ten włos z ogona.

Podał Sternauowi długi włos koński.

— Czarny koń — odezwał się Sternau.

— A ta garść?

W drugiej ręce trzymał spory kłębek pogmatwanych i krótkich włosów końskich. Sternau popatrzył uważnie mówiąc:

— Gniady! Te włosy muszą być z głowy, a więc jeden koń był czarny, a drugi gniady. Takie same konie miał ze sobą ten traper, którego spotkaliśmy. To musi być on, nikt inny.

— *Uff!* Czerwoni bracia przekonali się dokładnie.

Przy tych słowach wskazał na las, z którego pędziło właśnie dwóch Indian na spienionych koniach.

— Gdzie oni byli? — spytał Sternau.

— Niech mój brat ich sam zapyta.

Jak tylko nadjechali Sternau spytał:

— Moi braci szukają za tymi śladami w tyle?

— Księżę Skał odgadł — odpowiedział jeden z nich.

— Dokąd prowadzą?

— Do tego miejsca, gdzie napotkaliśmy obcego trapera.

— A więc to on był?

— Tak jest.

Sternau domyślił się, że mu jeszcze wszystkiego nie powiedzieli, zwrócił się więc do przywódcy z pytaniem:

— Ale dlaczego moi bracia tak się nim zajmują? Odkryli może coś jeszcze?

— Tak. Księżę Skał myśli zapewne, że on się przeprawił przez rzekę?

— Tak można się domyślać.

— Wojownicy Apaczów też tak myśleli, ale jak się udali dalej w dół, znaleźli znowu jego ślady.

— A więc tutaj wszedł w rzekę, a dalej z niej wyjechał? — spytał Sternau.

— Tak jest.

— To trudne do pojęcia. Dla pojenia koni nie potrzebował wjeżdżać tak daleko w wodę. Zresztą jeżeli miał zamiar opuścić ją trochę dalej, na tym samym brzegu i nie chciał się przeprawić przez nią, to po co naciął tyle sitowia? Pozostaje tylko jedna możliwość, że chciał się pierwotnie przeprawić, tylko coś nadzwyczajnego przeszkodziło mu w tym.

— Księżę Skał posiada bardzo bystre myśli.

— Aha, więc moi bracia sprawdzili już sens mych słów.

— Tak, niech mój brat pójdzie za mną.

Indianin podążył w głąb sitowia, Sternau postępował tuż za nim. Trudno było przedzierać się przez ten gąszcz, ale wkrótce zostało to nagrodzone. Może sto kroków dalej, Sternau zauważył tratwę związaną z drzew i sitowia. Jeden człowiek mógł się na niej całkiem dobrze utrzymać na wodzie, gdy umiał zachować równowagę.

— Czy mój brat widzi tę tratwę? — spytał Indianin.

— Tak. Znalazł może mój brat jakiś znak, po którym można by poznać, kto ją używał?

— Nawet dokładny, oto on.

Sięgnął za pas i wyciągnął kraciatą chustkę złożoną w pas i związaną na końcach w supeł.

Wyglądała tak, jakby ktoś miał nią obwiązaną głowę, dla ulżenia bólu zębów albo szumu w uszach.

Sternau przyglądając się jej dokładnie zawołał:

— Na środku chusty widać krew. Ktoś miał nią przewiązane, zranione oczy. Gdzie ją znaleźliście?

— Tutaj, na tej tratwie.

— Co za nieostrożność ze strony Korteja, bo nikt inny nie mógł to być.

Gdy ponownie wpatrzył się w ziemię ujrzał kilka nowych śladów, więc zapytał:

— Czy synowie Apaczów, szukali dalej?

Indianin skinął głową.

— I co znaleźli?

— Niech mój brat pójdzie za mną.

Dobrze widoczne ślady prowadziły przez sitowe. Postępował za nimi, dopóki nie doszli do miejsca, w którym znowu zaczynały się odciski końskich kopyt.

— Aha, tutaj traper ponownie wyjechał z wody — odezwał się Sternau.

Poszli za nowymi śladami. Wkrótce napotkali zupełnie stratowane i zgniecione miejsce.

— Czy znaleźli moi bracia tutaj coś nowego? — spytał Sternau.

— Tutaj leżał Kortejo — odpowiedział Apacz — i tu przybył do niego ów traper.

— A gdzie dalej prowadzą ślady?

— Do lasu.

— Szliście za nimi?

— Nie.

— Dlaczego?

— Chcieliśmy najpierw sprowadzić Księcia Skał.

— Dobrze, czy mój brat myśli, że ten traper wziął Korteja ze sobą?

— Tak jest, posadził go na drugiego konia.

— Niech mój brat weźmie ze sobą paru wojowników i pojedzie tymi śladami i niech się przekona, dokąd one prowadzą, w którą stronę: Caudela, Naria czy Saltillo?

— Na to potrzeba parę dni czasu.

— Tak, jeżeli by się chciało dotrzeć aż do Saltillo. Najzupełniej jednak wystarczy, jeżeli zbadacie dalsze ślady, jutro aż do południa, kiedy słońce będzie w najwyższym punkcie. Wtedy będzie już można poznać, gdzie podążyli. Tę wiadomość, niech mi zaraz potem przyniosą, synowie Apaczów.

— Dokąd?

— Do Coahuila.

— *Uff.*

Indianin wyrzekł tylko to jedno słowo, po czym powrócił do swoich i dał znak. W mgnieniu oka pięciu z nich wsiadło na konie i podążyło w pogoń, za dalszymi śladami trapera. Żaden z nich nie spytał dlaczego jedzie i dokąd dąży. Spełniali wszystko w milczeniu, w ślepym posłuszeństwie.

Sternau wydał rozkaz, aby reszta zaniechała dalszych poszukiwań i powróciła czółnami do statków, sam wsiadł na konia i podążył z powrotem. Na pokładzie wszyscy oczekiwali go z wielką niecierpliwością.

— No co, znaleźliście go? — zawołał Juarez już z daleka.

— Tak jest — odpowiedział Sternau.

— Samego?

— Niestety nie, tylko jego ślady.

— Koszmar, więc on żyje?

— Najprawdopodobniej. Tą chustą miał obwiązane oko — wdrapał się na pokład i pokazał zakrwawioną chustę.

— Co się z nim stało? — spytał lord.

— Poszukiwania wykryły, że oczy miał rzeczywiście zranione, a po drugie, że płynął na tratwie z biegiem rzeki.

— Zapewne w ten sposób jego podwładni chcieli się go pozbyć, a więc to prawda, co mój sternik opowiadał.

— Musiał swoje przecierpieć, to nie żarty, gdy pozbawiony wzroku człowiek zostaje zepchnięty na wodę, na niezbyt stabilnej tratwie.

— Pan myśli, że on rzeczywiście oślepl?

— Tak sędzę, przynajmniej na razie, gdyby choć trochę mógł widzieć, nie zostawiłby tej skrwawionej chustki na tratwie. Zapewne musiała mu spaść z głowy i pomimo szukania nie mógł jej znaleźć.

— Co się potem z nim stało?

— Jego tratwa, na której leżał, przybiła przypadkowo do brzegu. Poczawszy ziemię pod nogami, wylazł na brzeg i zsunął się z sitowia. Tam go znalazł...

— Kto taki?

— Ten traper, którego dzisiaj rano spotkaliśmy, senior Juarez.

— Ach ten? Czyli, że Apacze przybyli za późno?

— Niestety! Zabrał go ze sobą i odjechali na południe.

— To nawet dobrze, pozostał na naszym terenie, gdyby się przeprawił na drugą stronę, do Teksasu, stracilibyśmy go bezpowrotnie. Może się pan domyśla, dokąd mógł podążyć?

— Tak — odparł Sternau.

— Dokąd więc?

— Do hacjendy del Erina.

— Dlaczego właśnie tam?

— Bo tam jest jego córka. Oślepl, a więc potrzebuje pomocy, musi się dostać do ludzi, którym mógłby zaufać, czyli w pierwszej linii do swojej córki.

— Myśli pan, że ten myśliwy zaprowadzi go aż do hacjendy?

— Tak jest.

— Ale dlaczego, co go do tego skłoni?

— Kortejo obiecał mu zapewne wysoką nagrodę.

— To prawdopodobne, ale jest też możliwe, że obaj znają się od dawna.

Sternau nagle poruszył się i powiedział:

— Dziwna myśl przyszła mi do głowy. Czy przypomina pan sobie, senior, jaką odpowiedź dał nam ów myśliwy, kiedy go spytaliśmy o nazwisko?

— Przypominam sobie, powiedział, że nazywa się Grandeprise.

— Pewien Grandeprise jest sprzymierzeńcem Korteja.

— Ma pan może na myśli czarnego kapitana? — spytał lord.

— Oczywiście, jego pierwotne nazwisko brzmiało Grandeprise, dopiero później zmienił je na Henryk Landola, a okręt swój przechrzcił na „Lion”.

— Myśli pan, że jest on spokrewniony z tym traperem?

— Możliwe. Nazwisko to nie jest zbyt popularne, ja jeszcze o nim nie słyszałem.

— W takim razie należałby podążyć za nimi i obu pojmać. Co pan zarządził w tej sprawie?

— Wysłałem kilku Indian za nimi, mają się przekonać, czy podążyli w kierunku Saltillo i poinformować mnie o tym w Cohahuila.

— A czy nie byłoby lepiej zamiast tych kilku Indian, wysłać za nimi cały oddział?

— Dlaczego to lepsze?

— Byłby nam prędzej wpadł w ręce.

— Myli się pan. W nocy musieliby zaprzestać pogoni, a Kortejo nie jest taki głupi, aby się na noc rozkładać wygodnie, popędzi zapewne i nocą, aby dotrzeć się jak najdalej.

— Czy ten Grandeprise miał dobre konie?

— Dosyć, zresztą to mu nawet nie jest potrzebne. Popędzi przez cały dzień, w nocy zabierze z pierwszego lepszego stada świeże, więc i tak nie damy rady go dogonić.

— Mamy go więc puścić wolno?

— O nie. Możliwe jest złapanie go tylko w hacjendzie del Erina. Jednak do tego potrzebna nam jest pomoc senior Juareza.

— Moja pomoc? — spytał prezydent.

— Z listu córki Korteja, Józefy można wywnioskować, że w hacjendzie znajduje się główny obóz jego zwolenników. Muszą tam być zgromadzone znaczne siły, a więc konieczny będzie żołnierz.

— Tego nie wiem, bo nie mam pojęcia, jak silna jest załoga hacjendy.

— Zobaczymy ilu się da wysłać. Jeśli chodzi o mnie, to uczynię wszystko co tylko w mojej mocy. Hacjenda jest ważnym punktem strategicznym, leży w pobliżu traktu łączącego południe z północą. Aby ją zdobyć i dostać Korteja w swoje ręce, nie będę szczędził zabiegów i trudów. Dlatego też chciałbym, abyśmy jak najprędzej wyruszyli, by wkrótce dostać się do Cohahuila.

— Niestety musimy czekać na łodzie.

— Kiedy powrócą?

— Najwcześniej za godzinę.

— Odbijemy wprawdzie później, ale za to popłyniemy pełną parą — odezwał się Lindsay.

Sternau dobrze obliczył, dopiero za godzinę zjawiły się łodzie z Apaczami. Kotły już przedtem zostały podgrzane, więc wydawszy Apaczom rozkaz powrotu do obozu tą samą drogą, którą przybyli, pełną parą popłynęli w górę rzeki.

Podczas podróży Lindsay prowadził z Juarezem dalsze rokowania, doszli do porozumienia. Wszystkie ważniejsze punkty zostały spisane, potem osobiście je podpisali.

Napoleon nie przeczuwał, że pośród gęstwiny Rio Grande del Norte został zawarty traktat, na mocy którego będzie zmuszony wycofać swe siły z Meksyku i uznać Juareza za prawowitego władcę republiki.

Tymczasem Mariano i Amy rozkoszowali się pełnią szczęścia, jaką dało im spotkanie i przyrzekli sobie nigdy więcej się nie rozłączać.

Sterna potakiwał im.

— Jeszcze nie dotarliśmy do przystani spokoju — odezwał się. — Nie wiemy co nas czeka. Dlatego najkorzystniej dla nas i najpraktyczniej, jeżeli solidnie się połączymy, aby się znowu nie pogubić.

— Juarez nas obroni — odrzekła Amy.

— On sam ciągle potrzebuje pomocy — odpowiedział Sternau.

— A ja myślę, że jego siły rosną z dnia na dzień!

— To prawda. Mimo tego jeszcze ciągle są zbyt małe. Nawet wtedy, gdy omawialiśmy ucieczkę Korteja nie śmiałem go prosić o coś bardzo ważnego.

— O co?

— Chciałem, abyśmy podążyli do hacjendy szybciej i dotarli tam przed Kortejem.

— To rzeczywiście bardzo ważne — dodał Mariano.

— Ponieważ nie znamy sił tamtejszej załogi, więc potrzebowalibyśmy około tysiąca żołnierzy, a tylu nie może nam Juarez odstąpić.

— To weźmy mniej! — zawołał Mariano.

— Dzielny jesteś, mój przyjacielu — odrzekł Sternau. — Ale czy to wystarczy?

— Dlaczego nie. Odwaga także coś znaczy, z mniejszą siłą można pobić liczniejszego nieprzyjaciela.

— Masz rację. Można podstępem zdobyć hacjendę, ale cała droga od Cohahuila do del Erina znajduje się w rękach Francuzów. Trzeba ich najpierw pokonać.

— A tymczasem Kortejo ucieknie.

— Myślę, że nie.

— Przybędzie do hacjendy wcześniej niż my.

— Nie zapominaj, że on nie może jechać prostą drogą, musi unikać Francuzów, tak samo jak i nas.

— To prawda. Jeżeli Juarez nie przeciągnie tej sprawy i podąży szybko do hacjendy, może stanąć w niej przed Kortejem.

— Tego się właśnie spodziewam. Należy jednak i to wziąć pod uwagę, że ma chore oczy, a więc całkowicie skazany jest na obcych. Zapewne do ran przyłączy się gorączka, która nie pozwoli mu na pośpiech, będzie musiał częściej odpoczywać. Nie chciałbym być teraz w jego skórze.

Sternau się nie mylił.

## Atak na statki

Jak słyszeliśmy Meksykanie pod wieczór postanowili pozbyć się Korteja. Przy pomocy tratwy chcieli go puścić z biegiem rzeki. Nie przeczuwając tego, sam przyczynił się do zrealizowania ich pomysłu, bo zgodnie przystał na ich projekt.

Przy pomocy maczet pocięli sitowie sporządzając dla siebie wiązki mające ich podtrzymywać na wodzie, a dla Korteja zbudowali małą tratwę.

Kiedy mu zameldowano, że tratwa jest gotowa spytał:

— Jakich jest rozmiarów?

— Osiem stóp długa, a sześć szeroka.

— To za mało — odrzekł.

— O senior, dla jednej osoby w zupełności wystarczy — odrzekł ten, którego wybrano na dowódcę.

— Nawet dla jednego jest za mała.

— Proszę mi zaufać, dla jednego całkowicie wystarczy.

— No dobrze, a gdzie podzieją się ci, co mnie mają przeprowadzić?

— Popłyną obok, kierując tratwą do oznaczonego celu. Jeżeli byłaby większa, łatwo można by ją dojrzeć z okrętu, a to połączone byłoby z dodatkowym ryzykiem, na co nie możemy pozwolić.

Te z troską wypowiedziane słowa, były pomyślane po szatańsku. Kortejo jednak tego nie wyczuł.

— Dobrze — zawołał — Niech i tak będzie. Musicie tylko przygotować wiązki sitowia. Powtarzam raz jeszcze, aby po zajęciu statku nikt z was nie odważył się ruszać ładunku.

— Dlaczego? — spytał nowy przywódca.

— Cały fracht należy do mnie.

— Senior, a co zostanie dla nas? Czy my nie mamy prawa do części ładunku?

— Nie. Wicie przecież do jakiego celu zostanie on użyty.

— To bardzo pięknie. Ale to przecież zdobycz, a nie pańska własność. Pan ją zabiera, a my w tym pomagamy, czy to nie to samo, jakby okręt wojenny zrabował jakiś nieprzyjacielski statek?

— Co to za porównanie?

— Bo żołnierze dostają za to wynagrodzenie w pieniądzu.

— Wy także dostaniecie.



— Jakie? Ile?

— To zależy od wartości ładunku. W każdym razie dziesiątą część jego wartości każę rozdzielić między was.

— Czy to trochę nie za mało?

— Milcz! Tam na statkach są miliony. Dziesiąta część dla każdego to sto tysięcy. Porachuj szybko ile przypadnie na głowę.

— Tak, to co innego. Jeżeli tak sprawa stoi to zgadzamy się.

— No, myślę!

Gdyby mógł zobaczyć miny i drwiące uśmiechy swoich podwładnych, niezawodnie zmieniłby swoje zdanie i zrozumiałby co się święci.

— Zgaście ogniska! — zawołał po chwili — Czas zaczynać!

Uczynili co rozkazał. Byli święcie przekonani, że ich plan się powiedzie. Nawet przez chwilę nie pomyśleli, że może być inaczej. Trawiła ich wszystkich gorączka, by jak najszybciej dostać owe miliony w swoje ręce.

Na bok odłożyli strzelby, ale tak, by je łatwo mogli znaleźć po powrocie, wzięli wiązki sitowia i weszli do wody. Dwóch, którzy umieli pływać, kierowało tratwą Korteja. Jak go tylko na nią posadzili, cicho wydał rozkaz:

— Naprzód!

Zaczęli płynąć. Nie przeczuwali, że sternik z okrętu wszystko podsłuchał. Tuż przed nimi zanurzył się w wodę płynąc pospiesznie do statków.

Przy pomocy wiązek wygodnie płynęli naprzód. Przebyli może połowę drogi, kiedy pierwsze rakiety wystrzelono z parowca. Zapanowało ogólne przerażenie. Zrozumieli, że załoga statku czuwała.

Przy blasku wznoszących się w górę słupów ognia widać ich było jak na dłoni.

— Ognia! — usłyszeli rozkaz lorda.

Huknęły działa. Pod wpływem kul i kartaczy wpadających do wody cała rzeka się wzburzyła, powstały ogromne fale. Wrzaski i przekleństwa zabrzmiały wkoło, wielu płynących zniknęło pod powierzchnią.

Jednak z kul trafiła kierującego tratwą Korteja.

— *Santa Madonna*, pomocy! — wrzasnął.

— Co ci jest? — spytał Kortejo.

— Trafili mnie.

— Gdzie?

— W ramię. Nie mogę dalej! Och!

Puścił tratwę, w tej chwili błysnęły nowe rakiety. Przy ich świetle drugi pływak zobaczył ciało kolegi zanurzające się w głębinie.

— Trzymaj się drugim ramieniem! — zawołał Kortejo.

— Za późno na rady — odezwał się pływak.

— A to dlaczego?

— Biedak poszedł już pod wodę.

— Przynajmniej ty trzymaj się dzielnie. Co się stało? Powiedz! Niczego nie widziałem!

— Ze statku strzelają racami.

— Do pioruna! A jak strzelali z dział to dużo trafili?

— Tak, senior.

— Czym prędzej na pokład!

— Z tego nic nie będzie. Pozostali przy życiu wracają do brzegu.

— Do stu diabłów! Wszyscy?

— Wszyscy.

— A więc napad odparty?

— Najzupełniej.

— Czemu ja nic nie widzę! Inaczej, by to wszystko przebiegło.

— Myślę, że wzrok nie strzeże przed kartaczami.

— No cóż, skieruj tratwę do brzegu.

— Ani mi w głowie — odrzekł pływak zupełnie innym tonem.

— Co? Co powiedziałeś? — spytał zdumiony Kortejo.

— Że cię dalej nie będę holował!

— Co? Dlaczego?

— Bo mi zakazano wracać z panem na brzeg.

Kortejo zadrżał. Błyskawiczna myśl przebiegła mu przez głowę, jasno naświetlając niebezpieczeństwo w jakim się znajdował. Że też wcześniej o tym nie pomyślał. Dlaczego jak głupiec zaufał tym ludziom.

— Kto ci zabronił? — spytał przerażony.

— Pozostali — odpowiedział kierując się już do brzegu.

— A więc to sprzysiężenie, powstanie, spisek przeciwko mnie?

— Nazywaj pan to jak chcesz! Już dawno bym pana opuścił, ale że tratwa jest mi pomocą w pływaniu, a na dodatek zasłania mnie, więc posłużę się nią jeszcze przez jakiś czas.

— Do diabła, dlaczego nie chcecie mnie dalej słuchać.

— Bo nie jest nam pan już potrzebny.

- Dlatego, że oślepiłem? Pomogłem wam przecież w zdobyciu łupu.
- Jeszcze go nie mamy.
- Ale z całą pewnością będziemy mieć. Powtórzmy napad.
- Uda nam się to o wiele lepiej bez pana. Jest pan tylko balastem.
- Pomyśl o nagrodzie.
- A co nam po niej, przecież wszystkie pieniądze będą nasze.
- Rozumiem, dlatego chcecie się mnie pozbyć. Człowieku, powiedz, naprawdę masz mnie zostawić.
- Naturalnie.
- Korteja opanowała potworna trwoga.
- Co chcecie ze mną uczynić? — spytał trzęsąc się ze strachu.
- Z początku chcieli pana zamordować...
- Święta Madonno! To chyba niemożliwe.
- Później jednak postanowili wsadzić pana na tratwę i puścić z nurtem.
- Człowieku i ty się tego podjąłeś?
- Tak jest, musiałem.
- Ja w tym przeszkodzę! — położył się na tratwę, a głowę zbliżył do ręki pływaka.
- A to w jaki sposób? — spytał Meksykanin.
- A w ten! — wyciągnął ręce i mimo ślepoty złapał go za dłoń.
- Ha, ha, ha! Pan chce mnie zatrzymać?
- Tak jest — odpowiedział Kortejo.
- To się panu nie uda. Zobacz pan, jak łatwo jest się obronić przed ślepcem.
- Chcesz się wyrwać? Boże, co ja im takiego zrobiłem.
- Nic senior.
- To mnie nie opuszczaj, nie masz prawa.
- Muszę.
- Dam ci podwójną nagrodę.
- Dostanę więcej. Cały transport zostanie podzielony między nas.
- Potrójną.
- To na nic, senior.
- Pięciokrotną.
- To wszystko za mało. Zresztą nie mam prawa dać się panu przekupić, nie mogę pana z powrotem wysadzić na brzegu.
- To przynajmniej uratuj mnie.

— A w jaki sposób?

— Wysadź mnie na brzeg i postaraj się o dwa konie. Jeżeli szczęśliwie dowiedziesz mnie do hacjendy, wynagrodzę cię sowicie.

— A tymczasem stracę moją część ładunku.

— Ja ci to wszystko zrekompensuję.

— To bardzo niepewna inwestycja.

— Daję ci słowo honoru i przysięgam na wszystkich świętych.

— W pana słowo ja nie wierzę, a w świętych pan sam nie wierzy.

— Łotrze!

Kortejo zrozumiał, że gniewem czy surowością niczego nie wskóra, odezwał się więc łagodniej:

— Proszę cię, nie postępuj ze mną w tak nieludzki sposób.

— A jak pan postępował z innymi?

— Zgodnie z regułami.

— Już ja wiem, co o panu opowiadają.

— To wszystko to kłamstwo. Posłuchaj, jeżeli mnie zawieziesz do hacjendy del Erina podaruję ci ją na własność.

— Tego pan nie może zrobić, bo ona nie jest pańska.

— Zająłem ją przecież, więc teraz należy do mnie.

— A na jak długo? Tamci także pana opuszczają, prędzej czy później, podobnie jak my.

— Dam ci dwadzieścia tysięcy pesos.

— To bardzo mało.

— Pięćdziesiąt.

— Też mało.

— No to sto tysięcy!

— Skąd pan chce wziąć tyle pieniędzy?

— Ja jestem bogaty.

— Przeciwnie, jest pan biedny, bardzo biedny. Wyrzucili pana przecież z kraju. W razie ujęcia nikt nie będzie robił ceregieli. Powieszą pana na pierwszej lepszej gałęzi.

— Cały majątek schowałem.

— Zanim byśmy do niego dotarli niezawodnie by nas złapali i obu powiesili. O nie, senior, nie jestem głupi. Bywaj zdrów!

— Zostań! Dam ci jeszcze więcej — prosił drżącym głosem.

— Co to za gadanie, dam i dam! Z czego pan dasz, skoro niczego nie masz?

— Dam ci więcej niż przeczuwasz. Znasz moją córkę, Józefę?

— Znam.

— Jesteś kawalerem?

— Tak.

— Dostaniesz ją za żonę.

Meksykanin zaśmiał nagle na całe gardło.

— Czy pan całkiem zwariował, senior Kortejo? — spytał.

— Zwariował? Dlaczego?

— Bo taką propozycję może dać tylko szaleniec.

— Sam widzisz, że to szalony pomysł, prostemu *vaquero*, który do tego jest rabusiem oddawać rękę znakomitego *hidalgo*. Jak wiesz, *hidalgo* to powszechnie bogaty lub bardzo znamienity człowiek.

— *Hidalgo!* — spytał pływak. — Chce mi pan może powiedzieć, że nim jesteś? W takim razie ogromnie się pan myli. Pan nie byłeś nigdy niczym innym jak tym co ja, a więc według pańskich słów rabusiem i złoczyńcą. A co do pana córki, co do tego straszyciła na ptaki, powiem tylko tyle, że gdybym nawet wisiał na szubienicy i powiedzieli mi, że darują mi życie, jeżeli ożenię się z pańską córką, to z całą pewnością sam zacisnąłbym węzeł. To lepsze niż ślub z pańską córeczką. Ten pomysł to czyste szaleństwo, a teraz proszę mnie puścić.

Dopłynęli już w pobliże brzegu.

— O nie, nie puszczę cię!

Z podwójną siłą złapał za rękę Meksykanina.

— Nie chce mnie pan puścić? W takim razie będę musiał użyć przemocy.

Drugą ręką wyciągnął zza pasa maczetę i ostrze przyłożył do ręki Kortejo, gdy ten poczuł zimno, natychmiast zapytał:

— Chce mnie pan zranić?

— Puszczaj natychmiast, inaczej odetnę rękę! Kortejo szybko cofnął ramię.

— Tak! — zawołał Meksykanin — A teraz płyn pan dokąd chcesz.

Silnie odtrącił tratwę, tak że prąd poniósł ją aż na środek, sam zaś skierował się w stronę brzegu.

Kortejo poczuł to gwałtowne pchnięcie.

— Odplynałeś już? — spytał.

Nie usłyszał ani słowa.

— Odpowiedz! Proszę cię na miłość boską, odezwij się!

Mimo tej prośby nie usłyszał nic. Zaległa głęboka cisza.

— Jestem samotny — jęczał. — Sam jeden! A na dodatek nic nie widzę. Oddany na pastwę fal. Co ja pocznę? Jak się uratuję?

Pomimo tego nie dał za wygraną. Posiadał jeszcze spory zasób energii.

— Ha! — zawołał. — Kto mi przeszkodzi, jeżeli sam pokieruję tratwę do brzegu. Wezmę się potem za nich, poczują przeciw komu się zbuntowali. Znajdzie się przecież jeszcze dosyć ludzi, którzy staną po mojej stronie.

Zsunął się do wody, jedną ręką złapał za krawędź tratwy, drugą wiosłował, jak mu się zdawało w kierunku brzegu. Niestety nie widział. Tratwa zaczęła się obracać w koło wirując prawie ciągle w tym samym miejscu. Wreszcie po prądzie rzeki poczuł, że raz go unosi, raz znowu pryska mu w twarz. Uznał, że niepodobieństwem będzie utrzymać pierwotny kierunek.

— To na nic! — mruczał zziębnięty — Jestem zgubiony; nie widzę szans na ratunek. Choćbym nawet wołał o pomoc to i tak się nie uratuję. Ten angielski pies gotów mnie usłyszeć i wysłać za mną pogoń, a wtedy, koniec. Chyba tylko jakiś szczęśliwy przypadek zdoła mi pomóc. Muszę poczekać, może prąd sam wyniesie mnie na brzeg.

Ponownie wszedł na tratwę i spokojnie się na niej położył. Pływanie bardzo go zmęczyło, a na dodatek oczy ciągle bolały. Zdjął chustkę i zmoczył ją w wodzie.

Tymczasem prąd unosił go w dół.

Pomimo wielkiego gorąca w ciągu dnia, noc w tym klimacie bywają dość zimne. Kortejo ubranie miał lekkie, a do tego zupełnie przemoczone, więc zaczęły nim szarpać dreszcze. Niedługo doszła do tego gorączka i ogromne bóle. Wydawał z siebie słaby jęk, pamiętając, że każde głośniejsze słowo może go zdradzić.

Minuty wlekły się jak godziny, a godziny stawały się wiecznością. Cierpiał straszne męki, pomimo tego żadna myśl nie rozjaśniła jego ciemnego wnętrza, nie zrozumiał, że to tylko początek zasłużonej kary za popełnione zbrodnie.

Wreszcie poczuł gwałtowne szarpnięcie. Fale poniosły przypadkiem tratwę do brzegu. Począł w koło macać ręką, chwycił jakąś gałąź, chcąc się utrzymać, ale to nie było potrzebne. Tratwa utkwiała silnie na płaskim brzegu.

Jeszcze jakiś czas pozostał bez ruchu. Począł częściej przykładać wodę do oka, tak że bóle się zmniejszyły. Gorączka też go opuściła.

Podczołgał się wreszcie w stronę brzegu, chcąc znaleźć jakieś miejsce na spoczynek.

— Najpierw muszę się ukryć, — zamruczał — aby mnie moi kompani nie znaleźli, gdyby mnie przypadkowo zechcieli szukać.

Kierował się tylko dotykiem. Ukrywszy się głęboko w dobrze zarośniętym kącie rozciągnął się jak długi.

— Najważniejsze, że się nie utopiłem — rzekł sam do siebie. — Moja szczęśliwa gwiazda jeszcze nie zgasła. Kto wie czy i ratunek nie jest bliski?

Trudy, bóleści, gorączka, sprawiły, że po paru minutach zapadł w głęboki choć niespokojnym sen. Dopiero zimno poranka zbudziło go.

— Co mi ten dzień przyniesie? — zapytał siebie samego.

Wkrótce jednak wydarzyło się coś, co było tysiąc razy miłsze niż odpowiedź na to pytanie. Kiedy słońce rzuciło pierwsze promienie na wodę, tak, że cała powierzchnia zdawała się być złocista, poczuł jakiś blask w lewym oku. To nie było złudzenie. Oko miał wprawdzie jeszcze bardzo spuchnięte, ale z każdą chwilą stan jego się polepszał. Kiedy nadeszło południe mógł zobaczyć swoją rękę.

## Historia Henryka Landoli

Tak czekał Kortejo jeszcze jakiś czas. Nagle zdawało mu się, że słyszy tętent końskich kopyt. Rzeczywiście po chwili dość blisko zarżał koń. Kto to mógł być? To mógł być nieprzyjaciel, ale równie dobrze jakiś obcy, który mógłby zapewne pomóc.

Kiedy tak bił się z myślami usłyszał dość głośne słowa wypowiedziane po francusku:

— Nie rwij się tak k roku, nie widzisz, że gniady nie może ci sprostać!

Francuz. To niebezpieczne. Nadzieja Korteja poczęła zwolna topnieć. Po krótkim czasie dał się ponownie słyszeć ten sam głos:

— No, dalej, do wody! Po drugiej stronie jest zagroda i żłób pełen paszy.

Zagroda? Po drugiej stronie? Musiał to być jakiś mieszkaniec Teksasu. To nie był wróg, bo ani Francuz ani Meksykanin. Kortejo postanowił spróbować szczęścia.

— Hola! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział, tylko woda poczęła pluskać pod końskimi kopytami.

— Hola! — tym razem zawołał o wiele głośniej.

Nie czekał długo na odpowiedź.

— Hola? Kto tam woła z brzegu?

— Nieszczęśliwy, potrzebujący pomocy!

— Nieszczęśliwy? Ha, to nie można zwlekać. Gdzie jesteś?

— Tutaj.

— Gdzie to tutaj jest? Zaznacz mi pan jakieś drzewo albo krzak, bo ja płynę z końmi po wodzie.

— Tego nie mogę zrobić, bo nie widzę.

— Do pioruna! Ślepy w tej dzikiej puszczy? To trochę za wiele. Już idę, proszę tylko zawołać jeszcze raz, bym się po głosie mógł skierować.

— Tutaj!

— Dobrze, wystarczy, teraz już wiem. Dalej k roku na brzeg. Do domu popłyniemy później.

Kortejo usłyszał trzeszczenie trzciny i sitowia coraz bliżej, aż tu nagle przy nim zeskoczył z konia jakiś jeździec.

— Mój Boże, senior, jak pan wygląda? — zawołał przybyły.

— Okropnie, nieprawda?

— Okropnie! Kim pan jest?



- O tym później, powiedz mi pan najpierw, kim ty jesteś?
- Właściwie powinien się dowiedzieć pierwszy, bo to ja panu przynoszę pomoc.
- To prawda, to nawet słuszne, ale jako niewidomy muszę zachować podwójną ostrożność.
- Dobrze, niech tak będzie. Jestem myśliwym, z tamtej strony rzeki.
- A z Teksasu?
- Tak.
- Zapewne Jankes?
- Tak, ale francuskiego pochodzenia.
- Skąd pan jedzie?
- Z Cohahuila.
- A do jakiej partii pan należy?
- Do żadnej.
- Czy to prawda?
- Naturalnie. Co mnie obchodzą jakieś partie, ja jestem partią sam dla siebie.
- A jak się pan nazywa?
- Grandepriise.
- Grandepriise? To dziwne nazwisko.
- Tak, dość rzadkie.
- A przecież słyszałem już o nim.
- Gdzie?
- W rozmaitych miejscach. Ma pan może krewnych? Tego było już za wiele.
- Senior, — odparł — czy ma pan jeszcze jakieś pytania do mnie? Ja myślę, że będzie lepiej, jeżeli się zajmę waszymi oczami zamiast tracić cenny czas.
- Proszę mi wybaczyć senior Grandepriise! Ma pan całkowitą rację. Proszę opatrzyć moje oczy.
- Strzelec nachylił się i począł go opatrzywać.
- Na miłość boską, w jaki sposób nabawił się pan takich ran?
- Chciano mnie pozbawić wzroku.
- Ale dlaczego?
- Ze względów politycznych. Słyszał pan już może o człowieku, nazwiskiem Kortejo.
- Słyszałem. Ma pan zapewne na myśli tego dziwaka, który fotografie swojej córki rozsyła po całym kraju i myśli, że w ten sposób wdrapie się na fotel prezydenta.
- Tak, jego miałem na myśli. Co pan o nim sądzi?

— Co? Że to największy dureń, jaki tylko może istnieć. Wszyscy się już z niego śmieją. Te słowa bardzo zabolaly Korteję. Po to się tyle napracował i natrudził, żeby zasłużyć na taką reputację? Jest śmieszny, a miał być sławny.

— Wie pan może, gdzie on się teraz znajduje.

— Nie wiem. Jest mi to całkiem obojętne, gdzie się takie osły ukrywają. Gdybym przypadkowo nie spotkał Juareza, także nie wiedziałby gdzie się ukrywa.

— Spotkał pan Juareza?

— Tak.

— Kiedy?

— Całkiem niedawno. Tu w lesie.

Kortejo nie mógł wyjść ze zdumienia.

— To na pewno był on? Cóżby robił w lesie?

— Tego nie wiem. Ale wiem, że tu był, bo osobiście z nim rozmawiałem.

— Ale on przecież ma być w el Paso del Norte.

— Kto to panu naopowiadał?

— Jeden człowiek, który był bardzo dobrze poinformowany. Pewien Anglik, który chciał się do niego dostać.

— Anglik, a gdzie go pan spotkał?

— Wczoraj wieczorem, tutaj nad rzeką.

— Do diabła, to nie będzie przecież... Proszę go dokładnie opisać.

— Suchy, wysoki mężczyzna z ogromnym nosem, w popielatym ubraniu, w cylindrze, z monoklem na nosie i z parasolem.

— Czy... to był ten Anglik? W takim razie bardzo się pan myli.

— A kto to był?

— Sępi Dziób, myśliwy, traper, a nie żaden Anglik.

— Sępi Dziób? Jeżeli się nie mylę, to słyszałem już kiedyś o nim.

— Jest sławny w całej okolicy. Ale zajmijmy się najpierw oczami, potem możemy dalej rozmawiać. Nie ma pan jakieś chustki?

— Miałem, ale niestety zgubiłem ją.

— Muszę panu dać moją. Jak widzę prawe oko wypłynęło zupełnie. Lewe może się da jeszcze uratować. Ale jest bardzo spuchnięte. Muszę je panu obwiązać.

Podszedł do wody, zmoczył swoją chustkę i przewiązał mu oczy.

— Tak — odezwał się. — To tymczasem musi wystarczyć. Potem poszukam owego sławnego indiańskiego ziela na rany. To położymy na oczy. Będzie pan widział, że po kilku

dniach się polepszy. Tymczasem przewiozę pana na mym luzaku na drugą stronę rzeki. Tam niedaleko stoi moja chałupa, w niej może pan spokojnie wracać do zdrowia.

— To nie jest możliwe, senior.

— Dlaczego.

— Muszę się koniecznie dostać do swoich.

— A gdzie oni są?

— Może słyszał pan kiedyś o hacjendzie del Erina?

— Aha, to ta sama, której właścicielem jest stary Pedro Arbellez. Znam ją. Byłem tam już kilka razy.

— Tam są moi ludzie, którzy na mnie czekają.

— Zapewne jest pan spokrewniony z Arbellezem?

Kortejo nie śmiał powiedzieć prawdy, postanowił ratować się kłamstwem, więc odpowiedział:

— Tak. Arbellez jest nawet moim bliskim krewnym. Czy był pan może już w forcie Gaudaloupa?

— Byłem senior.

— To zna pan zapewne starego Pirnero, tamtejszego gospodarza?

— Tak, doskonale. Ciągłe gada o zięciu.

— Tak, otóż on także jest moim krewnym. Ja także nazywam się Pirnero. Właśnie powracałem z fortu Guadalupe i chciałem się dostać do Comancho, potem zaś do del Erina. W tych gąszczach nagle napadli na mnie Apacze i poranili mnie.

— A to psy! Dziwi mnie, że w ogóle pana puścili żywcem.

— Wyznaczyli mi sroższą karę, niż śmierć. Pozbawiwszy mnie wzroku wsadzili na tratwę i spuścili z biegiem wody. W pełnej świadomości swego nieszczęścia, miałem zginąć z ran lub po prostu utopić się. Tylko przypadek zrządził, że tratwa dotarła do brzegu. Bóg tymczasem sprowadził mi pomoc w postaci pana.

— Tak senior. Bóg zawsze pomaga sprawiedliwym, przekonałem się o tym już kilkakrotnie; Ponieważ skierował moje kroki właśnie w to miejsce, więc pana nie opuszczę. Tylko nie wiem, co te bandy robią w tutejszych lasach, skąd się wzięli Apacze i Juarez.

Kortejo domyślał się, dlaczego Juarez przybył, chciał się z całą pewnością połączyć z lordem Lindsay'em odezwał się więc półgłosem:

— To bardzo dziwna sprawa, że Juarez odważył się podejść aż tutaj.

— Dziwne, dlaczego?

— Dlaczego? Bo Francuzi wszędzie mają tutaj swoje wojska.

— Francuzi? Bardzo się pan myli. Nie wie pan o tym, że Juarez zdobył Chihuahua i Cohahuila?

— Dość tego!

Takiego obrotu sprawy nie spodziewał się. To była zatrważająca nowina, troska o własne życie poczęła go coraz bardziej gnębić. Jeżeli obie prowincje rzeczywiście znajdują się w rękach Juareza, to hacjendę del Erina prędzej czy później także musi zdobyć. Nie ma mowy, by jego stronnicy mogli się tam długo utrzymać.

— Czy wie pan to z całą pewnością? — spytał myśliwego.

— Widziałem go przecież w Cohahuila na własne oczy i poznałem jego siły, które rosą z każdym dniem.

— Och, to źle, bardzo źle — wyrwało mu się mimo woli.

— Źle? Boi się pan Juareza?

— Niestety tak. Zanim się dostałem do fortu Guadaloupa, wcześniej byłem w el Paso; miałem pecha, przez przypadek zrobiłem sobie z Juareza wroga.

— O ile go znam, nie jest ani mściwy, ani okrutny.

— Tak, ale tu się nie rozchodzi o jego osobiste przymioty, tylko o politykę.

— Czyli, że jest pan zwolennikiem innej partii?

— Tak.

— Ha, w takim razie musi się go pan wystrzegać, najlepiej by było, że się pan udał w miejsce, w którym rozłożyli się Francuzi.

— Ci także nie są moimi przyjaciółmi.

— To rzeczywiście podwójne nieszczęście. Ale żał mi pana, co w obecnej sytuacji mogę dla pana zrobić?

— Najlepiej byłoby, gdy mnie pan zawiózł do del Erina.

— To ciężka sprawa. Droga daleka, pan ranny i niewidzący, oprócz tego dookoła wrogo usposobieni ludzie.

— Ja bym pana sowicie wynagrodził.

— Jest pan bogaty?

— Tak.

— Hm, to całkowicie zmienia postać rzeczy. Wprawdzie chętnie pomagam każdemu bezinteresownie, nie pytając nawet kim jest, ale takie nadzwyczajne żądanie, jak przewiezienie do hacjendy del Erina musi być wynagrodzone.

— Dobrze, ile pan żąda za przewiezienie mnie bezpiecznie i szybko do hacjendy?

— Ile pan daje?

- Tysiąc dolarów, wystarczy?
- Tysiąc dolarów? Do pioruna, pan rzeczywiście musi być bogaty. Naturalnie zgadzam się i to natychmiast.
- Ile czasu będzie nam potrzebne na tę podróż?
- Tego nie da się określić. Czy jest pan dobrym jeźdźcem?
- Tak.
- A więc długość podróży będzie zależała tylko od przeszkód, jakie spotkamy. Im ich będzie więcej, tym naturalnie dłużej będziemy w drodze.
- Ja nie widzę, czy pańskie konie są dobre?
- Niczego sobie, tylko teraz zmęczone.
- Nie możemy po drodze dostać innych?
- Dlaczego nie? Koło każdej hacjendy są pastwiska pełne koni. Możemy więc nasze zamienić, ale jak zechcemy być skrupulatni, to kupimy. Mam tyle przy sobie, że na kupno dwóch koni będzie mnie stać.
- Ja mam także dosyć pieniędzy. Na szczęście Apacze mi ich nie zabrali. W złocie będę miał tak wielką sumę, jaką panu obiecałem.
- To bardzo dobrze. W drodze trzeba być przygotowanym na wszystko.
- Zgadza się pan towarzyszyć mi?
- A co mam zrobić? Jest pan w wyjątkowo ciężkim położeniu, więc chętnie pomogę. Oprócz tego mam obiecane tysiąc dolarów, a tych się nie znajdzie pod drzewem.
- Bardzo dziękuję za pomoc. Proszę być pewnym, że jeżeli szczęśliwie dotrzemy do hacjendy, wynagrodzę pana hojniej niż obiecałem, bo mnie dzięki Bogu stać na to. Kiedy wyruszamy?
- Mnie jest wszystko jedno.
- Nie musi pan wcześniej wrócić do domu, na drugą stronę?
- Nie.
- To znakomicie. Obawiam się bowiem, że Apacze zechcą przeszukać oba brzegi, by się przekonać, czy udał im się podstęp. Naturalnie, gdyby mnie tutaj znaleźli byłbym zgubiony.
- Mnie, gdyby znaleźli z panem, czekałby ten sam los. Wyruszamy więc zaraz?
- Tak.
- Da pan radę wytrzymać tak forsowną jazdę?
- Zobaczymy w trakcie.

— Dobrze, nie traćmy czasu. Jeżeli te czerwone psy rzeczywiście węszą, to niezawodnie zobaczą nasz ślady i pogonią za nami. Dlatego proponuję, abyśmy jechali całą noc, bez wytchnienia. Tylko w ten sposób zdołamy się uratować. Jutro wybierzemy świeże konie.

Powiadali na siodła i pogonili w dal. Kortejo musiał okropnie cierpieć. Każdy skok konia odczuwał w swej zranionej głowie. Nie chcąc się zdradzić zaciskał zęby, choć mu to przychodziło z trudem.

Kiedy przejechali przez bór i dostali się na otwartą prerię, myśliwy z troską spojrzął na bladą twarz Kortejo i spytał:

— Bardzo pan cierpi, senior?

— O tak — odparł zapytany.

— Może odpoczniemy nieco?

Kortejo wiedział, że ratunek możliwy jest tylko dzięki szybkiej jeździe, więc odparł:

— O nie. Naprzód!

— Niech i tak będzie. Dotychczas jechaliśmy truchtem, dlatego tak trzęsło pańska głowę i przyprawiało o bóle. Teraz jednak mamy przed sobą otwartą prerię, więc możemy się puścić galopem. To już nie będzie tak męczące.

Grandeprise rzeczywiście miał rację. Galop ulżył trochę boleścią Korteja. Wprawdzie oczy piekły go strasznie, ale przy każdym napotkanym źródle moczyli na nowo chustkę i jeszcze przed wieczorem udało się myśliwemu odnaleźć cudowne ziele. Narwał go sporą ilość i począł żuć liście oraz łodygi robiąc papkę, którą następnie przyłożył Kortejowi na oczy. Po krótkim czasie ranny poczuł cudowne działanie tego zioła. Znacznie mu ulżyło.

Tak przejechali całą noc. Nad ranem musieli odpocząć, bo konie prawie padały ze znużenia, a Kortejo był ogromnie słaby. Bez tego zioła nie byłby w stanie wytrzymać tak uciążliwej jazdy.

Koło grupy krzewów zatrzymali się i z siedli z koni. Z dala było widać mury jakiegoś folwarku.

— Tam jest hacjenda — rzekł Grandeprise. — Czy mam tam iść po świeże konie? Pan może tymczasem tutaj wypocząć.

— Dobrze, ale czy tylko senior wróci?

Oceniał innych tak jak siebie i nikomu nie dowierzał, z obawy więc wypowiedział to pytanie.

— Czy uważa mnie pan za jakiegoś draba albo kłamcę — zawołał Grandeprise. — Dałem panu słowo, więc nie myślę go łamać. Nie zwykłem robić z własnej gęby cholewy.

— Proszę iść. Złapie pan konie bez pytania?

— Łatwo bym mógł, ale będzie lepiej Jeżeli porozmawiam z tymi ludźmi. Może się czegoś dowiem. Wezmę moje i zamienię na inne, w ten sposób nie będę musiał wyklądać dużo pieniędzy. Siodła i uzdy zostawię tutaj, to może uspokoi pana, że na pewno wrócę.

Zdjął z koni siodła i rzemienie, po czym podążył w kierunku hacjendy.

Kortejo był dzisiaj daleko lepszej formie. Szczęśliwie uszedł przed bezpośrednim niebezpieczeństwem, oprócz tego miał obok siebie człowieka, na którym, jak to wynikało z jego postępowania, mógł polegać. Był dość nieokrzesany, ale szczery.

Jak tylko przebrzmiał tętent kopyt, Kortejo na skutek zmęczenia zapadł w głęboki sen. Musiał spać dość długo, bo gdy się obudził Grandeprise właśnie powrócił.

— No, nareszcie się senior obudził — zawołał myśliwy na widok jego poruszenia.

— Długo spałem? — spytał Kortejo.

— Całą wieczność. Już zbliża się południe.

— Do pioruna. Musimy natychmiast ruszać!

— Cierpliwości! Nawet gdyby nas gonili to i tak nas nie dościgną. Jechaliśmy przecież całą noc.

— Ma pan konie?

— Tak jest, dwa dzielne wierzchowce, będą gnać jak jastrzębie. Niestety musimy nadłożyć drogi.

— Dlaczego?

— Proste! W Reinoso wylądowało przeszło tysiąc żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych. Chcą dobrowolnie przyłączyć się do Juareza i obsadzili już wszystkie hacjendy, które leżą między Narią. Aby ich nie spotkać musimy się przedostać aż do Rio del Tigre i kołować koło Monterney tak, że zamiast z północy podążymy do hacjendy od wschodu.

— Paskudna historia. Naprawdę musimy unikać tych ludzi?

— Naturalnie, przecież znają pana tutaj, nieprawdaż? Juarez niezawodnie wyśle parę swoich oddziałów naprzeciw wolontariuszom. Bardzo łatwo może się tam znaleźć ktoś, kto pana rozpozna, zresztą te masy Jankesów składają się z samych ochotników, a ci są ostrożniejsi niż Meksykanie. Inaczej nie możemy postąpić. Pańskie bezpieczeństwo nakazuje mi obrać taką drogę.

— Ile czasu przez to stracimy?

— Dwa dni.

— To wiele, bardzo wiele. Musimy niezwłocznie wyruszać!

— Ależ pan w gorącej wodzie kąpany. Proszę zaczekać! Przywiozłem ze sobą prowiant, musimy najpierw coś zjeść, potem przyłożę panu świeży opatrunek, dopiero wtedy dosiądziemy koni.

Jakkolwiek Kortejo czuł się bardzo osłabiony, przywiezione kukurydziane placki, smakowały mu wyśmienicie. Gdy zjadł rozweselił się nieco, poczuł się lepiej i zaczął rozmawiać.

— Wczoraj zdenerwował się pan, gdy spytałem o jego rodzinę?

— Nie o to chodzi. W puszczy każdy ma prawo pytać o krewnych, więc to nie szczególnego, tylko ważniejszy dla mnie był pański opatrunek.

— A czy dzisiaj mogę ponowić to pytanie?

— Nie ma potrzeby się ukrywać.

— Przypomina pan sobie, iż powiedziałem, że nazwisko pana nie jest mi obce.

— Przypominam.

— Ma pan może jakiś żyjących krewnych, o tym samym nazwisku?

— Nie.

— No to dalsze pytania nie są konieczne.

— Dlaczego?

— Gdyby miał pan krewnego o tym nazwisku, który jest żeglarzem, to...

— Żeglarzem! — przerwał traper szybko. — Skąd panu przyszła ta myśl?

— Bo znam jednego żeglarza o tym nazwisku.

— Czy on żyje?

— Tak.

— To nie ten. Miałem wprowadzić krewnego żeglarza, ale...

— On nazywał się Grandepriise? — przerwał mu Kortejo.

— Nie, nazywał się inaczej, ale przybrał moje nazwisko, aby mnie okryć niesławą, a nawet hańbą.

— Tak, a więc nie jest człowiekiem honoru? Czy jego postępowanie było złe?

— Tak, był piratem!

— Do stu diabłów! — zawołał Kortejo — Co pan mówi, piratem?

— Tak, morskim bandytą, handlarzem niewolników, słowem podlec z niego.

— Służył na czyimś okręcie, czy może sam był kapitanem?

— Był kapitanem.

— A jak się nazywał statek?

— „Lion”.



— Naprawdę? A więc to ten sam, o którym myślałem.

— Pan znał tego kapitana?

— Tak jest.

— Ze złej, czy dobrej strony?

— Rozmaicie — odrzekł ostrożnie Kortejo.

— A zna pan jego prawdziwe nazwisko?

— Nazywano go także Czarnym Kapitanem.

— Tak, to on. Ma pan może z nim jakieś rachunki do wyrównania, podobnie jak ja?

To pytanie zdradziło Kortejowi, że krewny Landoli nie był przyjaźnie nastawiony do kapitana, dlatego odpowiedział z większą pewnością:

— Tak, mój rachunek także nie jest wyrównany.

— W takim razie zapewniam pana, że go nie wyrównasz, bo on nie żyje.

— Wie pan to z całą pewnością?

— Trupa jego wprawdzie nie widziałem, ale jestem pewny, że umarł. Szukałem go bez ustanku dniami i nocami. Byłem przepełniony nienawiścią i chęcią zemsty. Niejednokrotnie siedziałem mu na karku, zawsze jednak potrafił zwać. Wreszcie dotarłem do ostatnich śladów. Okręt, na którym się znajdował zatonął, a więc kapitan także musiał zginąć.

Ostatnie słowa wypowiedział z taką zawziętością, że głos jego stał się bardziej podobny do syku węża niż do ludzkiej mowy.

Kortejo spytał:

— Nienawidził go pan?

— Nienawidziłem i to bardzo mocno, jak tylko człowiek potrafi.

— Mimo tego, że był pana krewnym?

— On był nawet moim przyrodnim bratem.

— Zapewne musiał panu wyrządzić wielką krzywdę. Ciekawość Korteja wzrastała z każdą chwilą. Traper milczał jakiś czas, a potem powiedział:

— To był wcielony diabeł. Od czasu jak mój ojciec ożenił się z tą kobietą nie zaznałem ani chwili spokoju, ani chwili szczęścia.

— Jego matka była wdową?

— Tak, mój ojciec też był wdowcem. Moja matka umarła przy moim porodzie. Ojciec był kolonistą. Miałem już dwadzieścia lat i byłem zaręczony z piękną, dobrą jak anioł... Właśnie w tym czasie mojemu ojcu nagle wpadł do głowy powtórny ożenek. W Nowym Orleanie poznał wdowę po jakimś Hiszpanie i nie namyślając się długo pojął ją za żonę i wprowadził do domu.

— To przykra sprawa.

— To akurat mało mnie obchodziło. Mój ojciec był przecież panem swojej woli i mógł robić co chciał, ale ta wdowa przywiodła ze sobą, swego dziewiętnastoletniego syna. Nie ma co długo opowiadać, ten łotr uwiódł moją narzeczoną, zastrzelił mego ojca, nie dość tego, podejrzenia rzucił na mnie. Uwięzili mnie. Tylko pomocy przyjaciół mogę zawdzięczać, że udało mi się umknąć. On naturalnie osiągnął swój cel, został jedynym spadkobiercą majątku, który właściwie należał do mnie. Ale to nie wszystko! Wkrótce przepuścił cały majątek. Kiedy wydał ostatni grosz z powrotem rzucił się na morze, bo już przedtem był żeglarzem.

— Nie starał się pan zemścić?

— Niby jak? Nie śmiałem przecież wracać do kraju. Dopiero po latach, kiedy urosła mi broda i kiedy zmieniłem się na tyle, że nie potrzebowałem się obawiać rozpoznania, powróciłem. Niestety za późno! Byłem biednym, aby móc zbudować sobie własny jacht i udać się za nim w pogoń, poszedłem do kopalni złota. Dzięki Bogu powiodło mi się. Po czterech latach zaoszczędziłem trochę grosza i mogłem rozpocząć pogoń za mordercą ojca, uwodzicielem mojej narzeczonej, rabusiem mojego szczęścia.

— Pogoń się nie udała?

— Niestety. Jak już wspomniałem byłem tuż za nim, ale złapać go nie mogłem. Pieniądze się rozeszły, znowu byłem ubogi i nie pomszczony. Ten łotr mi uciekł i przepadł bez wieści.

— Dlaczego nazywał się Grandepriise?

— Bo to moje nazwisko. Chciał, by cały świat usłyszał je, zapamiętał, że zaginiony morderca własnego ojca jest owym osławionym czarnym kapitanem.

— Do diabła. Temu facetowi, towarzyszy dowcip nawet przy czynieniu zła.

— Dowcip? Ja to nazywam diabelskim charakterem.

— Jakie było jego prawdziwe nazwisko?

— Landola, Henryk Landola.

— Do stu piorunów? Nie pomyślał pan o tym, że on może nadal żyć pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

— Nie.

— Proszę mi nie wziąć tego za złe, senior, ale muszę panu powiedzieć, że nie jesteś zbyt sprytny, by móc złapać takiego człowieka jak czarny kapitan.

— Myśli pan, że jako pirat może występować pod prawdziwym nazwiskiem?

— To nie chodzi o to, ale mógł przecież zaprzestać pierwotnego zatrudnienia. Jeżeli zajmuje się czymś porządnym może bez hańby wrócić do pierwotnego nazwiska. Zresztą nie chcę się rozwodzić na darmo, powiem panu krótko, że pański przyrodni brat żyje.

— Święty Boże! Czy to prawda?

— Oczywiście.

— Zna go pan?

— Załatwiałem z nim wiele interesów, spodziewam się nawet, że niedługo go zobaczę.

— Jako Henryka Landolę?

— Tak.

Myśliwy był wyjątkowo podekscytowany. Oczy prawie wychodziły mu z orbit, wpatrzył się w Korteja, jakby gwałtem chciał z niego wydusić resztę słów. Pochwycił Korteja za rękę i zawołał:

— Pan naprawdę spodziewa się zobaczyć tego człowieka?

— Tak.

— Pan jesteś jego przyjacielem czy wrogiem?

— Dotychczas byłem przyjacielem, teraz jednak stało się inaczej. Zwiódł mnie i oszukał. Zadanie jaki mu zleciłem, nie wykonał sumiennie. Działał zbyt samowolnie i wyrządził mi tym ogromną szkodę.

Kortejo nie wiedział jeszcze nic o powrocie Sternaua, a więc kłamał chcąc wzbudzić w nieznajomym zaufanie.

— Chce się pan także na nim zemścić?

— Naturalnie.

— Mogę przystąpić do spółki z panem?

— Jeżeli mogę panu zaufać?

— O senior, pozwól mi tylko zemścić się na tym wyrodku, a uczynię dla pana wszystko co tylko w moich siłach. Pragnąłem i łaknąłem zemsty już dość długo. Gdzie zamierzasz się pan z nim spotkać?

— To jeszcze nie jest dokładnie ustalone. Przede wszystkim muszę się dostać do hacjendy. Dopiero jak będę bezpieczny będę mógł sprawdzić, gdzie on się znajduje.

— W takim razie wyruszajmy, konie już osiodłane, jednak najpierw muszę zmienić opatrunek.

Zdjął mu opaskę. Kortejo ku swojej radości spostrzegł, że coraz lepiej widzi, czyli, że przynajmniej jedno oko pozostało nienaruszone. Traper ponownie przyłożył na nie indiańskie zioła, po czym wsiedli na konie i popędzili naprzód.

\* \* \*

Tymczasem statki płynęły szybko w górę rzeki. Amy i Mariano prawie cały czas przebywali razem, chcąc w ten sposób wynagrodzić sobie lata rozłąki. Sępi Dziób płynął na pierwszym statku i stamtąd kierował całą wyprawą. Lord najczęściej był zajęty rozwiązywaniem dyplomatycznych problemów i odpowiadał na zadawane mu przez Korteja pytania. Sternau zaś pomagał im w tym nader często, gdyż jego bezstronny pogląd był dla nich wielce korzystny.

Zaraz drugiego dnia dobili do ujścia Rio Sabinas, przybliżając się coraz bardziej do tego punktu, gdzie się łączą jej dwie odnogi i gdzie cały transport miał zostać wylądowany.

Sternau stał właśnie w kajucie Amy długo oglądając wizerunki swoich najdroższych, kiedy wszedł Juarez. Prezydent słyszał już, kogo te dwa obrazy przedstawiają, więc odezwał się do doktora:

— Jeżeli się nie mylę, jesteś pan szczęśliwym małżonkiem i ojcem. Czy pańscy najbliżsi wiedzą już o pana powrocie?

— Nie — odparł Sternau. — Chciałem w Guyamas, gdzie wylądowaliśmy przesłać im list, lecz niestety, tam nie funkcjonuje żadna poczta, więc nie było sposobności.

— U nas także o to bardzo trudno.

— Ha, muszą jeszcze długo czekać na wiadomość o mnie — odparł Sternau z cieniem smutku w głosie.

— Bardzo chętnie bym panu pomógł, mój kochany doktorze, lecz niestety Francuzi stoją mi na drodze.

— Francuzi? Jakim sposobem? — spytał Sternau.

— Już dwa razy skonfiskowali nawet prywatne pisma, które przypadkiem dostały się w ich ręce.

— Pańskie listy?

— O nie. Były to listy całkiem nieznanymi mi osobom, które zwróciły się do mnie z prośbą o przesłanie ich do adresatów. Naturalnie, zgodziłem się z wielką chęcią. Jednak, gdy tylko dotarły do granicy okupacyjnej, Francuzi je cofnęli, mimo tego, że były otwarte i każdy mógł się przekonać, że nie zawierają żadnych tajemnic. Jeden z piszących stracił przez to swój majątek, a drugi odniósł znaczne szkody w handlu. Tak to chwaląca się hasłami demokracji i poszanowaniem praw innych Francja odznacza się tutaj, w Meksyku. To nie lada humanitarność!

Ostatnie słowa wymówił z goryczą i smutkiem. Wkrótce jego twarz jego rozjaśniła się i zawołał:

— Mimo tego, może uda nam się ich podejść!

— W jaki sposób?

— Niech pan napisze dwa jednakowe listy. Może chociaż jeden z nich dotrze na miejsce. Jeden wyślemy do Tampiko, a drugi do Santillano. W obu tych miejscowościach mam swoich zaufanych ludzi, którzy wy transportują je przy pierwszej okazji.

— A kto je tam dostarczy? To niebezpieczne.

— Mam przecież dość dzielnych ludzi, którzy potrafią się podjąć tego zadania. Co do niebezpieczeństwa, o tym nie ma mowy. A choćby nawet schwytali posłańca i otworzyli list, co tam znajdują? Same prywatne wiadomości.

— W takim razie nie mogę pisać o spotkaniu z panem.

— To zbyt cenne. Co posłaniec temu winien, że wysyłający list jest moim gościem?

— To prawda. Naprawdę mogę przyjąć pańską propozycję?

— Proszę nawet o to.

— Kiedy mam zacząć pisać?

— Najlepiej zaraz, gdy tylko przybędziemy do obozu wyszukam dwóch ludzi i wyślę ich do rzeczonych miejsc.

Sternau posłuchał z radością. Papier i pióro znalazły się zaraz, zasiadł więc i pisał:

*Moi drodzy, najukochańsi!*

*Ze łzą w oku piszę do Was. Muszę płakać z radości na myśl o tym, jaką ogromną uciechę wywoła mój list, ów pierwszy znak życia po tak długim milczeniu.*

*Zapewne poznaliście moją rękę czytając adres na kopercie, choć to wątpliwe, bo przez te dziesiątki lat, w których nie miałem ani pióra ani ołówka w dłoni oduczyłem się pisać. Proszę więc wybaczyć mi, że tak gryzmołę. Był to długi, straszny czas niewoli. Wysładzeni na odludnej wyspie żyliśmy gorzej niż Robinson Crusoe, bo żaden rozbity okręt nie wspomagał nas swymi materiałami.*

*Wolaliśmy o ratunek jęcząc i narzekając jak dusze w czyśćcu. Na początku zdawało się, że niebo jest głuche na nasze prośby, że nie zaświeci nam gwiazda nadziei, mało brakowało, abyśmy poczęli złorzeczyć owej surowej ręce. Jednak Bóg zlitował się i zesłał nam wybawcę w osobie tego, którego już dawno uważaliśmy za zmarłego.*

*Zapewne zapytacie, kto razem ze mną był na tej wyspie? Wymienię tylko Mariano, Helmera i jego brata Antoniego. Pozostałych nie znacie, więc to nie ma znaczenia. Naszym wybawcą był hrabia Ferdynand de Rodriganda...*

*Zagadki, same zagadki, nieprawdaż? Niedługo Wam wszystko wyjaśnię, obecnie jestem w Meksyku, przy boku Juareza. Amy i lord Lindsay także są tutaj z nami. Mariano jest wyjątkowo szczęśliwy ze swoją narzeczoną, a ja gdy na nich patrzę, tęsknię do chwili, kiedy będę mógł was do siebie przytulić.*

*Przed powrotem do kraju musimy załatwić jeszcze parę spraw. Trzeba będzie wyjaśnić tajemnicę Rodriganda, zdemaskować złoczyńców, a potem zaraz wyruszamy do Kreuznach.*

*Amy opowiedziała mi, jakie zmiany zaszły u was. Jeden Bóg wie, ile to szczęścia. Poznałem księcia! Mamo, ucałuj go ode mnie. Nie za to, że jest księciem, tylko za to, że ty moja ukochana znalazłaś podporę, serce, które cię kocha.*

*Chętnie poprosiłbym Was o odpowiedź, ale niestety, nie mogę wam podać adresu, bo go nie znam. Może będę jeszcze w Meksyku, ale i tak nie wiem w którym, miejscu. Musi Wam więc wystarczyć ta krótka wiadomość, ale cieszymy się nadzieją na szybkie spotkanie.*

*Moja najukochańsza Różo, pociecho moja, moja zjawo, którą mam przed oczami w nocy i na jawie. Proszę cię i błagam, połóż swoje ręce na główce naszego dziecięcia i pobłogosław ją w zastępstwie ojca. Niech każda ha, która wypłynęła z mych oczu, niech każde westchnienie z ojcowskiej piersi zamieni się bodaj na godzinę szczęścia dla niej.*

*Podczas, gdy to piszę, miłość rozsadza mi wnętrze, ręce drżą, oczy zachodzą łzami. Każdym oddechem, każdym biciem serca chciałbym błagać o łaskę i szczęście dla Was.*

*Ucałuj wszystkich ode mnie, także tych których nie wymieniłem, bo brak mi na to czasu: siostrę, pana Rodensteina, dzielnego Kurta, którego brata Andrzeja spotkałem tu, w Meksyku i gdy Bóg pozwoli przywiozę ze sobą. Pozdrów również panią Helmer i jej Roberta. Przywiozę ze sobą jej małżonka. Ten Francuz, który cię miał zamordować, także jest tutaj. Zna ważne tajemnice, i niejedno może nam wyjaśnić.*

*Przebaczcie, jeżeli o kimś zapomniałem, moje myśli są nie przy tym co piszę, tylko przy Was. Nie potrafię mej radości, szczęścia i tęsknoty ubrać w słowa.*

*Całuję was bardzo, bardzo mocno i do... szybkiego zobaczenia*

*Kochający Was i tęskniący za Wami*

*Karol.*

Właśnie ukończył pisanie duplikatu listu, kiedy parowiec zagwizdał donośnie. Był to znak, że statek dotarł na miejsce spotkania.

Już z rzeki można było widzieć, że panowało tam niezwykle ożywienie. Wozy z jucznymi wołami także już przybyły. Cała gromada była dobrze widziana, gdyż brzeg w tym miejscu nie był zarośnięty, preria rozciągała się daleko. Parowce poczęły ciągnąć łodzie i tratwy w stronę brzegu. Cały transport zacumował.

Natychmiast rozpoczęto wyładowanie. Dopiero teraz pokazało się, co za skarby znajdowały się na łodziach. Małe beczułki ze złotem, ogromne paki ze strzelbami, nożami, pistoletami, rewolwerami, wielki zapas prochu, ołowiu, telegrafy terenowe z drutami na kilka mil, nosze dla rannych i tysiące innych artykułów potrzebnych w czasie wojny. Głębokie łodzie były aż po wierzch wyładowane tymi rekwizytami. Potrzeba było wiele rąk i wielu ludzi, by to wszystko przenieść na wozy. Nowa otucha wstępowała w serca robotników, na widok tych, tak potrzebnych skarbów.

Lord zajął się wypakowywaniem, a Juarez dozorował ładowanie na wozy.

— Co się stanie ze statkami? — spytał Sternau lorda.

— Powrócą do El Refugio.

— A pan?

— Ja zostanę przy Juarezie.

— Jako poseł angielski?

— Tak jest.

— A miss Amy?

— Pozostanie przy mnie.

— Czy *sir*, pomyślał o tym, jakie niebezpieczeństwa mogą się wam jeszcze przydarzyć?

— Myślałem o tym. Co się tyczy mojej osoby to nie mam prawa zwracać uwagi na żadne niebezpieczeństwa, moja obecność jest tutaj konieczna, ona sankcjonuje postępowanie prezydenta. Zobaczymy, czy Francuzi ośmielą się teraz jeszcze Juareza i jego wojsko uważać za bandę rabusiów. Myślę, że nie. Przy boku Juareza znajduje się przecież poseł jej królewskiej mości, królowej Wielkiej Brytanii, a za kilka dni zjawi się także drugi, poseł Stanów Zjednoczonych, a potem... zmykajcie stąd, panowie Francuzi. A co się tyczy Amy, nic nie mogę na to poradzić. Nie chce mnie opuścić, chce dzielić ze mną wszystkie smutki i radości.

— Czy Mariano nie jest w stanie tego zmienić?

— Sądzę, że nie.

— Mariano, jako narzeczony Amy, nie będzie obecnie chciał zostawić państwa, a ma inne, niemniej ważne obowiązki; oprócz tego stryj jego leży chory w Gaudaloupe.

— To wszystko da się pogodzić. Obecnie, nie jesteśmy w stanie nic zrobić dla rodziny Rodrigandów, bo to jest niemożliwe, a więc najlepiej będzie dla Mariano i pozostałych panów, jeżeli przez ten czas pozostaniecie przy Juarezie. Jego wielka siła rośnie z dnia na dzień, spodziewam się, że niedługo będzie mógł wkroczyć do stolicy. Wiem, że francuski cesarz otrzymał bardzo poważne ultimatum od rządu Stanów Zjednoczonych.

— Jakiej treści?

— Jeżeli Napoleon nie weźmie swej armii z Meksyku, to wkroczą tutaj Amerykanie.

— Wystąpią przeciw Francuzom?

— Naturalnie. Jestem nawet przekonany, że prowadzą już tajne rokowania i że Francja zaczęła się po cichu koncentrować i wycofywać.

— Myśli lord, że dobrowolnie oddadzą kraj Juarezowi?

— Nie, tego nie mogą uczynić, jeżeli nie chcą okryć niesławą.

— To co zrobią?

— To bardzo proste. Wynieśli przecież Maksymiliana na cesarza. Zapewne zechcą teraz, żeby abdykował. Jednak ja go dość dobrze znam, zwłaszcza cesarzową i jej zauszników. Ci nie zgodzą się na to pod żadnym warunkiem. Francuzi więc będą zmuszeni pozostawić go samemu sobie. Poczną się cofać i opuszczać miasto za miastem, prowincję za prowincją oddając je niby to w ręce Maksymiliana. On jednak nie będzie miał dosyć siły, by utrzymać się dłużej w jednym miejscu i w ten sposób cały kraj wpadnie w ręce Juareza. Naturalnie wszystko to będzie znakomicie wyreżyserowane, a w rzeczywistości wyjdzie na to samo, jakby Bazaine oddawał kraj po kawałku, wprost w ręce Juareza.

— A cesarz Maksymilian?

— Musi ulec, zanadto zaufał Napoleonowi. Nie pozostanie mu nic innego jak, albo z Francuzami opuścić kraj, albo bronić się do ostatniego żołnierza, sam jak palec.

— Mój Boże! To ostatnie chyba nie wchodzi w rachubę? Lord wzruszył ramionami.

— Czy słyszał pan już może o tym nieszczęsnym dekrete, który cesarz niedawno wydał?

— Niestety słyszałem.

— Tym dekretem wydał na siebie wyrok śmierci, to powszechne zdanie. Na podstawie tego edyktu wymordowano już dosyć żołnierzy, oficerów, ba nawet generałów Juareza. Cały lud Meksyku pragnie zemsty, a zemsta ta nie dotyczy Napoleona czy Bazaine, tylko tego, który ten dekret usankcjonował, a więc Maksymiliana.

— Juarez jest człowiekiem szlachetnym, uratuje go.

— Tak, to prawda, ten Indianin jest prawdziwym człowiekiem honoru — odparł lord z głębokim namysłem.



— Omawiał już pan z nim może ten drażliwy szczegół?

— Tak.

— I co powiedział?

— Nic pewnego, on jest znakomitym dyplomata. Musi wziąć pod uwagę powszechną opinię, jeżeli sam nie zechce się zgubić. Nie będzie mógł ułaskawić Maksymiliana, jeżeli rzeczywiście wpadnie w ich ręce. Ale naturalnie będzie tak działał, że postawi mu wolną drogę do ucieczki. Nic innego nie mógł w tej materii powiedzieć.

— Ale co na to powie Anglia, Stany Zjednoczone, jeżeli Meksyk naprawdę będzie chciał zamordować potomka Habsburgów?

— Mój kochany przyjacielu, nikomu innemu nie udzieliłby na to odpowiedzi. Anglia tę drogę widzi jasno, wytyczyła ją sobie na początku i całkiem dobrze przewidziała następstwa. Pomimo wszystko, gdybym nawet panu w cztery oczy powiedział coś na ten temat, muszę dodać, że to tylko moje prywatne zapatrywanie.

— Bardzo mnie ono ciekawi.

— To dość jasne. Anglia, Francja i Hiszpania zajęły Meksyk, bo nie był w stanie wywiązać się ze swych zaciągniętych zobowiązań. Gdy tylko jednak kraj ten dowiedział, że w innych okolicznościach jest w stanie wywiązywać się honorowo, Hiszpania i Anglia odstąpiły. Francja miała obowiązek uczynić to samo, nie zrobiła jednak tego bojąc się, że to ujmie jej chwałę. Wybrała kozła ofiarnego i tak długo rokowała z arcyksięciem Maksymilianem, dopóki ten nie zgodził się być jej pośrednikiem. Maksymilian to człowiek nadzwyczajnych zdolności, jest nawet poetą, ale jak panu wiadomo poeci nie zwykli być zdobywcami i despotami. Nastąpiły wybory, które jak można było przypuszczać odbyły się pod całkowitą presją i przemocą francuską. Meksyk nie ogłosił go cesarzem, ani za takiego nie uznał. Powszechnie uważany jest za intruza i z jako takim odpowiednio postąpią, nie troszcząc się o to, czy to syn jakiegoś rzemieślnika, czy potomek habsburskiej dynastii. Jeżeli wpadnie w ich ręce, bezwzględnie odpokutuje za wszystkie okrucieństwa Francji. Powstanie wprawdzie powszechny krzyk, ale Meksyk nie będzie się o to troszczył, a wspomniane przez pana rządy też będą musiały to ignorować.

— Co za los! Gdybym mógł być przy nim, by przestrzec.

— Nic by pan nie wskórał, podobnie jak generał Meja.

— Ten Maja to Meksykanin?

— Tak, ale bardzo do cesarza przywiązany, w ogień by za nim skoczył.

— Dziwi mnie to, że Maksymilian nie może tego zrozumieć.

— Co pan chce, gdy w przeszłości odwiedzał grobowce katedry Granada w Hiszpanii i trumny swoich krewnych, protoplastów Ferdynanda i Izabelli, to wymarzył sobie, że właśnie jemu przeznaczona została korona cesarska.

— Już wtedy o tym marzył, napisał nawet wiersz, który mogę panu przytoczyć.

— Proszę.

*Niemy, słaby blask pochodni  
Wiedzie wnuka do miejsca,  
W którym spoczywają zwłoki  
W zimnych ciasnych łóżach.  
Ponad trumną stoi w myślach,  
Ponad prochem swych wielkich,  
Szepcząc cicho słowa modłów  
Za cieniami poległych.  
Wtem ze zbutwiałych szpar trumien  
Szepce jakiś głos z ciemności:  
Ten sceptor, który tu poległ  
Zabłyśnie jeszcze na wschodzie.*

— Ale nie szukał na wschodzie. Blask jego zniknie, tak szybko jak sen złoty, a kości wnuka nie spoczną w grobowcu cesarskim, tylko za granicą, za pierwszym lepszym wałem meksykańskiego miasteczka. Chciałbym się mylić, ale to co powiedziałem jest prawdopodobne.

— Czy tylko ultimatum Stanów Zjednoczonych skłoni Francuzów do opuszczenia Meksyku?

— Naturalnie. Dopóki to państwo było zajęte wewnętrznymi niesnaskami, Napoleon drwił sobie z przestrogi Linkolna. Ale Północ zwyciężyła, handlarze niewolnikami upadli, a ci byli jedyną podporą cesarza Francuzów. Całe państwo skryształizowało się i podniosło na takie wyżyny, że nie sposób z nim zadzierać. Francja jest wprawdzie lekkomyślna, ale nie szalona, dlatego dobrze się najpierw namyśli, nim uczyni decydujący krok. Ale teraz dość tej polityki. Właśnie nadchodzi ktoś, kto z pewnością chce z panem porozmawiać.

Lord wskazał na Antoniego Helmera — Piorunowego Grota, który kroczył w ich kierunku, bacznie przyglądając się ciężkiej pracy tylu ludzi. Rzeczywiście zbliżył się do Sternaua pytając:

— Jak długo jeszcze potrwa wyładunek, panie doktorze?

— Ze dwa dni.

— Tak, a co z hacjendą del Erina?

— O tym pomówimy później, mój drogi. Helmer bawiąc się bronią odpowiedział:

— Dopiero później? Nie byłoby lepiej zaraz tę sprawę omówić?

— Dlaczego?

— Słyszałem od Apaczy, że Kortejo uciekł.

— Niestety to prawda.

— Pojedzie do hacjendy.

— Prawdopodobnie. Tam jest jego córka.

— Tak.

— Czytał pan list, który znaleźliśmy w bucie jednego opryszka, słyszał pan też jego słowa, boję o mego teścia. Nie potrafię dłużej czekać.

— Co też panu przychodzi do głowy? Cała okolica roi się od Francuzów — zawołał Sternau.

— Jest mi wszystko jedno.

— Złapią pana.

— Nie sądzę. Bawole Czoło jedzie ze mną.

— On sam pana nie obroni.

— Ale będzie dla mnie wielką pomocą, bo zna każdy zakątek tej okolicy i potrafi mnie przeprowadzić chyłkiem.

— No dobrze. Przypuśćmy nawet, że się panu uda szczęśliwie przedostać aż do hacjendy, co potem?

— Potem uwolnimy don Pedro.

— We dwójkę?

— Tak. Proszę chodźmy razem do Bawolego Czoła.

Nie czekając na odpowiedź Helmer zszedł ze statku. Na brzegu stał Bawole Czoło razem z Niedźwiedzim Sercem.

— Co Księżę Skał chce robić? — spytał Bawole Czoło.

— Radzi czekać.

— Czekaliśmy już dość długo!

— Czy mój brat Bawole Czoło, rzeczywiście chce podążyć z Piorunowym Grottem? — spytał Sternau podchodząc do nich.

— Tak — odrzekł zapytany. — Jestem wprawdzie wolnym Indianinem, ale hacjendą del Erina była ojczyzną mojej siostry Karii, a senior Arbellez jest moim przyjacielem i bratem. Muszę go uwolnić!

Te poważne słowa wodza i jego skupiona twarz dały Sternauowi poznać, że naprawdę powziął ten zamiar i że nic go nie powstrzyma. Pomimo tego poczuł się w obowiązku przestrzec go, więc rzekł:

— Ale w jaki sposób brat mój chce go uratować? Cała hacjendą jest zajęta przez obce wojska.

Misteka wzruszył pogardliwie ramionami, mówiąc:

— Bawole Czoło nie ulęknie się.

— Ale jest ich tam bardzo dużo.

— Mistekowie są jeszcze liczniejsi.

— Ach, Bawole Czoło chce zwołać swoich braci?

— Tak.

— Na to potrzeba czasu.

— O nie, wystarczy jedna noc. Wódz Misteków potrzebuje tylko rozniecić ogień na górze Reparo, a na drugi dzień wieczorem tysiąc wojowników stanie koło niego.

— Czy to tylko pewne? Mój brat nie był już tam tyle lat.

— Synowie Misteków nie zapominają o swoich obowiązkach. Mój brat, Niedźwiedzie Serce także idzie ze mną.

— *Uffi* — rzekł wódz Apaczów potwierdzając ostatnie słowa.

— A kto poprowadzi Apaczy, którzy są przy Juarezie?

— Mój brat, Niedźwiedzie Oko.

Steranu jeszcze raz popatrzył uważnie na twarze trzech mężczyzn, po czym spuścił wzrok i powiedział:

— Moi bracia słusznie czynią. Nie możemy czekać aż Juarez da nam wojsko do rozporządzenia. Nasz przyjaciel Arbellez jest w niebezpieczeństwie; naszym obowiązkiem jest przyjść mu z pomocą i to jak najszybciej.

Oczy Bawolego Czoła rozjaśniły się radośnie:

— Wiedziałem, — rzekł — że mój brat pójdzie z nami. Już nie potrzebujemy obawiać się ani Francuzów, ani nikogo innego, jeżeli Książę Skał z nami idzie. Teraz wszystko musi się nam udać.

— Ale Mistekowie przyjdą na pewno?

— Tak. Żywica i smoła już od lat leżą w ziemi, pomimo tego służą nam wspaniale.

— A co na to powie Emma i Karia?

— Muszą pozostać przy Juarezie — rzekł Helmer.

— Nie pożegnamy się z nimi?

— O nie, zatrzymywałyby nas.

— A co powie Juarez, jeżeli go o nas zapytają?

— Może powiedziec, że wyjechaliśmy na zwiady. To je uspokoi i nie będzie musiał kłamać, bo nasza cała jazda jest naprawdę tylko zwiadem.

— Musimy zaraz z nim pomówić.

Juarez, lord i inni bardzo się zdziwili słysząc o tym śmiałym przedsięwzięciu czterech mężczyzn. Z początku nawet im odradzali, ale kiedy to nie odniosło skutku, Mariano i sternik Helmer także się zamierzali do nich przyłączyć. Nie przyjęto ich jednak. Sternau nie chciał rozłączać Mariano z narzeczoną, a sternik był za mało doświadczony do życia na prerii. Małego Andre także nie przyjęli.

— Niech pan przynajmniej weźmie ze sobą paru Apaczy — prosił Sternaua Juarez.

— To także muszę odrzucić — odparł. — W czwórkę łatwiej nam będzie się przedostać niepostrzeżenie do hacjendy.

— Gdybym miał więcej ludzi dałbym panom tyle, że nie potrzebowaliście chyłkiem się przekradać. Spodziewam się jednak, że zaufanie jakie Bawole Czoło ma do swoich braci nie zawiedzie was. Ja będę się starał jak najszybciej połączyć się z panami.

Dopiero na trzeci dzień, gdy Juarez powrócił, do Cohahuila dotarły wiadomości o nadciągających oddziałach amerykańskich wolontariuszy. Natychmiast wydał odpowiednie rozkazy, chcąc ich jak najprędzej przyciągnąć do siebie, aby wyruszyć na pomoc owej odważnej czwórce, która z narażeniem własnego życia ruszyła do przodu.

## Napad Misteków

Po serdecznym pożegnaniu, o jakim przed chwilą żaden z nich nawet nie pomyślał, dosiedli koni i wyjechali. Zabrali ze sobą prowiant, aby po drodze nie tracić czasu na polowanie.

Musieli przekradać się przez mniej zamieszkałe góry Monklova, dlatego stracili także nieco czasu, ale dotarli zupełnie niezauważeniu do hacjendy. Naturalnie nie odważyli się wejść do środka, objechali ją tylko zdążając do góry El Reparo.

Była to ta sama góra, w której wnętrzu znajdowała się jaskinia z królewskim skarbem, a na jej wyżynie leżał staw pełen krokodyli.

Dojechali do samego podnóża, nagle Bawole Czoło przystanął ściągając cugle konia.

— Jeździec — wyszeptał wskazując kierunek ręką. Wszyscy popatrzyli w tę stronę i rzeczywiście ujrzeli jakiegoś mężczyznę siedzącego na ziemi. Koń jego pasł się obok.

— Musimy go okrążyć, aby nas nie zobaczył — odezwał się Sternau.

Słońce chyliło się już ku zachodowi i wierzchołek góry rzucił długi cień.

— Pojedziemy do niego? — zawołał Bawole czoło obejrawszy go dokładniej.

— Czy mój brat go zna?

— To *vaquero*.

— Z del Erina.

— Tak jest, poznaję go, choć się znacznie postarzał.

— Był wierny?

— Wodzowi Misteków, zawsze.

— To przekonajmy się, czy takim pozostał.

Podążyli naprzód wcale się nie ukrywając. Gdy tylko siedzący na ziemi zobaczył ich, w oka mgnieniu podskoczył i złapał za strzelbę.

— Emilio nie potrzebuje się obawiać — zawołał Bawole Czoło donośnym głosem. — A może został wrogiem Misteków?

*Vaquero* pozostał przy koniu i patrzył szeroko otwartymi oczami.

— *O Dios!* — zawołał wreszcie. — Bawole Czoło!

— Tak, to ja.

— Umarli zmartwychwstają?

— Nie, tylko żywi powracają.

— Żyjecie więc?

— Tak, znasz tych mężów.

Emilio począł ich po kolei oglądać. Twarz jego rozjaśniała się coraz bardziej, w miarę jak ich rozpoznawał.

— Czy to możliwe? Może ja tylko śnię?

— Kogo widzisz? — spytał Bawole Czoło.

— Czy to nie senior Sternau? A ten to Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów.

— Tak, nie mylisz się.

— Mój Boże, a my wszyscy byliśmy przekonani, że zginęliście. Gdzie reszta?

— Wszyscy żyją i niedługo przyjdą za nami.

— Oj, ale w hacjendzie nie czeka was nic dobrego.

— Dlaczego?

— Wróg w niej siedzi.

— Ilu ich?

— Może sześciuset.

— Kto jest ich przywódcą?

— Kortejo, ale nie ma go, wyjechał. Teraz dowodzi jego córka, Józefa.

— Co robią jej ludzie?

— Jedzą, piją, grają i śpią. Katują także *vaqueros* i czekają na Korteja.

— Gdzie jest senior Arbellez?

— Został złapany.

— Ale gdzie jest?

— Rzucili go do piwnicy, przedtem jednak obili go tak, że cudem przeżył.

— Tylko on jest uwięziony?

— Seniora Maria i Antonio siedzą razem z nim.

— Antonio? *Uff!* Ten co był z forcie Guadeloupe.

— Tak.

— W jaki sposób go złapali?

— Jak wrócił, nie przeczuwał, że hacjenda zajęta jest przez wroga. Związali go i zaprowadzili do Józefy, a ta go przesłuchała.

— Czyżby opowiedział jej wszystko, co się tymczasem zdarzyło w forcie?

— Tego nie wiem, ale także wrzucili go do piwnicy.

— Dają uwięzionym coś do jedzenia?

— Nie wiem. Nikt nic nie wie, bo żaden z *vaqueros* nie wraca do hacjendy.

— Ty także nie?

— Nie.

— To choć z nami.

Emilio przyłączył się do nich z radością. Gdy ich tylko zobaczył przepełnił się nadzieją, że ten koszmar wkrótce się zmieni. Trzech z przybyłych rozpoznał, czwartego jednak nie, teraz właśnie jadąc obok spytał:

— Proszę o wybaczenie, senior, musiałem was już gdzieś widzieć, bo twarz wasza jest mi znana, ale nazwiska nie mogę sobie przypomnieć.

— Czyżbym się tak bardzo zmienił? — odezwał się Helmer z uśmiechem.

Ten uśmiech i ton głosu przypomniały widocznie *vaquero* człowieka, bo nagle zawołał:

— Na wszystkich świętych! Czyżby to prawda? Niemożliwe? Wy jesteście senior Helmer!

— Zgadza się.

— Boże, cóż to za radość? A czy seniorita Emma także żyje?

— Żyje, niedługo powróci do hacjendy.

— To ją złapią tak jak innych.

— Nie. Wypędzimy wrogów.

— Panowie? Czterej? — spytał z niedowierzaniem.

— Wkrótce zobaczysz, teraz powiedz lepiej, kto wydał rozkaz aby wychłostano seniora Arbelleza?

— Zapewne ta wiedźma, Józefa Kortejo.

— Jej ojciec był wtedy w hacjendzie?

— Był.

— To mi wystarczy, otrzymają stosowną zapłatę. Zazgrzytał zębami. Oczy Bawolego Czoła także błysły złowrogo.

Obaj dyszeli zemstą. Biada Kortejowi i jego córce, gdy wpadną w ręce tych dwóch.

Jechali teraz zboczem w górę. Jeszcze przed zmrokiem dotarli do stawu z aligatorami. Wszystko było w takim samym stanie, jak przed laty. Pochyłe drzewo rosło ciągle w tym samym miejscu, zwieszając konary aż do samej wody. Powierzchnia wody była gładka. Bawole Czoło wydał z nagle z siebie żaloszny głos, jakim zwykle się wabić krokodyle.

Natychmiast z wody wyłoniły się potworne łby gadów. Przyplłynęła ich cała chmara, tak silnie uderzając szczękami, jakby ktoś bił deską o deskę.

— *Uff!* Są bardzo głodne — zawołał Misteka. — Niedługo otrzymacie pożywienie, Bawole Czoło musi się o to postarać, by święte krokodyle jego braci, były syte.

Okrążyli staw i skierowawszy się do lasu zsiadli z koni zostawiając je pod dozorem Emilio. Bawole Czoło kroczył przodem.



Na samym wierzchołku góry znajdowało się wzniesienie podobne do piramidy, które łatwo można było uważać za naturalne. Przed nim wódz Misteków stanął i powiedział:

— Oto miejsce, w którym mam dać znak moim braciom.

— Czy tu ukryty jest piec smolny? — spytał Sternau.

— Tak. Napełniony jest smołą, siarką, żywicą i suchą trawą. Otworzymy go!

Przystąpił do jednego bloku piramidy i wyjął z niego kamień pokryty ziemią i trawą.

— To jama dla dostępu powietrza, że lepiej ciągnęło? — spytał Sternau.

Bawole Czoło skinął tylko głową, po czym wdrapał się na wierzchołek. Na górze był pień drzewa, poruszał nim na wszystkie strony, po czym dość łatwo wyjął go z ziemi. Dziurę, jaka przez to powstała rozgrzebał i rozszerzył do objętości dorosłego mężczyzny.

— Zrobiło się już ciemno, możemy więc dać znak — odezwał się. — Bawole Czoło, długo nie był u swoich, ale moi bracia zobaczą, że jego rozkazy nadal mają swe znaczenie.

Ukląkł i począł krzesać ogień. Suche drewnienka zapaliły się bardzo szybko, wrzucił je do środka i zszedł z piramidy.

Z początku usłyszeli trzask, a potem syk. Wkrótce w otworze ukazał się wysoki, może na dwie stopy płomień.

— Jest za mały — powiedział Helmer.

— Mój brat musi trochę poczekać — odpowiedział wódz — Synowie Misteków znają się na rozniecaniu ogni wojennych.

Powiedział prawdę, bo po minucie płomień począł buchać, a po dalszych pięciu wystrzelił w górę podobny do ogromnego, ognistego słupa, rozszerzającego się ku górze. Cały wierzchołek góry oświetlony był jak w ciągu dnia.

— Tak wspaniałego, ognistego znaku jeszcze nie widziałem — rzekł Sternau.

— Wkrótce otrzymamy odpowiedź — odpowiedział Bawole Czoło.

— Jest więcej miejsc z takimi piecami?

— Po wszystkich górach, wszędzie tam, gdzie mieszkają Mistekowie.

— Są wyznaczeni odpowiedni ludzie do rozpalania ich?

— Tak.

— A jeżeli umrą, albo się oddalą?

— Muszą zostawić następców. Niech mój brat popatrzy. Płomień palił się może kwadrans, kiedy wódz wskazał ręką na południe, gdzie drugi ognisty słup wzbil się w powietrze, a w krótkim czasie następny, trochę bardziej na północy. Po pół godzinie, można było widzieć pięć wspaniałych ognisk.

Bawole Czoło podszedł do jednego z większych kamieni, które leżały w pobliżu. Podniósł go w górę z nadzwyczajną siłą. Pod nim ukazała się jama, w której leżały kule wielkości kul bilardowych. Wyjął trzy i wrzucił w ogień, zatykając starannie schowek i nakładając nań kamień.

— Do czego służą te kule? — spytał Sternau.

— Mój brat zaraz zobaczy.

Ledwie wypowiedział te słowa, kiedy bardzo wysoko w górę poleciały trzy świetliste tarcze. Unosiły się jakiś czas w powietrzu, po czym zwolna zaczęły opadać w dół.

Po niedługim czasie można było wiedzieć takie same znaki, przy następnych, wysoko w niebo wzbijających się słupach świetlnych.

— Co to oznacza?

— Każde miejsce ma swój znak — odrzekł Bawole Czoło. — Na miejsce spotkania wyznaczyłem górę El Reparo, żeby Mistekowie wiedzieli, gdzie mają nadciągnąć.

— Ale nasi wrogowie, także zobaczą te ognie.

— Nie będą wiedzieli, co one znaczą. Płomienie poczynają już opadać. Zaczekajmy jeszcze chwilę, a potem opuścimy to miejsce.

Słupy ognia zaczęły gasnąć z taką szybkością, z jaką wznosiły się w górę, w krótkim czasie znowu zapanowała całkowita ciemność.

Bawole Czoło począł zacierać ślady swego pobytu. Kamień zakrywający dostęp powietrza, potoczył na pierwotne miejsce i wspomniany pień ulokował na wierzchołku piramidy, w końcu rzekł:

— Choćby tutaj na górę przyszedł jakiś nieprzyjaciel, by sprawdzić gdzie ten ogień był rozniecony, będzie szukał daremnie, teraz jednak musimy opuścić to miejsce.

— Gdzie się udamy?

— Tam, gdzie bezpiecznie będziemy mogli poczekać na skutki tego ognia.

— Aż do jutrzejszego wieczora? — spytał Helmer.

— Tak jest.

— Czyli, że jutro nie będziemy mogli nic zrobić, aby ulżyć doli don Arbelleza?

— Nie, ale za to wieczorem, hacjenda będzie nasza — odparł wódz.

Powrócili do koni, po czym zjechali z góry, kierując się w lewą stronę. Po pół godzinie przybyli do wąwozu, którego wejście było zupełnie zarośnięte krzakami.

— Tu zaczekamy — rzekł Bawole Czoło.

Wjechali do środka udając się aż do samego końca wąwozu, uwiązali konie i rozłożyli się w bujnym mchu rozmawiając półgłosem. Omówili wypadki minionego i nadchodzącego dnia wreszcie zwinawszy się w koce posnęli.

Noc i następny dzień minęły w ciszy. Kiedy zapadł całkowity mrok, Bawole Czoło dał znak do wymarszu. Wypoczęci powsiadali na konie i wyjechali z jaru.

Dotarłszy do miejsca, które prowadzi na górę, usłyszeli przed sobą, a wkrótce także za sobą przytłumione stąpania końskich kopyt.

— Kto tam jedzie? — spytał Helmer.

— Nie się mój brat o to nie troszczy — odparł Bawole Czoło. — To synowie Misteków, którzy spieszana miejsce spotkania.

Wjechawszy na górę zobaczyli w niepewnych zarysach całą masę ludzkich głów stojących koło stawu, w zupełnym milczeniu i oczekujących na wyjaśnienia.

— Mój brat będzie musiał głośno mówić — zauważył Steranu — bo inaczej nie wszyscy będą mogli go usłyszeć, a powtarzać to każdemu z osobna zabrałoby zbyt wiele czasu. Jednak gdy zaczniesz krzyczeć, jakiś wróg łatwo może wszystko usłyszeć.

— W pobliżu nie ma żadnego wroga.

— Skąd mój brat to wie?

— Ci synowie Misteków, którzy mieszkają w pobliżu góry, zebrali się tutaj już rano, mieli czas dokładnie przeszukać okolicę i ustawić strażę. Czy mój brat nie zauważył, że tam na dole, ściągnąłem konia tak, że stanął na tylnych nogach i skrzyłem cugłami, aby się na nich obrócił?

— Widziałem.

— Tak czyni każdy. To znak, po którym poznają się Mistekowie. Każdy, kto nie da tego znaku zostaje ujęty i uwięziony, a jeżeli się okaże wrogiem, musi pójść na karmę dla krokodyli.

— A dlaczego nie zatrzymali i nie uwięzili nas?

— Bo przyszliście razem ze mną. Zresztą po kryjomu dałem im znak. A teraz, niech moi bracia podążą za mną nad staw.

Musieli przedzierać się między Indianami aż na sam brzeg wody. Tam wódz nie zsiadając z konia stanął i głośno zawołał:

— *Ila! Na atui!*

— To znaczy: cicho, chcę mówić — szybko przetłumaczył Helmerowi Sternau.

Dał się słyszeć słaby brzęk broni, po czym jakiś głos spytał:

— *Payn omi? Kim jesteś?*

— Na Mokaschi–motak. Ja jestem Bawole Czoło!

— Mokaschi–motak! — to słowo przelatywało z ust do ust. Mimo ciemności można było poznać, jakie wrażenie wiadomość ta wywarła na Indianach.

Ten sam głos, co przed chwilą odezwał się ponownie:

— Bawole Czoło, wódz Misteków umarł.

— Bawole Czoło żyje. Był więziony przez swych wrogów i długo trzymany, teraz jednak powrócił, by się zemścić. Kto do mnie mówi?

— Rżący Koń — brzmiała odpowiedź.

— Rżący Koń jest sławnym wodzem, bo pierwszym po Bawolim Czoło, zapewne przez ten czas dowodził dziećmi Misteków. Niech podejdzie do mnie z łuczywem i niech na mnie spojrzy.

Po chwili dał się widzieć blask pochodni, kilku mężczyzn przeciskało się przez otaczających i podeszło do wodza. Między nimi był jeden w stroju myśliwego, w takim samym jaki przedtem nosił Bawole Czoło.

Podszedł i wznosił w górę pochodnię, bacznie obserwując twarz jeźdźca.

— Mokaschi–motak! — zawołał głośno. — Cieszcie się synowi Misteków, wasz wódz powrócił. Dobądźcie noży i tomahawków, by go pomścić!

— *Uff.*

Tylko to jednak słowo zabrzmiało z ust tysiąca zgromadzonych, po czym zapanowała idealna cisza. Bawole Czoło powtórnie zabrał głos.

— Niech strażę popatrzą, czy jesteśmy bezpieczni!

— Oprócz czterech mężczyzn, którzy przyjechali z jednym z nas, nie ma tu żadnego obcego — zabrzmiała z dala odpowiedź.

— Ci czterej przybyli ze mną. Ilu wojowników nadjechało?

— Jedenaście razy po sześćdziesiąt razy dziesięć i czterdziestu dwóch.

Indianie nie mają w zwyczaju, by większe liczby nazywać jednym słowem, pomagają więc sobie w ten sposób. Wszystkich wojowników było ponad tysiąc dwustu.

— Moi bracia niech słuchają! — odezwał się ponownie Bawole Czoło. — Jutro dowiedzą się, gdzie ich wódz tak długo przebywał. Teraz jednak niech otworzą uszy, by mogli pojąć, że Juarez powstał, by z kraju wypędzić Francuza. Bawole Czoło przyprowadzi mu stu wojowników, którzy będą z nim walczyli. Dzisiaj jednak pojedziemy do hacjendy del Erina, aby pokonać znajdujące się tam siły Korteja. Tam siedzą najgorsi ludzie białych twarzy, dla których Mistekowie nie będą mieli litości. Kto z nich nie ujdzie, musi umrzeć!

Moi bracia niech się podzielą po dziesięciu i pojedą za mną. W pobliżu hacjendy, gdzie się zatrzymam, pozostawimy konie. Jako staż pozostanie przy nich pięć razy po dziesięciu wojowników. Wyznaczy ich wódz Rżący Koń. Reszta pojedzie cicho do hacjendy i otoczy ją kołem. Na pierwszy strzał wpadnie do środka. Nasze będzie zwycięstwo, bo z nami jest Książę Skał, Niedźwiedzie Serce wódz Apaczów i Piorunowy Grot.

— *Uff* — dało się słyszeć powtórnie koło stawu. Okrzyk miał wyrażać radość z powodu obecności w ich gronie tak sławnych ludzi.

Na dany znak Mistekowie zaczęli się dzielić na grupy i porządkować.

— Mój brat, Bawole Czoło nie dopuszcza litości — powiedział Sternau.

— Nie!

— Dlaczego?

— Mojego brata, don Arbelleza obito kijami — zabrzmiała groźna odpowiedź.

— Ale nie wszyscy go bili.

— Przy Kortejo nie ma ani jednego porządnego człowieka. Czeka na nich zemsta. Misteka depcze robactwo.

Sternau poznał, że żadne prośby nie pomogą, zresztą nie było nawet czasu, by wydawać wyruszającym wojownikom inne rozporządzenia. W głębi musiał przyznać rację Indianinowi. Wokół Korteja zgromadziło się rzeczywiście same plugastwo.

Bawole Czoło razem ze swymi przyjaciółmi utworzył pochód. Gdy tylko zjechali na równinę, puścili się galopem, dopiero, gdy minęli górę i las, może o milę od hacjendy Bawole Czoło przystanął i wszyscy zsiadli z koni, tylko Sternau pozostał na swym wierzchowcu.

— Dlaczego mój biały brat nie zsiada? — zapytał Bawole Czoło.

— Pojadę do hacjendy.

— Po co? Czy chce, aby go zabito?

— Nie o to chodzi. Ale może się zdarzyć, że zamknięci w środku, gdy zobaczą, że opór jest daremny nie widząc innego sposobu ratunku, porwą się na życie Arbelleza. Właśnie temu chcę przeszkodzić.

— Mój brat ma rację!

— Ja także pojadę! — zawołał Helmer.

— Dobrze, w takim razie będzie nas dwóch — odparł Sternau. — Ale musimy poczekać, dopóki hacjenda nie będzie otoczona ze wszystkich stron. Dopiero potem wjedziemy do środka. Na mój strzał niech natychmiast nastąpi atak.

Pięćdziesięciu mężów zostało przy koniach, reszta skradała się naprzód. Spodziewali się, że zastaną rozpalony ogień, jednak wszyscy mieszkańcy byli albo na podwórzu, albo w

środku hacjendy, dlatego bez trudu udało im się podejść do samego ogrodzenia i otoczyć zabudowania. Dopiero teraz Sternau z Helmerem puścili się galopem w kierunku bramy. Chcieli by myślano, że przybyli z daleka.

Zatrzymali się przed wejściem i zaczęli uderzać w bramę. Jakiś głos odezwał się ze środka:

— Kto tam?

— Czy to hacjenda del Erina? — spytał Sternau.

— Naturalnie.

— Czy są tu ludzie senior Kortejo?

— Tak.

— Jesteśmy wysłannikami, jedziemy właśnie od niego.

— Ilu was jest?

— Dwóch.

— Kto was wysłał?

— Pantera Południa.

— Dobrze, w takim razie możecie wjeżdżać.

Podwoje rozwarły się, dwaj aż do zuchwalstwa odważni mężczyźni wjechali na dziedziniec i zeskoczyli z koni. Było ciemno i natychmiast zaprowadzono ich do oświetlonej izby. Cały pokój wypełniony był żołdactwem o wyjątkowo zbójceckich fizjonomiach. Pomędzy innymi był także ten, który bił Arbelleza. Najwyraźniej awansował od tego czasu, bo nadymał się jak paw i rozpoczął przepytывania:

— Czego tu chcą ci ludzie?

Sternau uprzedził odpowiedź mówiąc z pośpiechem:

— Ludzie? — spytał. — Macie do czynienia z panami, a nie ludźmi. Zapamiętajcie to sobie. Przybywamy od Pantery Południa i chcemy mówić z senior Kortejem. Dlatego wskażcie nam, gdzie go mamy szukać.

Meksykanin popatrzył na olbrzymią postać Sternaua, który zwrócił na siebie uwagę wszystkich, gdy tylko wszedł, jednak w poczuciu swojej godności chciał pokazać, że wcale mu to nie imponuje, dlatego odrzekł:

— Najpierw musicie się wylegitymować!

— Tak? A przed kim?

— Przede mną! — odparł z dumą.

— A kim ty jesteś?

— Ja jestem tym, który melduje.

— No to zameldujcie mnie Kortejowi. Reszta nic cię nie obchodzi.

Zaśmiał się szyderczo i powiedział:

— Pokażę wam, że jednak mnie to obchodzi. Znajdujemy się przecież w stanie wojny. Aresztuję was. Tak długo będę was więził, dopóki nie udowodnicie, że rzeczywiście jesteście posłami Pantery Południa.

— Człowieku! Tobie się chyba pomieszało w głowie. Zameldujesz mnie czy nie?! — krzyczał na niego Sternau.

Meksykanin ciągle starający się zachować powagę odrzekł:

— Oho! Teraz nazywa mnie człowiekiem i przemawia do mnie przez „ty”. Uważajcie, żeby nie przytrafiło się wam coś takiego jak Arbellezowi.

— A co się jemu przytrafiło?

— Wysmagałem go, aż do kości.

— Ty sam?

— Tak, jeżeli będziecie dalej tak zuchwale do mnie przemawiać, to obiecuję wam to samo.

— Co, masz odwagę grozić mi? To masz odpowiedź, łotrze! Złapał go za gardło i wymierzył mu dwa potężne uderzenia w głowę, po czym przerzucił pozbawionego przytomności przez stół, daleko w kąt.

Nikt nie odważył się odezwać, milczeli jak zakłęci. Sternau rozglądnął się wkoło groźnie.

— To czeka każdego, kto ośmieli się mnie obrazić. Pytam raz jeszcze, gdzie jest Kortejo?

— Do diabła, to musi być sam Pantera Południa— szepnęło kilka głosów, co podwoiło respekt i jeden z żołdaków odezwał się:

— Seniora Korteji nie ma tutaj.

— A gdzie jest?

— Opuścił na jakiś czas hacjendę, ale nie wiem dokąd podążył.

— Ale seniorita jest?

— Tak.

— Gdzie?

— W górnym pokoju, tuż nad nami.

— Sam ją znajdę, nie potrzebujecie mnie anonsować.

Nikt nie odważył się za nim wyjść, kiedy opuszczał izbę i wychodził z Helmerem na schody.

Józefa leżała w hamaku, ciągle bardzo cierpiąc. Można powiedzieć, że stan jej jeszcze się pogorszył. Jedynie myśl szybkiego powrotu ojca nieco ją pocieszała. Wyobrażała sobie, jak cały obładowany bogactwem powraca do domu.

Na korytarzu rozległy się donośne kroki. Podniosła się nieco wyczekują z niecierpliwością. Dwaj mężczyźni weszli do środka nie zapukawszy nawet, ani nie pozdrowiwszy jej.

Zdawało jej się, że już gdzieś widziała tę olbrzymią postać, ale gdzie? Długa broda zmieniła go nieco, więc nie od razu mogła poznać.

— Kim jesteście i czego tu chcecie?

— Ach seniorita mnie nie poznaje? — spytał Sternau. Oczy się jej rozszerzyły nadmiernie i straszliwie pobladła.

— Kto..., na Boga? Sternau!

— Oczywiście — odpowiedział, — a ten pan, to senior Helmer narzeczony seniority Ammy Arbellez.

Zdążyła nieco przyjść do siebie, więc zawołała:

— Jak się ośmielacie? Czego tu chcecie?

— Chciałem tylko oddać wam ten papier.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął ten sam list, który zabrał spotkanemu w lesie zbirowi. Wzięła go do ręki i od razu poznała, by to jej własny list.

— Na Boga! W jaki sposób go zdobyliście?

— Znaleźliśmy przy trupie waszego posłańca.

— Przy trupie?

— Tak. Razem ze swymi ludźmi wpadł z nasze ręce. Naturalnie, wszyscy co do jednego zginęli.

Zdawało się, że strach przed tym człowiekiem zrobiły ją niezdolną do myślenia. Zaledwie mogła wyszeptać:

— Zginęli? Wszyscy? To straszne.

— Pocieszcie się, tych ludzi nie ma co żałować. To prawdziwe opryszki. Zresztą i tak nie dotarliby do celu, bo złapaliśmy waszego ojca, jak czyhał na Anglika. Z jego ludzi ani jeden nie został przy życiu. Czy on sam się uratuje, to nie jest jeszcze pewne.

— O Boże, Boże! — jęczała półgłosem.

— Tylko nie wzywajcie Boga, raczej diabła, bo do niego od dawna należycie.

Te ostre słowa podrażniły ją nieco, więc energicznie odparła:

— Senior, chyba nie pamiętacie, gdzie się znajdujecie?

— Przecież wiem, w hacjendzie del Erina.

— Tak, w głównej kwaterze mego ojca.

— Chcecie mnie może przestraszyć — zaśmiał się.

— Wystarczy jedno moje słowo, by was uwięziono — zawołała.



— Grubo się mylicie. Muszę wam powiedzieć, że Juarez nadciąga. Już koniec tych waszych głupich rządów.

— Cóż, dotychczas nie ma go jeszcze.

— Ale ja już tu jestem. To także coś znaczy. A może myślicie, że wszedłem do was tak lekkomyślnie, bez osłony lub sił? Cała hacjenda jest otoczona więcej niż tysiącem Misteków. Teraz sytuacja jest nieco inna. Wystarczy, że powiem tylko słowo, a zaaresztują was natychmiast, zresztą i tego nie potrzebuję, już jesteście moim więźniem.

— Jeszcze nie! — zawołał.

W chwili zagrożenia odzyskała dawną energię i przebiegłość. Mimo cierpień zerwała się z hamaku, zeskakując nagle na ziemię. Jednym susem była przy ścianie, gdzie wisiał jej pistolet. Porwała go i wypaliła wprost w pierś Sternaua, krzycząc zarazem z całych sił o ratunek. Sternau cofnął się błyskawicznie w bok, uchodząc w ten sposób przed kulą, zaś Helmer w jednej chwili rzucił się na kobietę i powalił ją na ziemię. Nagle, koło hacjendy rozległo się straszliwe wycie. Mistekowie usłyszeli strzał i uważali, to za umówiony znak. Sternau podbiegł do drzwi.

— Nadchodzą! — zawołał. — Niech pan przytrzyma tę furję, najlepiej niech pan ją zamknie, ja muszę odszukać Arbelleza.

Wyskoczył na schody. Całe wnętrze domu podobne było do mrowiska. Ze wszystkich drzwi wysypywali się Meksykanie spiesząc na podwórzec.

W zamieszaniu i trwodze nie zwrócili nawet uwagi na Sternaua, który razem z nimi przepychał się po schodach aż do piwnic. Okopcona lampa skąpo oświetlała wnętrze. Przy drzwiach na straży stał tylko jeden człowiek.

— Kto jest tam w środku? — zagrzmiął Sternau.

— Arbellez i...

— Gdzie klucz? — przerwał mu szybko.

— Właściwie u seniority.

— Właściwie...? Teraz jednak jest tutaj, nieprawdaż?

— Tak.

— Dawaj go.

Popatrzył na niego ze zdziwieniem i spytał:

— Kim wy jesteście? Co tam za hałasy, na górze?

— Jestem tym, którego masz słuchać. Hałasy na górze nic cię nie obchodzą. Dwaj klucze.

— No nie, tak prędko to nie da rady. Najpierw muszę się dowiedzieć, jak się nazywacie? Jeszcze mi nikt nie powiedział, że mam was słuchać, nie znam was!

— Zaraz mnie poznasz.

Przy tych słowach wymierzył pięścią w głowę cios tak, że wartownik padł na miejscu jak rażony piorunem. Sternau przeszukał mu kieszenie, na szczęście znalazł jakiś klucz, który pasował do zamku. Natychmiast otworzył drzwi i porwawszy lampę oświetlił wnętrze.

Przed oczami stanął mu okropny widok.

Na zimnych, kamiennych płytach leżały trzy osoby, prawie jedna na drugiej, bo miejsca było zaledwie na dwie osoby. Na samym dnie leżał rozciągnięty *vaquero*, na jego piersi pocziwa Maria Hermoyes, częściowo na niej, a częściowo na *vaquero* spoczywał Perdo Arbellez, poowijany szmatami, jakie ze swej odzieży zrobili jego towarzysze niedoli. W kącie poniewierał się kawałek suchego chleba i niedopalona świeca.

— Czy tutaj jest senior Arbellez? — spytał Sternau.

— Jest — odparł *vaquero* podnosząc się ostrożnie z ziemi i przypatrując pytającemu.

— Gdzie jest? Który to?

Oświetlił lampą całą grupę, przy tym blask padł i na jego twarz. *Vaquero* rozpoznał go natychmiast, więc poderwał się z krzykiem:

— Na Boga! To senior Sternau! Jesteśmy uratowani.

— Tak, Antonio, jesteście uratowani. Co słyhać z don Pedro?

— Żyje. Opatrzyliśmy prowizorycznie jego rany, ale mówić może tylko bardzo cicho. Słyszał pan co z nim zrobili?

— Słyszałem.

— Ta Józefa Kortejo to diabeł wcielony!

— Winni zostaną ukarani. Czy senior Arbellez może chodzić o własnych siłach?

— Na pewno nie.

— W takim razie musicie tu jeszcze jakiś czas pozostać. Niech was pocieszy wiadomość, że jesteście wolni. Otworzę wam drzwi, aby wpadło tu trochę świeżego powietrza, za chwilę zabiorę was na górę, teraz jednak muszę iść. Zostańcie tylko tutaj, przy Arbellezie.

— Święta Madonno! Cóż to za łaska! — zawołała teraz Maria — Czy to naprawdę wy, panie doktorze?

— Tak, to ja — odpowiedział.

— My rzeczywiście jesteście wolni?

— Obrońcy są już tutaj, słyszycie strzały?

— Słyszę — odrzekł *vaquero*. — Kto to taki? Może sam Juarez ze swoim wojskiem?

— Nie. To Bawole Czoło z Mistekami. Juarez na razie nie mógł, a my mieliśmy obawy, aby nie było za późno.

Poświecił i ujrzał Arbelleza. Tan wyglądał jak człek wyjęty z grobu, tylko, że jego blade oblicze rozjaśniło się serdecznym uśmiechem.

— Senior Arbellez, poznajecie mnie? — spytał Sternau.

Zapytany poruszył lekko głową.

— Opowiedział wam już Antonio, że wszyscy jesteśmy uratowani, wasza córka Emma także.

Odpowiedzią był powtórny ruch głowy.

— Nie martwcie się o nią. Przy Juarezie jest całkowicie bezpieczna. Wkrótce ją zobaczycie. Za chwilę opatrzę wasze rany.

Pobiegł na górę. Kilku Mistekom, których spotkał po drodze rozkazał pójść na dół i strzec uwięzionych przed napaścią innych, a sam udał się dalej.

Sień domu przedstawiała okropny widok. Dwóch Misteków stało z pochodniami. Przy ich blasku można było widzieć pomordowanych zwolenników Korteja. Trupy ich piętrzyły się jeden na drugim. Cała posadzka spływała krwią, na schodach też leżeli pomordowani.

W górnych pokojach od czasu do czasu odezwał się jakiś pojedynczy krzyk śmiertelnie ugodzonego. Na podwórzu i przed domem na dobre wrzała jeszcze walka. Strzały jeden po drugim, krzyki, nawoływania brzmiały głośno i dziko wśród nocnej ciszy. Meksykanie wiedząc, że polegną i że nie mogą się już spodziewać ratunku bronili się ze wściekłością i z przekleństwami na ustach.

Sternau jednym rzutem oka objął całą sytuację. Mistekowie na początku rozpalili stos drzewa. Przy jego jasnym świetle widać było wszystko jak na dłoni.

Tylko jeden róg podwórza był wypełniony Meksykanami broniącymi się jeszcze. Było ich dwunastu, a może piętnastu. Wiedzieli, że nie ujdą z życiem, więc postanowili przynajmniej drogo je sprzedać. Z ostatnim wysiłkiem rozpaczony i wściekłości odpierali nacierających Indian.

Bawole Czoło stał na ogrodzeniu i posyłał kulę za kulą ku tej reszcie obrońców skazanych na zagładę.

— Darujmy im życie! — zawołał Sternau — Już dosyć krwi się polało.

— Senior Arbellez zdrowy? — spytał wódz chłodno.

— Jeszcze leży w piwnicy. Potem go wyniesiemy.

— Tak go obili, że nie może iść o własnych siłach?

— Niestety!

— To niech mój brat nie mówi o łasce! Arbellez jest moim przyjacielem i bratem, musi być pomszczony.

Obrócił się, podniósł strzelbę do strzału i wymierzył. Sternau wiedział, że wszelkie słowa są daremne. Uwaga jego zwróciła się na najbliższe otoczenie. Tuż koło niego leżał jakiś ranny Meksykanin i ostatkiem sił bronił się, przed Indianinem, który mierzył nożem wprost w jego pierś.

— Litości! Litości! — prosił błagalnie.

— Nie ma litości. Musisz zginąć! — wołał Misteka łapiąc go silnie lewą ręką, a prawą zamierzając zadać cios.

— Ja nie jestem wrogiem! Ja dawałem wodę i chleb uwięzionym. Gdyby nie ja, to pomarliby z głodu i pragnienia.

I te błagania nie zmiękczyły Misteki. Już chciał wymierzyć, ostatnie śmiertelne pchnięcie, gdy Sternau, chwycił go za uniesioną rękę i rozkazał:

— Stój! Musimy go najpierw przesłuchać!

Indianin zwrócił swą rozgniewaną twarz na niego i zawołał:

— A co to ciebie obchodzi? Ja powaliłem go na ziemię, więc jego życie jest moją własnością i tylko ja mam do niego prawo!

— Jeżeli rzeczywiście zrobił to co opowiada zasługuje na litość!

— Ja go pokonałem, więc musi umrzeć!

Sternau wyciągnął swój rewolwer i puszczejąc rękę Misteki zawołał:

— Nie waż się sprzeciwiać moim rozkazom, nie igraj ze mną. Przy tych słowach skierował swą broń wprost w pierś Indianina, któremu zaimponowała powaga na twarzy obcego.

— Grozisz mnie, twojemu sprzymierzeńcowi? — zapytał.

— Tak, jeżeli go zabijesz, sam także umrzesz.

— Dobrze, rozmówię się z Bawolim Czołem.

— Czyń co chcesz, tylko nie postępuj wbrew temu co powiedziałem.

Misteka puścił Meksykanina i poszedł do swego wodza. Sternau całą uwagę skierował na rannego, którego uratował od niechybnej śmierci.

— Powiadasz, że żywiłeś uwięzionych? — spytał leżącego na ziemi.

— Tak, senior. Dziękuję, że zabroniliście temu Indianinowi zabić.

— Których uwięzionych masz na myśli?

— Tych troje, co leżą w piwnicy. Codziennie spuszczałem im przez dziurę trochę chleba, wodę i światło.

— Dlaczego?

— Jeden z moich kolegów, który musiał wyruszyć z Kortejem prosił mnie o to. Sądzę, że weźmiecie to pod uwagę, senior.

Sternau domyślił się, że wspomnianym kolegom, musiał być ten, który umierając bredził w gorączce o twarzy katowanego hacjendero.

— Dobrze — odezwał się po chwili Sternau. — Zostaniesz przy życiu.

Napędce obandażował mu rany, a potem zostawił pod opieką dwóch Indian.

Walka zaczęła zbliżać się do końca. Wszyscy Meksykanie na podwórzu zostali zabici, słychać było jeszcze pojedyncze strzały za ogrodzeniem, widocznie resztki, którym udało się uciec dostały się ręce stojących na czatach. Niedźwiedzie Serce podszedł do Sternaua i oznajmił:

— Zwycięstwo należy do nas.

— Dużo wrogów uciekło?

— Mała garstka.

— Było dobrze, gdyby mogli uciec. Ta zemsta jest strasznie krwawa.

— Czy senior Arbellez żyje?

— Żyje, musimy iść po niego po piwnicy.

Bawole Czoło przyłączył się do nich. Ani słowa nie wspomniał o tym, że Sternau wbrew jego rozkazom oszczędził życie jednemu Meksykaninowi. Na dole znaleźli uwięzionych pod opieką Misteków. Bawole Czoło ukląkł koło Arbelleza i zapytał:

— Senior, poznajecie mnie?

Hacjendero skinął głową.

— Kto was tak kazał katować? Córka Korteja?

Ponownie skinął głową, zamiast udzielić odpowiedzi.

— Bardzo cierpicie?

Zapytany jęknął głucho, to najlepiej oddało stan, w jakim się znajdował.

Sternau wtrącił się do rozmowy:

— Wielu dzielnych wojowników Misteków zostało rannych, ale pierwsza pomoc należy się senior Arbellezowi. Przeniesiemy go na górę.

— Ja go będę pielęgnowała — powiedziała Maria — Przy mnie na pewno wyzdrowieje.

Sternau pospieszył naprzód. Podczas badania okazało się, że szmaty, którymi jego wierni towarzysze poobwiązywali rannego, przylepiły się. Musiano je zmywać ostrożnie, przy pomocy ciepłej wody. Dopiero potem okazało się, w jaki szatański sposób został pocięty. Musiał przecierpieć straszne bóle.

Sternau obandażował go starannie. Zaraz można było zobaczyć, co znaczy wprawna ręka lekarza. Natychmiast mu ulżyło, ściskając za rękę doktora wyszeptał:

— Dziękuję, senior!

Więcej nic nie mógł powiedzieć. Bawole czoło położył mu rękę na głowę.

— Ja pomszczę mego brata, — powiedział — Nikt mnie nie powstrzyma. Gdzie jest ta, która wydała tak okrutny rozkaz?

W tej chwili do środka wszedł Helmer. Właśnie szukał ich i wchodząc usłyszał to pytanie.

— Leży skrępowana w pokoju Emmy — odrzekł. — Musimy ją przesłuchać, ale pozwólcie mi najpierw powitać ojca.

Pochylił się nad łóżkiem słabego i pocałował go w blady policzek.

— To chwila, — zawołał — na którą już długo się cieszyłem. Wreszcie życzenie moje spełniło się. Teraz może rozpocząć się zemsta.

Arbellez miał tyle siły, że z wolna podniósł swe ramiona i objął Helmera, a słabym głosem powiedział:

— Niech cię Bóg błogosławi, mój synu!

Więcej nie był w stanie nic powiedzieć, osłabienie było zbyt wielkie, ale twarz jego zdradzała wyraźną radość. Ten widok, pomieszanych cierpień i uciechy jakie malowały się na osłabionym obliczu, był tak silny i przejmujący, że nikt nie mógł oprzeć się wzruszeniu. Prawie każdy z nich ocierał ukradkiem łzę z oka. Niedźwiedzie Serce zawołał nawet:

— Nasz chory brat musi wyzdrowieć i odnaleźć szczęście. Ale ci co go katowali odczują naszą zemstę.

— Niech ją przyprowadzą — rzekł Bawole Czoło. — Tu u jego łoża usłyszysz swój wyrok.

— Ona jest kobietą! — powiedział na to Sternau.

Tymi słowami chciał choć trochę złagodzić ich twarde charaktery. Wiedział bowiem, jak straszny będzie wyrok dyktowany przez dyszących zemstą mężów.

Bawole czoło położył mu na ramieniu rękę i powiedział:

— Ona nie jest kobietą, tylko szatanem. Mój brat już uratował życie jednego Meksykanina wbrew mojej woli, ale teraz niech się nie spodziewa ustępstw. Ta kobieta jest gorsza od wszystkich naszych wrogów. Ona jest złym duchem swego ojca. Tylko jej zawdzięczamy wszystkie nasze nieszczęścia. Spotka ją kara na jaką zasłużyła. Sam ją przyprowadzę.

Wyszedł, a po kilku minutach zjawił się z Józefą.

Miała skrępowane ręce i nogi, była potwornie blada, zarówno na skutek strachu jak i wewnętrznych obrażeń, które ciągle jej sprawiały ogromny ból.

Pedro Arbellez rzucił na nią tylko jedno spojrzenie, zaraz zamknął oczy. Widocznie nie chciał jej widzieć. Maria Hermoyes także odwróciła się od niej z pogardą, jeden jedyny Antonio zawołał na jej widok:

— Nareszcie cię mamy! Teraz nie będziesz mogła katować i wrzucać do piwnicy niewinnych ludzi. Usłyszysz swój wyrok, och nie chciałbym obecnie być w twojej skórce.

Nich nie odpowiedziała, tylko z oczu jej w stronę mówiącego wystrzelił ponury, nienawistny wzrok.

— Kto ją ma przesłuchiwać? — spytał Helmer.

— Przesłuchiwać? — zawołał Bawole Czoło. — Po co jakieś przesłuchanie? Sama najlepiej wie, jakich zbrodni się dopuściła, my także wiemy, więc po co te ceregiele. Zasłużyła na śmierć.

— Tak, na śmierć! — potwierdził wyrok Niedźwiedzie Serce.

— Musi umrzeć, to jasne! — dodał Helmer.

— Czyli, że jesteśmy zgodni, — rzekł Bawole Czoło — ale jak i gdzie, nad tym niech się moi bracia zastanowią.

— Szybka śmierć to dla niej za mało — dodał *vaquero* Antonio.

— Musi umrzeć dziesięć razy! — zawołał Bawole Czoło — Wiem jaki wyrok powinniśmy wydać.

— Jaki? — spytał Helmer.

— Damy ją krokodylom na pożarcie.

— To za mało! — przerwał *vaquero*. — Co to za kara za tyle zbrodni. Jedno kłapanięcie szczękami i już po wszystkim. Czy to okupi wszystkie niegodziwości, jakich się dopuściła.

— Tak prędko to ona nie zginie — odparł Bawole Czoło.

— Krokodyle będą do niej podskakiwały. Wiedzą moi bracia, co mam na myśli?

— Wiem — odrzekł Helmer — i zgadzam się.

— Mój brat ma rację — oświadczył Niedźwiedzie Serce.

— A co na to powie Księżę Skał? — spytał Misteka.

Sternau aż się wzdrygnął. Przed oczami stanęły mu sceny z przed lat, które miały miejsce nad stawem z krokodylami. Owe straszne położenie wiszącego. Był przekonany, że Józefa zasłużyła na te męki, jednak powiedział łagodnie:

— Co do mnie zgadzam się z wyrokiem, tylko na to ostateczne okrucieństwo nie mogę dać mej zgody.

— Mój brat nie czyni dobrze, wstawiając się za nią — odezwał się Niedźwiedzie Serce.

— Mój brat, chce ją zastrzelić? Kulka to dla niej tylko nagroda.

— Zrobimy tak, jak powiedziałem — zawołał Bawole Czoło.

— Pomimo tego, że ja się nie zgadzam? — zapytał Sternau.

— Tak, mimo tego. Mój brat ma jeden głos, reszta głosuje tak jak ja, a więc mój brat musi zgodzić się z uchwałą większości.

— Według praw prerii i moich czerwonych braci tak powinno być, ale muszę zaznaczyć, że ja mam większe prawo do tej dziewczyny niż wy wszyscy.

— Mamy do niej równe prawo — odparł Bawole Czoło.

— O nie. Moi bracia znają historię rodziny Rodriganda. Do wyjaśnienia zostało jeszcze wiele tajemnic. Józefa Kortejo jest w stanie wyjaśnić mi wszystko i zrobi to, bo ją do tego zmuszę. Dlatego nie może jej się nic stać, dopóki prawda nie wyjdzie na światło dzienne, potem możecie ją mieć, ale do tego czasu stanowczo żądam, by się jej nic nie stało.

— Mój brat ma rację, — powiedział Niedźwiedzie Serce — ale to można uczynić zaraz. Oto stoi przed nami, niech mój brat ją pyta.

Józefa nie odezwała się dotąd ani słowa. Z uporem skierowała swe oczy w jeden kąt, nie spuszczając ich nawet do ziemi. Słyszając ostatecznie słowa zrozumiała, że jest zbyt ważną osobą, aby ją mieli od razu zgładzić. Przeczula, że ma Sternau w ręku. Wiedziała, że tak długo, dopóki nie wyzna prawdy, będą ją musieli zostawić przy życiu, dlatego postanowiła za żadną cenę, nie wypuszczać z ręki tej przewagi.

Sternau wskazał na krzesło i odezwał się do niej:

— Proszę usiąść, seniorita. Muszę z wami porozmawiać. Udała, że tego nie słyszy.

— Dobrze, jeżeli chcecie stać, to mi to nie przeszkadza. W ten sposób także możecie odpowiadać — zauważył. — Znacie dobrze stosunki rodziny Rodriganda, prawda?

Milczała nadał.

— Pytałem, czy znacie historię domu Rodrigandów?

Milczała i teraz, Sternau ściągnął brwi i zawołał z gniewem:

— Słyszałaś, że nie chciałem, aby wykonano na tobie ten okropny wyrok, że okazałem ci litość, ale skoro trwasz w swoim natarczywym milczeniu, ja zmienię zdanie. Teraz spodziewam się odpowiedzi na moje pytanie.

Wpatrzył się w nią natarczywie, ale wszystko nadaremnie.

— Widzę, — rzekł dalej — że trzeba będzie trochę inaczej z wami postępować. Zmuszacie mnie, abym w sposób gwałtowny dopomógł wam w wyznaniu i przypomniał, jak się używa języka. Będziecie odpowiadać?

Milczała.

— Antonio, zaprosz ją na dół i wlep jej dziesięć batów, ale takich samych jakimi raczyła obdarować senior Arbelleza.

*Vaquero* zaśmiał się z radości i odparł:



- To spełnię z wielką ochotą i sumiennością. Mam ją potem znowu tu przyprowadzić?
- Naturalnie.
- Znakomicie, a więc naprzód, seniorita! Ręczę, że będziesz ze mnie zadowolona.
- Pociągnął ją za rękaw, popychając do drzwi. Zobaczyła, że to nie żarty więc rzekła:
- A co ja mam wiedzieć o domu Rodrigandów?
- Ach, mowa wam wróciła? No, ten jeden raz daruję wam, tylko proszę nie wystawiać znowu mojej cierpliwości na próbę, za drugim razem już wam to nie ujdzie. Co wiecie o historii rodziny Rodriganda?
- Tylko tyle ile może wiedzieć córka ich zarządcy.
- A więc cóż takiego?
- A co chcecie wiedzieć?
- Nie będę przeprowadzał drugiego śledztwa, powiedzcie mi tylko, czy Alfonso jest synem hrabiego Rodriganda?
- A kim miałby być?
- Synem kogoś innego.
- Kogo?
- Waszego stryja, Gasparino Korteja.
- To śmieszne — i rzeczywiście roześmiała się na głos.
- Nie będziecie się długo śmiać, seniorita. Za to ręczę. Powiedziałem właśnie, że chcę krótkiej, zwięzłej odpowiedzi. Wybieracie między śmiercią a szczerym wyznaniem.
- Przypuśćmy, że mogę coś wyznać. Co się wtedy ze mną stanie?
- Wtedy możecie liczyć na moją łaskę.
- Ha, ha, ha, ale nie twoich kompanów. Zresztą i tak nie mam nic do wyznania.
- Nic? Powiedz mi na przykład, czy nie znasz seniorita, niejakiego Henryka Landoli.
- Nie.
- Wasz ojciec także go nie zna?
- Tego nie wiem.
- Byliście obecni przy śmierci hrabiego Ferdynanda?
- Nie.
- Ani na jego pogrzebie?
- Na pogrzebie byłam.
- A wiedziałaś może seniorita, że on nie umarł?
- Nie rozumiem was, przecież umarł.
- O nie, on żyje.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— A list, który pisałaś do swego ojca?

— Nic mnie nie obchodzi.

— Dobrze. Teraz wiem, czego się mogę po tobie spodziewać. Myślisz, że jak długo będziesz milczała, tak długo zachowamy cię przy życiu. Otóż powiadam, że się mylisz. Przejrzałem wasze tajemnice. Nie chcę przeczyć, że szczere przyznanie się zmusiłoby mnie do litości nad wami, teraz jednak, skoro tak sprawy stoją nie ma powodu przeciwstawiać się wyrokowi mych towarzyszy.

Spojrzał na nią przenikliwie. Jej mina straciła nieco ze swej pewności, jednak nie wpadło jej nawet do głowy pójść za radą Sternaua.

— Nie mam się do czego przyznawać, ani czynić żadnych wyznań!

Po tych słowach odrzuciła głowę do tyłu, jakby chciała dać im poznać, że ich dalsze usiłowania są w tym względzie daremne.

— Dobrze, wszystko jak chcecie, seniorita — odparł Sternau. — Może spodziewacie się ratunku, ale na próżno! Przynajmniej co do mnie, ani palcem nie ruszę w waszej obronie, a co do innych wiecie, czego możecie się spodziewać.

— Nie wściecie się podnieść na mnie ręki! — zawołała groźnie.

— Ha, ha, chcesz nas może nastraszyć?

— Będę pomszczona w okrutny sposób.

— A kto to uczyni?

— Moi sojusznicy!

— Z tej strony nie spodziewajcie się żadnego ratunku. Wszyscy zostali zlikwidowani. Kilku udało się wprawdzie ujść, ale najpierw dwa razy się namyśla, zanim będą chcieli dla was narażać życie.

— Żyje jeszcze Pantera Południa.

— Jego też się nie boimy. Musicie wiedzieć, że nie ma mowy o żadnej nadziei.

— Musicie mi to udowodnić. Bawole Czoło zaczął się niecierpliwić.

— Po co tracić tyle słów! — wyrzekł — Ta kobieta nie warta jest tego, by ją słuchać.

— Masz rację — odpowiedział Sternau. — Wyprowadźcie ją. Jej widok napawa mnie wstrętem i odrazą.

— Dokąd? — spytał *vaquero*.

— Wrzucicie ją do tej samej nory, w której zamknęła was. Dwóch ludzi niech stanie na straży. Głową odpowiadają za więźnia.

— To wykonam z wielką ochotą, senior. Musi przecież spróbować jak smakuje taki pobyt na jaki skazała niewinnych. Zapewne także nie dostanie niczego do jedzenia i picia?

— Naturalnie.

— No cóż zapraszam, moja piękna seniorito.

Antonio położył rękę na jej ramieniu. Odskoczyła w bok, jakby ją jakiś gad ugryzł i zwracając się do Sternaua zawołała:

— Jak to, chcecie mnie więzić, senior Sternau?

— Nie inaczej! — odrzekł.

— Mnie, córkę Korteja?

— Na Boga, tylko nie róbcie komedii. Wyprowadźcie ją Antonio, nie mogę na nią patrzeć.

— Dobrowolnie nie pójdę.

Poczęła tupać nogami jak krnąbrne dziecko chcąc się bronić mimo związanych rąk. Antonio powtórnie złapał ją za ramię, poczęła się szarpać i plując mu w twarz zawołała:

— Precz ode mnie, jak śmiesz mnie dotykać człowieku!

Tego było już za wiele. Antonio wymierzył jej tak siarczasty policzek, że zatoczyła się i upadła na podłogę.

— Plujesz w twarz porządnego człowieka, ty gadzino! — zawołał zaczerwieniony. — Poczekaj odechce ci się tego raz na zawsze.

Poderwał ją z ziemi i wyprowadził. Policzek poskutkował, zaprzestała dalszego oporu i pozwoliła się wyprowadzić.

— Teraz zgadzasz się na nasz wyrok? — spytał Bawole Czoło Sternaua.

— Tak — odparł po chwili wahania.

— Ma zostać pożarta przez krokodyle?

— Dobrze, nie jest warta łaski.

— Zaraz rankiem pojedziemy z nią na górę El Reparo, by powiesić ją nad stawem.

— To za wcześnie — odparł Sternau.

— Dlaczego?

— Inni także mają prawo ją przesłuchać i wydać swój wyrok. Musimy poczekać na przybycie Mariano i hrabiego Rodriganda. Inaczej nie może być.

— To potrwa zbyt długo.

— Musimy wysłać gońca do Juareza i oznajmić mu, że hacjenda jest zajęta przez nas i że tysiące Misteków czeka na jego rozkazy. To przyspieszy jego powrót.

— Ale hrabia Ferdynand nie będzie mógł przybyć tak szybko, On jest zbyt chory. Potrzebuje kilku dni, aby z fortu Guadałoupe dostać się aż tutaj.

— Tak długo mamy czekać na wykonanie wyroku. To przecież nic nie zmienia, jest już w naszych rękach.

— To nie jest całkiem tak — odezwał się Helmer. — Tego nie można być do końca pewnym, nie wiemy co się jeszcze może wydarzyć.

— A co mogłoby się wydarzyć. Wprawdzie nikt z nas nie zna przyszłości i najlepiej sami na sobie doświadczyliśmy zmienności losu, ale przy pewnej ostrożności można śmiało wyrokować, że zemsta nad nią nam nie ucieknie.

— A jak nadejdą Francuzi?

— Przed nimi tutaj jesteśmy bezpieczni. Zresztą czego może się spodziewać córka Korteja od Francuzów? Tyle czasu jeszcze byśmy mieli, by wykonać wyrok śmierci.

— Z tego wszystkiego wnioskuję, że chce pan tylko odwlec zasłużoną karę — rzekł niezadowolony Helmer. — Jestem przekonany, że niczego się pan od niej nie dowie, niczego nowego, już wszystko pan wie!

— Wszystkiego nie. Jeszcze dużo rzeczy pozostaje do wyjaśnienia. To nie wystarcza, że się wie, potrzeba dowodów. Choćby Maria—no wystąpił i oznajmił, że jest hrabią, że to on jest synem Emanuela de Rodriganda, to niestety za mało. Gdzie świadkowie? Gdzie dokumenty? Józefa jest wtajemniczona we wszystko, jej zeznanie mogłoby mieć dla nas kolosalne znaczenie.

— Aha, ma wydać świadectwo.

— Tak.

— To znaczy, że musi żyć tak długo, dopóki proces w tej sprawie nie zostanie rozstrzygnięty?

— To nie jest jeszcze pewne. Wprawdzie jej zeznania przed sądem miałyby ogromną wartość, ale wystarczy takie zeznanie przed bezstronnymi świadkami, którzy to potem mogliby poświadczyć.

— My jesteśmy świadkami.

— Ale po części zainteresowanymi. Najlepszym świadkiem byłby Juarez, dlatego musimy poczekać na niego.

— Powtarzam, że szkoda tracić czasu, ta dziewczyna nie da się przekonać, nic me wyzna. Tu leży Pedro Arbellez, ojciec mojej narzeczonej, wszyscy widzą jak z nim postąpiła. Wiadomo powszechnie, że i nasze nieszczęścia zawdzięczamy w większej części tej wyrodnej kobiecie. Czy to wszystko nie woła o pomstę do nieba, o natychmiastową karę? Dlaczego mamy zwlekać ze sprawiedliwym wyrokiem, którego wykonanie jest naszym obowiązkiem.

— Mój brat, Piorunowy Grot słusznie mówi — zabrał głos Bawole Czoło.

— Dobrze mówi — potwierdził Niedźwiedzie Serce. Helmer ciągnął dalej:

— Są także i inne osoby, które mają prawo wypowiedzenia swego zdania w tej sprawie, w pierwszym rzędzie senior Arbellez. Czy ta kobieta ma umrzeć zaraz?

Ostatnie słowa skierował wprost do chorego. Słaby wzrok Arbelleza rozjaśnił się nieco. Widocznie przypomniał sobie całą mękę, jaką przeżył i jeszcze musi przeżywać. Słabo, ale dobitnie odrzekł:

— Tak, zaraz!

— A seniora Hermoyes? — spytał Helmer.

— Ja jestem kobietą, — odparła — czyńcie co chcecie.

— A Antonio? Jego nie ma, ale ręczę, że ten także podziela nasze zdanie.

Sternau wyprostował się nagle mówiąc:

— Zupełnie was nie poznaję. Wiem, że to żądanie dyktuje wam własne uczucie i to nawet jest uczucie sprawiedliwości, które nie jest bezpodstawne, ale i w tym względzie rozum zawsze powinien brać górę nad uczuciem. Muszę niestety sam jeden sprzeciwić się temu wyrokowi. Oznajmiam wam, że z wyrokiem zaczekać musicie przynajmniej na powrót Juareza. Jeżeli mi tego nie przyrzekniecie, to porwę uwięzioną i wywiozę w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie będzie mogła spokojnie przebywać aż do czasu, kiedy wyrok będzie mógł być wykonany.

Podniósł się z krzesła na znak, że w tej sprawie powiedział ostatnie słowo.

Gest ten wywołał pewne wrażenie, ale żaden nie chciał pierwszy odpowiedzieć, dlatego zapytał ponownie:

— Zgadza się? Żądam przyrzeczenia, że do czasu powrotu Juarez ta kobieta będzie żyła.

Niedźwiedzie Serce zapytał:

— Co uczyni mój brat, jeżeli tego przyrzeczenia nie damy?

— Natychmiast opuszczę hacjendę.

— Z uwięzioną?

— Tak.

— A jeżeli na to nie pozwolimy?

— Będę musiał z bronią w ręku wywalczyć sobie to pozwolenie. Ale myślę, że do tego nie dojdzie. Uczucie zemsty nie może być silniejsze od uczucia przyjaźni jakie nas łączy.

— Słusznie mój brat mówi. Ja daję mu moje słowo, że teraz jeszcze tej kobiety nie zabiję — powiedział Niedźwiedzie Serce.

— A Bawole Czoło? — spytał Sternau.

— Jestem zmuszony, także dać moje — odparł wódz Misteków.

— A pan, senior Helmer?

Piorunowy Grot popatrzył przed siebie ponuro, wreszcie z zachmurzonym czołem odezwał się:

— Muszę powiedzieć tak jak Bawole Czoło. Niestety jestem do tego zmuszony. Naturalnie nie biorę na siebie odpowiedzialności w razie, gdyby tej wiedźmie udało się uciec.

— To nie wchodzi w rachubę.

— Sami byliśmy uwięzieni i wyglądało na to, że ucieczka nie jest możliwa, więc teraz nie ośmieliłbym się twierdzić, że to nie wchodzi w rachubę. Przyrzekam jednak, że nie zabiję Józefy Kortej o dopóki nie przybędzie Juarez, jedno tylko zastrzegam dla siebie, mianowicie to ja obejmę nad nią surowy nadzór.

— W tym nie będę panu przeszkadzał. To jest mi nawet na rękę, gdyż wiem, że pilnowana będzie nieustannie. Czyli, że ta sprawa jest załatwiona. Teraz muszę się zająć rannymi.

Wyszedł z pokoju, za nim poszedł Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Piorunowy Grot, ale zaraz na korytarzu, jakby na dany znak stanęli patrząc jeden na drugiego.

Helmer zapytał półgłosem:

— Co powiadają na to obaj widzowie, że wyraziliśmy zgodę na tę zachciankę Sternaua?

— *Uff!* — odezwał się wódz Apaczów. — Książę Skał jest mądry. Widocznie lepiej wie to, czego ja nie pojmuję.

— Według tego co powiedział, ma rację — odparł Bawole Czoło.

— Ja nie przeczę, że ma rację, ale pragnę zemsty i to jak najszybciej.

— Mój brat, Piorunowy Grot może się zemścić — powiedział Bawole Czoło.

— Tak, ale nie teraz.

— O, zemsta może się zacząć natychmiast.

— Jak to?

— Może ją wystawić na męki i to od razu.

Helmer domyślił się, że Bawole Czoło musiał przemyśleć jakiś plan, więc szybko spytał:

— Jakie męki ma na myśli mój brat?

— Męki śmierci, ta kobieta musi umierać wiele razy. Musi widzieć otwarte paszcze krokodyli.

— Domyślam się. Józefa Korteję ma być przewieziona na górę El Reparo, tak aby myślała, że egzekucja ma się odbyć.

Oczy Helmera błysnęły z radości na myśl, jakie męki będzie musiał znieść ten ludzki wyrodek.

— To dobrze, to wspaniale! — odparł. — Ale czy Sternau się na to zgodzi?

— Nie zgodzi się — odezwał się Niedźwiedzie Serce. Apacz znał go bardzo dobrze.

— W takim razie musimy to wykonać w tajemnicy.

— Tak, nie powiemy o tym ani słowa — rzekł Bawole Czoło. — Czy nasz brat, Niedźwiedzie Serce pojedzie z nami?

— Nie — odparł zapytany.

— Dlaczego?

— Sternau jest moim bratem. Czynię tylko to, o czym wie lub może wiedzieć.

— On jest i moim bratem, — odpowiedział Bawole Czoło — ale Arbellez był nim wcześniej. Bili go okrutnie, bez litości, tak że jeszcze teraz nie może się ruszać, muszę się więc zemścić. Piorunowy Grot pojedzie ze mną?

— Pojadę! — odrzekł. — Spodziewam się, że Niedźwiedzie Serce nie zdradzi Sternauowi, co postanowiliśmy.

— Niedźwiedzie Serce nie jest zdrajcą — odparł, po czym zszedł ze schodów i wyszedł na zewnątrz.

Był człowiekiem na wylot prawym. W prawdzie na początku, według starych indiańskich praw, głosował za natychmiastową karą, ale gdy tylko przyznał, że Sternau ma rację, nie chciał uczestniczyć w niczym, co musiałby przed nim przemilczeć.

Dwaj inni pozostali na górze.

— Kiedy jedziemy?

— Przy pierwszym blasku dnia — odrzekł Bawole Czoło.

— Sami?

— Nie. Wezmę ze sobą paru moich wojowników. Kilku wrogów uciekło, dlatego musimy być ostrożni.

W ten sposób za plecami Sternaua zaplanowali całe przedsięwzięcie. On sam, był ogromnie zajęty opatrywaniem rannych. Wprawdzie Misteków zginęło niewiele, ale wielu zostało ciężko rannych. Cała izba, która przedtem służyła za stróżówkę, zamieniona została na szpital. Minęła prawie noc, kiedy uporał się z wszystkim.

Zaraz po zajęciu hacjendy, pięciu jeźdźców wysłano do Juareza, aby zameldowali o tym co się stało. Wyruszyli natychmiast w drogę wybierając, w miarę możliwości drogę wolną od wojsk francuskich.

Pozostało jeszcze pytanie, co zrobić ze zwłokami poległych. Zapytany o to Bawole Czoło natychmiast odpowiedział:

— Krokodyle Misteków już dawno nic nie żarły, a tym bardziej ludzkiego mięsa, zabierzemy je na konie i zawieziemy nad staw.

Sternau potrząsnął głową:

— To byłoby dość okrutne, a do tego forsowne.

— A jak inaczej chce mój brat usunąć te trupy?

— Pogrzebiemy je.

— Wojownicy musieliby kopać wielki dół, a to także jest forsowne.

— Nie potrzebujemy kopać dołu. Znam z dawnych czasów zagłębienie w kamieniołomie, tutaj, w pobliżu hacjendy. Tam wrzucimy trupy poległych i zasypimy je ziemią.

— Ja także znam ten kamieniołom. Znakomicie nadaje się do tego, ale po co zakrywać ich ziemią. Sępy, które zlecają się, pogrzebią je w swoich żołądkach.

— To zbyt okrutne. Ja sam zajmę się ich pogrzebem. Czy mój brat da mi tylu mężów, ilu będę potrzebował?

— Dobrze, niech mój brat wybierze ich sobie.

Wódz Misteków zgodził się na to z chęcią. Wiedział, że Sternaua zajmując się pogrzebem oddali się z hacjendy, a tymczasem on z Helmerem mogą czynić z Józefą co im się spodoba.

Na wschodzie właśnie poczęło jaśnieć, gdy Sternau z oddziałem Misteków wyruszył z hacjendy do kamieniołomu. Bawole Czoło natychmiast odszukał Hehnera.

— Czas wyruszać! — zawołał.

— Jestem gotów, ale twoi ludzie będą widzieli, że zabieramy Józefę.

— Oni nas nie zdradzą. Chodź!

Zeszli po schodach do piwnicy. Przed drzwiami więzienia stało dwóch Indian. Helmer miał przy sobie klucz, otworzył drzwi, Józefa leżała na ziemi.

— Córka Korteja niech wstanie i pójdzie z nami — rzekł wódz Misteków, trącając ją nogą.

— Co chcecie ze mną zrobić? — spytała przerażona.

— Zobaczysz!

Widząc, że nie chce wstać silnie złapał ją za rękę i wywlókł z piwnicy. Poczęła głośno jęczeć.

— Gdy Bawole Czoło rozkazuje, masz słuchać! Zrozumiałaś? — zawołał, po czym zwracając się do straży rzekł: — Bawole Czoło weźmie ze sobą tę dziewczynę, a Piorunowy Grot zamknie drzwi, wy jednak musicie tu zostać, tak jakby nic się nie zmieniło, bo Książę Skał nie ma prawa wiedzieć o niczym.

— Przyrowadzisz ją potem?



— Tak. Inni także mają milczeć. Masz im to powiedzieć. Wyprowadzili Józefę na podwórzec i przywiązali ją do konia.

Dziesięciu Misteków stanowiło ich straż, wsiedli na konie i pogalopowali w kierunku El Reparo.

Sternau wrócił po kilku godzinach i szukał Bawolego Czoła, miał dla niego jakąś informację. Nie mogąc go znaleźć zapytał jednego Indianina:

— Gdzie jest wasz wódz?

— Wyjechał.

— Sam?

— Nie. Piorunowy Grot był z nim i dziesięciu wojowników.

— Dlaczego opuścili hacjendę?

— Tego nie wiem.

— Dokąd pojechali

— Też nie wiem.

To zaniepokoiło Sternaua. Poszedł szukać Niedźwiedziego Serca. Znalazł go za śpiącego za domem. Był bardzo znużony, Sternau szarpnął go za rękę i zapytał:

— Widział mój brat, jak wódz Misteków wyjeżdżał?

— Nie.

— Nie wie mój brat dokąd podążył?

— Wiem.

— Dokąd?

— Nie mogę powiedzieć, przyrzekłem.

— Ja też nie mogę o tym wiedzieć?

— Nie.

Sternau zamyślił się chwilę, po czym rzekł:

— Jeżeli Niedźwiedzie Serce obiecał milczeć, musi milczeć, chciałbym tylko wiedzieć, czy mogę być o nich spokojny, czy nie przydarzy im się nic złego?

— Nie wydaje mi się, aby mogło im się coś przytrafić?

— Czy robią coś, czego bym nie pochwalił?

— Tego Apacz też nie może powiedzieć.

— Może pojechali do góry El Reparo?

— Moje usta są zamknięte.

Po tych słowach obrócił się na drugi bok pokazując Sternauowi plecy, na znak, że powiedział wszystko i nie zamierza nic dodać.

— Ja się i tak tego dowiem! — zawołał Sternau.

Jakby goniony przeczuciem wrócił do domu i zszedł do piwnicy. Przed drzwiami spotkał dwóch Indian, stojących na straży.

— Gdzie jest uwięziona?

— Tutaj, w piwnicy.

— Otwórzcie mi!

— Nie możemy, nie mamy klucza.

— Kto go ma?

— Piorunowy Grot.

— Był tutaj on albo Bawole Czoło?

— Nie.

— Nie słyszeliście o tym, że wyjechali z hacjendy?

— Nie.

— Zawołajcie na uwięzioną, zapukajcie do drzwi?

— Ona nie odpowiada.

Sternau sam spróbował. Począł wołać i pukać, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi.

— Ona jest jak chrabąszcz, który jak się go dotknie, to udaje nieżywego — odrzekł jeden ze strażników.

Sternau mimo tego czuł dziwny niepokój. Po raz wtóry spytał z naciskiem:

— Ona rzeczywiście jest w środku?

— Tak.

— Jeżeli się mylicie, to biada! Może stać się wielkie nieszczęście. Ponieważ nie odwołali swego zdania, poszedł na górę. Nie mógł pojąć dlaczego ci dwaj opuścili hacjendę. Mimo podejrzania, jakie się w nim zrodziło, wiedział, że nie może nic innego zrobić, jak cierpliwie czekać.